

„ORZEŁ BIAŁY”  
(White Eagle)  
(L'Aigle Blanc)

Septembre 1969

Price 3/6

Cena 3/6  
\$ 0.50; 2.50 F.



B.D.I.C

# SYRENA

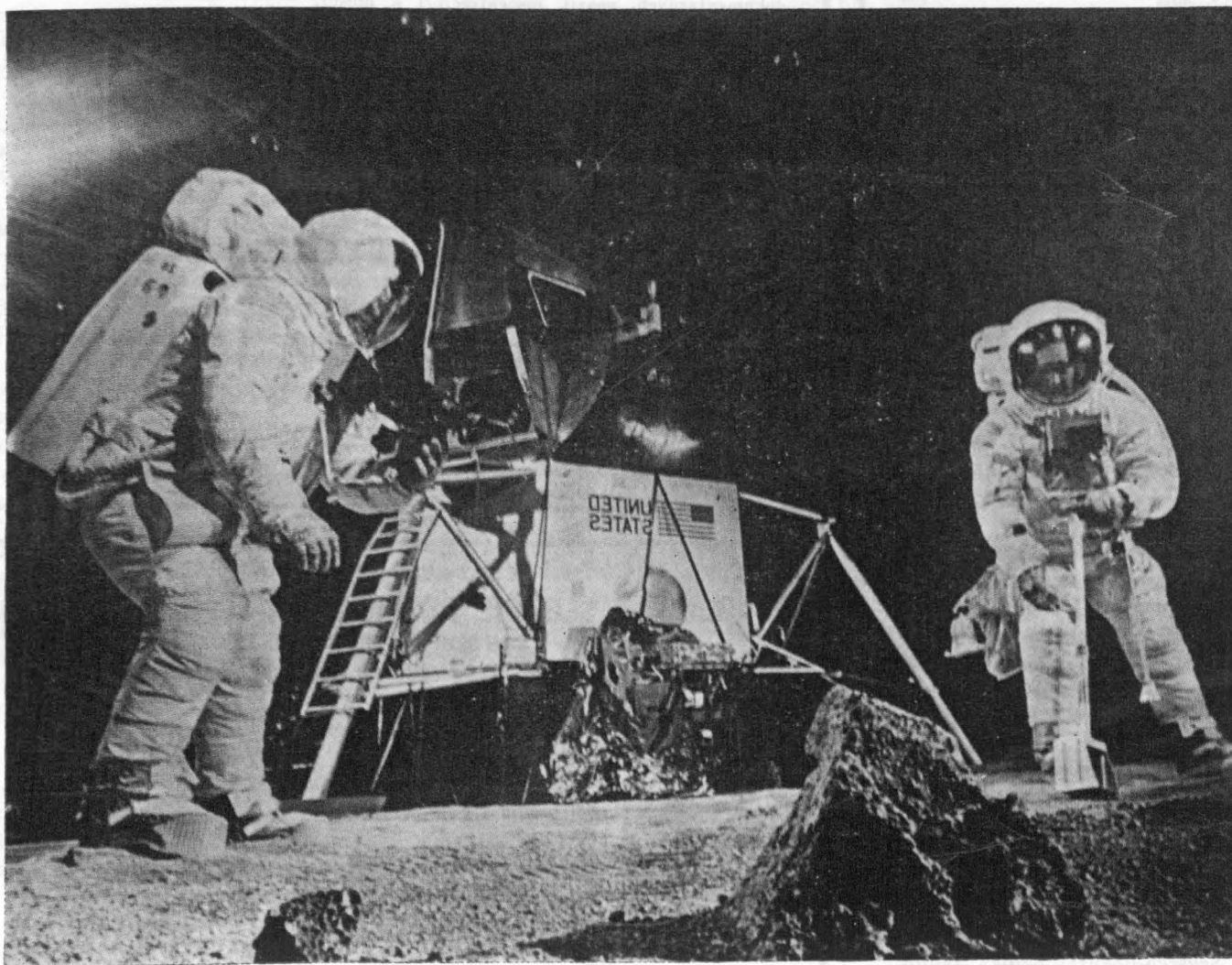
ORZEŁ BIAŁY

WRZESIEŃ  
1969

Nr 62/1209

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



## PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU

21 lipca 1969 roku Amerykanie Neil Armstrong dowódca statku powietrznego Apollo 11 i jego kolega Edwin Aldrin po 195 godzinach i 18 min. lotu wylądowali na księżycu, dając tym aktem początek nowej erze w historii ludzkości

FP 2156

Gryf Publications Ltd

STEFAN KORBOŃSKI

## MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

15 opowiadań, których tłem jest druga wojna światowa. Niezwykle czasy, niezwykli ludzie nadają tej książce niezwykły koloryt i czynią z niej niezapomnianą lekturę.

Cena: 12 sh., 2.50 dol.

Skład Główny: KSIĘGARNIA S.P.K.,  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.

W NUMERZE:

J. Garliński, (p.h.): Monte Cassino 1969	1
K. Glabisz: Owoce przegranej zwycięstwa	4
F. Chrzanowski: Warszawa— Moskwa—Bukareszt	5
F. Goldschlag: Bóg jest w swoim niebie	6
Księżyc jasność blada...	8
J. Tokarski: Toynbee i jego dzieło	10
S. W. Wojtowski: Kongres współ- czesnej nauki i kultury polskiej	13
K. Brzozowska: W nowogródzkiej stronie (III)	14
J. Biernacka: Wielki syn Świętosławy	16
W. Płazak: Śmierć nie jedno ma imię Marek Hłasko, Witold Gombrowicz	18
M. Tomkiewicz: Z Włoch z miłością	21
J. Ostr.: Notatnik kulturalny	24
W. Günther: Szopen we wspomnie- niach George Sand	25
W. Szyszko-Bohusz: Sztuka Janiny Baranowskiej	26
W. Strzałkowski: Sprawy polskie w dziejach świata	27
J. Ostrowski: Leszek Kołakowski o marksizm	30
S. Karolus: Szkoła i wychowanie w Rosji Sowieckiej	32
Kage: Przegląd spraw wojskowych	33
J. Biernacka: Wrażenia z Lourdes	34
K.E.: Przeważnie dla Pań	35
Z życia polskiego	36
W. Stefański: Znaszli ten kraj?	38
Z różnych dziedzin	40

## NA POLU CHWAŁY

### POLSKIE SIŁY ZBROJNE W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

w 30-tą rocznicę Kampanii Wrześniowej 1939 roku w Polsce, 25-tą działań wojennych na Zachodzie, walk Armii Krajowej i Powstania Warszawskiego.

Uroczysty obchód całości Sił Zbrojnych pod protektoratem Gen. W. ANDERSA w niedzielę, 28 września 1969 r. w Royal Albert Hall w Londynie o godz. 2.30 po poł.

Hold poległym i czynom Wojska, Marynarki Wojennej, Lotnictwa, Armii Krajowej i Pomocniczej Służby Kobiet — przedstawiony w relacjach, filmach dokumentarnych, poezji, inscenizacji i w pieśni:

Kampania 1939 roku w Polsce; Odtworzenie Armii Polskiej we Francji; kampanie 1940 r. w Norwegii i Francji; kampania 1941—42 r. w Afryce Północnej; Armia Polska w Rosji i na Bliskim Wschodzie; kampania 1944—45 II Korpusu we Włoszech; kampania 1944—45 I Dywizji Pancerniej we Francji, w Belgii, w Holandii i w Niemczech; bój Brygady Spadochronowej pod Arnhem; Marynarka Wojenna na różnych morzach; Lotnictwo i jego udział w Battle of Britain; Armia Krajowa; Podziemie i Powstanie Warszawskie; Pomocnicza Służba Kobiet w wojsku, marynarce i lotnictwie.

W uroczystości wezmą udział przedstawiciele armii sprzymierzonych: W. Brytanii, Francji, Stanów Zjednoczonych, Belgii, Holandii, Norwegii, Afryki Płn., Australii, Nowej Zelandii, Indii i Brazylii.

Z okazji obchodu tych rocznic poczta brytyjska przyznała specjalny stempel, którym będą stemplowane w tym dniu listy nadane w Royal Albert Hall. W tym celu Komitet Organizacyjny Obchodu wspólnie ze Zw. Polskich Filatelistów wydaje ozdobne koperty i pocztówki. Będą one do nabycia podczas uroczystości w Albert Hall.

Prosimy o jak najliczniejszy udział w uroczystości, o zaproszenie swych cudzoziemskich przyjaciół oraz o organizowanie zbiorowych wycieczek do Londynu.

Bilety do nabycia od 1 września:

w KSIĘGARNI SPK — 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7;  
w KIOSKU „OGNISKA“ — 55, Princes Gate, London, S.W.7.

KOMITET OBCHODU

Nowa książka wkrótce do nabycia w KSIĘGARNI S.P.K.

### p.t. „W SŁUŻBIE POLONII KANADYJSKIEJ“

ARTYKUŁY, PRZEMÓWIENIA, ODCZYTY, ODEZWY

Autor: Dr. ZDZISŁAW PRZYGODA

Cena w przedpłacie wraz z przesyłką: \$4.00, £1.12.0

Cena w księgarni: \$5.00, £2.0.0

Niniejszym zamawiam ..... egzemplarzy p.t. „W SŁUŻBIE POLONII  
KANADYJSKIEJ“ — załączam czek na \$ ..... £.....

Nazwisko .....

Adres .....

Zamówienie w przedpłacie przesłać pod adres:

DR. Z. PRZYGODA, 12-A Finch Ave. W., Willowdale, Ont., CANADA.

## LISTY DO REDAKCJI

DIARIUSZ SZEMBEKA

Szanowny Panie Redaktorze,

Na marginesie artykułu p. Krystyna Ostrowskiego pt. Diariusz Szembeka, zamieszczonego w czerwcowym numerze „Orla Białego“—„Syreny“, pozwalam sobie sformułować następujące drobne sprostowania i wyjaśnienia, które okazać się mogą interesujące dla przyszłego historyka:

1. Nominacja Jana Szembeka na podsekretarza stanu w MSZ w r. 1932, for-

malnie dokonana przez ministra Józefa Becka, w rzeczywistości była wynikiem osobistej decyzji Marszałka Piłsudskiego, który w czasie swych odwiedzin rumuńskich miał okazję poznać bliżej Jana Szembeka i ocenić jego zalety jako człowieka, obywatela i dyplomaty. Zapytany w następnych latach przez Szembeka, czemu zawdzięczał swoją nominację, Marszałek odpowiedział lapidarnie: „Wiedziałem, że nie będzie się pan kłaniał wielkim mocarstwom“.

(Dokończenie na str. 40)

Miejscem, przy którym najmocniej, najżarliwiej skupiają się myśli i serca Polaków, gdy nadchodzi rocznica jest niewątpliwie cmentarz na Powązkach, w Warszawie. Tam, na kwaterach batalionów „Zośka“, „Baszta“, „Parasol“ i wielu, wielu innych leżą młodzi żołnierze Armii Krajowej, którzy ćwierć wieku temu próbowali uratować wolność w ostatnim, bezprzykładnym i tragicznym zrywie. Nigdy nie zapomina o nich Warszawa i gdy wybije sierpniowy dzień tysiące rąk zapala mogilne światła, wbrew wszystkiemu co stało się wówczas i później.

Gdy przeniesiemy się jednak myślą z Kraju, gdy oderwiemy się od tamtejszych wojennych lat i spojrzymy na ślad polskiego żołnierza, pozostawiony na wielu łądach, staje przed nami wyniosły, górski masyw z ruinami klasztoru na szczycie. Symbol polskiego wysiłku, polskiej odwagi i polskiej ofiary w drodze do ojczyzny: Monte Cassino.

Po dwudziestu pięciu latach śladu już nie pozostało po ówczesnych morderczych walkach, w których skłębily się dywizje różnych narodów i krajów, by/wydrzeć z niemiec-kich rąk obronne gniazdo i otworzyć drogę do Rzymu. Odbudowany w każdym szczególe klasztor znowu unosi ponad doliną i życie toczy się spokojnie, jak za dawnych lat. Ale górę klasztorną otaczają wojenne cmentarze i one przypominają o wypadkach, które rozegrały się w roku 1944.

Z pośród cmentarzy z największą siłą przemawia do wyobraźni cmentarz polski. Położony tuż poniżej klasztoru, doskonale zaplanowany, ujęty w artystyczne ramy, pełen surowego patosu — łączy w swych murach żołnierzy polskich różnych wyznań i różnego pochodzenia. Wszyscy oni padli w służbie wspólnej ojczyzny, która dźwignęła się po wielu latach niewoli i, nawiązując do wielkiej tradycji dawnej, potężnej Rzeczypospolitej, objęła ich opiekuńczym uściskiem. Posuwając się powoli wśród grobów, czyta się nazwiska, przeważnie kresowe, z polskiego Wschodu, ze szlaku, na którym budowała swą wielkość Polska Jagiellonów. Prawie wszyscy ci żołnierze przeszli przez zsyłki, przez sowieckie obozy i więzienia, poznali piekło niewoli i przeżyli wspaniały dzień powrotu do wolnego świata.

B.D.I.C



# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM  
WSPÓŁCZESNYM

Nr 62/1209

WRZESIEŃ, 1969

Rok XXIX

JÓZEF GARLIŃSKI

## MONTE CASSINO 1969

W pierwsze ćwierćwiecze historycznej bitwy Polacy z wolnego świata postanowili spotkać się na jej terenie. Wielki zlot z kilku kontynentów miał zmanifestować łączność ideową z tymi, którzy tam przed laty polegli, miał nawiązać do symbolu, jakim stała się kassynska bitwa. Ćwierć wieku, to prawie całe pokolenie i dlatego postanowiono, że głównym celem światowego zlotu będzie przekazanie sztandarów wojskowych synom żołnierzy drugiej wojny światowej. Olbrzymia ich liczba przeszła przez szeregi harcerskie, tej więc ideowej i wychowawczej organizacji powierzono reprezentację pokolenia, urodzonego już po wojnie, na którego młode ramiona paść musi w najbliższym czasie ciężar dalszej walki.

Klasztorne wzgórze pokryło się tysiącami harcerskich mundurów, nadało mu swoje piętno, stworzyło atmosferę i styl, który dominował nad całością. Wszyscy wprawdzie zmieszali się ze sobą, żołnierze z kampanii włoskiej i z samej bitwy, żołnierze innych formacji, którzy rozproszyli się po świecie a teraz zjechali na wspólne święto, Polacy ze Stanów Zjednoczonych, z Kanady, z Australii, z Argentyny, z wielu krajów starego kontynentu, poczty sztandarowe, zaproszeni goście, Włosi, a jednak widziało się wyraźnie dwie wielkie grupy. Z jednej strony weterani ostatniej wojny, choć przeważnie po cywilnemu, ale żołnierze, z dawnym swym rozkazodawcą i obecnym przywódcą, gen. Andersem, na czele, z drugiej tysiące harcerzy w głębokich szeregach. Pokolenie odchodzące i młodzi ich następcy.

Dzień był bez chmurki i gorąco dochodziło do 30 stopni gdy o godz. 4-tej popołudniu poczęły nadjeżdżać autokary i wyrzucać ze swych wnętrzy tysiące Polaków ze wszystkich zakątków ziemi. Setki prywatnych samochodów rozlokowało się na placu campingowym i wśród krzewów otaczających drogę do cmentarza. Każdy szukał cienia.

Najwcześniej pojawili się i objęli swe posterunki harcerze rozbijając namioty z punktami informacyjnymi, pomocą lekarską i pocztą polową. Oni także pilnowali porządku i regulowali ruch.

Tysiące ludzi ruszyło w stronę cmentarza i dwóch dywizyjnych pomników wznoszących się wyżej. Kto miał siły szukał uczestników bitwy i szedł z nimi dalej, by ułyszeć gdzie i jak walczyli i choć na chwilę znaleźć się na szlaku tych, którzy przed ćwierć wiekiem wdarli się na szczyt i zdobyli ruiny klasztoru.

W skłębionym tłumie co chwilę słyszało się okrzyki radości i serdecznych powitań.

To dawni koledzy i przyjaciele odnajdywali się po latach. Często w spotkaniach uczestniczyły dwa pokolenia, czasem nawet trzy.

Wielu dawnych żołnierzy wystąpiło w mundurach.

Około godz. 5.30 zaczął wypełniać się cmentarz. Środkową płytę zajęli goście oficjalni, tysiące publiczności pokryły tarasy. Z nich roztaczał się wspaniały widok na klasztor i na drogę łączącą go z cmentarzem. Teraz wypełniona została głębokimi szeregami harcerskich mundurków. Na

przedzie kilkanaście narodowych flag, daleko z tyłu zwarty las wojskowych sztandarów.

Rozległ się warkot bębna i szare szeregi harcerek ruszyły naprzód. Był to najpiękniejszy widowiskowo moment całej uroczystości. Szły tam dziewczęta z Argentyny, z Australii, z Kanady i ze Stanów Zjednoczonych i z wielu krajów starego kontynentu. Było ich około tysiąca. Po nich delegacja włoska w mundurach ze sztandarem miasta Cassino, za nią włoscy harcerze, za nimi zielone mundury harcerek polskich. Było ich mniej niż dziewcząt, może pięć — sześć setek, ale prezentowali się doskonale.

Biało-czerwone flagi zajęły sam szczyt cmentarza, poniżej szeregi harcerek i harcerek, tarasami w dół.

O godzinie 6-tej rozległa się sygnaturka trębacza, tego samego, który zagrał na klasztornej górze ćwierć wieku temu, po zwycięskiej bitwie.

Na cmentarz wkroczył Generał Anders. Gen. Duch złożył raport: 1.500 harcerek i harcerek, 20 wojskowych sztandarów, 30 organizacyjnych, 6 tysięcy byłych żołnierzy, gości i publiczności.

Generał Anders zapalił znicz i przez swych reprezentantów złożył pierwszy wieniec. Za nim szły inne: od miasta Cassino, od inwalidów wojennych, od Armii Krajowej, od Marynarzy, od Lotników, od SPK i wiele, wiele innych.

Pierwszy zabrał głos i pięknie przemówił włoki generał, prezes międzynarodowej organizacji „Lampa Braterstwa“, które czci pamięć każdego żołnierza poległego na polu walki w obronie Ojczyzny.

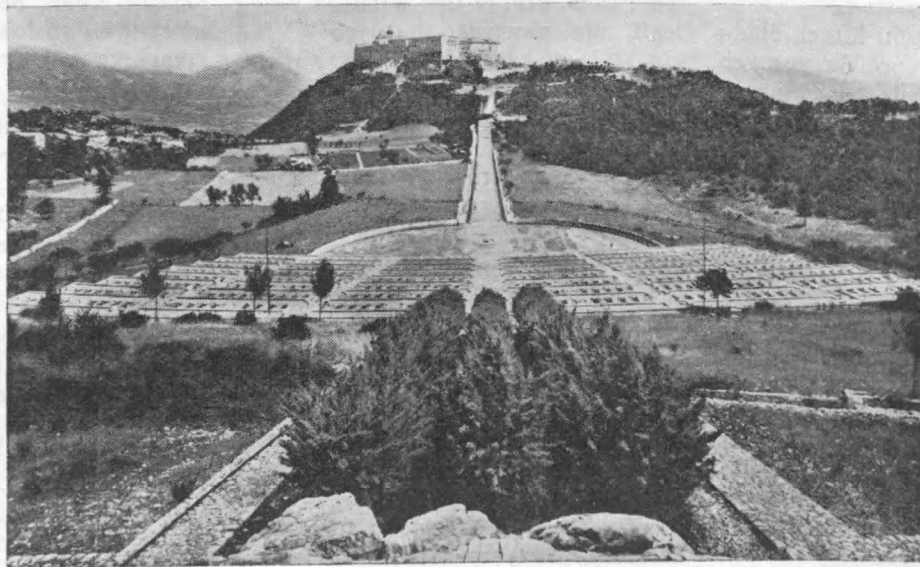
Ks. Biskup Rubin poświęcił sztandar 15-go baonu „Wilków“, Ks. Biskup Wesoly poświęcił sztandar szkoły św. Kazimierza z Francji.

Mszę św. w asyście wielu księży odprawił i piękne kazanie wygłosił Ks. Biskup Rubin, po nim Archimandryta uczcił pamięć poległych wyznania prawosławnego, zakończył część religijną Ks. biskup Fierla krótkim nabożeństwem i kazaniem.

Było już zupełnie ciemno, gdy nadszedł szczytowy punkt całej uroczystości. Tylko znicz oświetlał twarze zebranych, gdy krótko, dobitnie, z siłą przemówił do młodzieży Generał Anders. Wskazał obowiązki, które na nią spadają, przypomniał o tradycji żołnierza w walce o wolność.

Odpowiedział przewodniczący Związku Harcerstwa Polskiego druh Kaczorowski. Padł rozkaz: Zaciągnąć wartę przy sztandarach.

Pieśń harcerska: „Wszystko co nasze Polsce oddamy“ zamknęła ten piękny dzień.



Uroczystości na Monte Cassino rozłożone były na trzy dni. Pierwszego dnia — 13 sierpnia — na dziedzińcu rezydencji letniej papieża w Castel Gandolfo zebrało się ponad 4.000 Polaków, w tym blisko tysiąc harcerek ze swymi sztandarami i poręcznikami. Punktualnie o godz. 10-tej zjawił się na balkonie Ojciec Święty, powitany gromkim okrzykiem harcerskim: „Czuj, czuj, czuwaj!“. Wprowadziło to z miejsca serdeczny nastrój, a wzruszony papież pozdrowił pielgrzymów po polsku: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, na co z kolei Polacy odpowiedzieli: „Na wieki wieków Amen“.

W dłuższym przemówieniu po włosku powiedział papież m.in.:

„Pragniemy powitać was słowami, które wypowiedzieliśmy podczas uroczystego obchodu Millenium Polski Chrześcijańskiej, wspominając wspólną historię waszej szlachtetnej Ojczyzny, jej świetność, chwałę i wierność Chrystusowi.

Powiedzieliśmy w tej pamiętnej chwili i powtarzamy dzisiaj wam, pielgrzymom: jesteście Polakami, prawdziwymi Polakami a więc katolikami; jesteście pielgrzymami polskimi, przybyłymi z dalekich krajów; jesteście rozproszeni po świecie, ale pamiętajcie o wspólnym pochodzeniu: łączy was zawsze świadomość braterstwa krwi, historii, języka i religii“.

A przemawiając po angielsku do młodzieży polskiej Paweł VI powiedział m. in.:

„Ze szczególną radością witamy was — polska młodzieży uchodźcza i zapewniamy was, że modlimy się gorąco o to, abyście pozostali wierni świętym tradycjom waszych przodków i religii, którą oni tak szlachetnie podtrzymywali. Wzywając pośrednictwa waszej Paniarki Częstochowskiej, udzielamy każdemu z was, waszym rodzicom, waszym bliskim w Kraju — naszego specjalnego ojcowskiego błogosławieństwa apostołskiego“.

Słowami: „Dowidzenia“ — na które Polacy odpowiedzieli chóralnie: „Dowi-

B.D.I.C.  
**TABLICA  
 PAMIĄTKOWA  
 ODSŁONIĘTA  
 NA MURZE  
 KOŚCIOŁA  
 ŚW.  
 STANISŁAWA  
 W RZYMIE**

godnemu Gospodarzowi medal pamiątkowy 25-lecia bitwy o Monte Cassino. Jednocześnie prezes P. Hęciak — w zastępstwie gen. K. Ziemskiego — udekorował amb. Papée Krzyżem Armii Krajowej, wygłaszając przy tej okazji — w imieniu gen. Ziemskiego — następujące przemówienie:

„Nam, żołnierzom Armii Krajowej, dobrze znana jest Pańska nieustająca akcja dyplomatyczna w czasie II wojny światowej ma rzecz ulżenia doli narodu polskiego, który w tak nieludzki sposób był niszczonej przez najeźdźców: niemieckiego i sowieckiego. Wiemy również o Pańskich wyjątkowych zabiegach i staraniach wyjednania pomocy dla Walczącej Stolicy. Właśnie w tych dniach upłynęło 30 lat pracy Pańskiej na stanowisku Ambasadora R.P. przy Stolicy Apostolskiej, a 25 lat od wybuchu Powstania Warszawskiego.

W dowód naszego uznania i pamięci oraz jako widoczny znak duchowej łączności z nami w czasie tych bardzo ciężkich, niezwykle krwawych, ale heroicznych walk żołnierzy AK i całej ludności Stolicy — w imieniu Armii Krajowej proszę przyjąć odznaczenie w postaci oto tego skromnego, ale bardzo drogiego nam Akowcom — Krzyża Armii Krajowej“.

Drugiego dnia odbyła się piękna uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej ufundowanej przez SPK ku czci żołnierzy P.S.Z. poległych w latach 1939 do 1945. Uroczystość poprzedzona była mszą św. odprawioną w kościele św. Stanisława w Rzymie, a sam akt odsłonięcia odbył się na dziedzińcu przy kościele. Wzięli w nim udział Księża Biskupi, generałowie, delegaci SPK z różnych krajów oraz tłumy publiczności. Aktu poświęcenia tablicy dokonał ks. bisk. Rubin, a krótkie przemówienie wygłosił prezes Zarządu Głównego SPK gen. K. Ziemski. Po tej uroczystości Księża Biskupi Rubin i Wesoły podejmowali gości lampką wina.

(p. h.)



dzenia“ — pożegnał Ojciec Święty pielgrzymów, by z kolei w prywatnej audiencji przyjąć około 50 czołowych przedstawicieli emigracji polskiej — w tym wielu delegatów SPK spoza Wielkiej Brytanii. Na audiencji tej obecni byli m.in.: ks. ks. biskupi: W. Rubin, S. Wesoły, archimandryta German (Polska Autokefaliczna Cerkiew Prawosławna), ks. biskup Fierla (Polski Kościół Ewangelicko-Augsburski), gen. B. Duch — reprezentujący gen. Andersa, gen. Kopański, gen. K. Rudnicki, gen. K. Ziemski, przewodniczący Egzekutywy K. Sabbat, amb. dr K. Papée, prezes S. Soboniewski i sekretarz gen. SPK Z. Szadkowski, płk. M. Leśniakowa, ppłk. L. Gnatowski, prezes Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii P. Hęciak, przewodniczący ZHP R. Kaczorowski i inni. Po krótkim przemówieniu Ojca Świętego gen. Duch wręczył — jako przewodniczący Komitetu Wykonawczego Obchodu 25-tej rocznicy zwycięstwa pod Monte Cassino — papieżowi specjalnie wybity medal pamiątkowy. Wszyscy uczestnicy tej audiencji otrzymali — po wspólnym zdjęciu z Ojcem Świętym — piękne medale pamiątkowe.

Obydwie audiencje przeżyli wszyscy Polacy z największym wzruszeniem.

Tego samego dnia specjalnie wyznaczone delegacje złożyły wieńce pod pomnikiem marsz. Piłsudskiego, kolumną

republiki rzymskiej, pomnikiem Nieznanego Żołnierza na Piazza Venezia (w tym pięknym akcie wzięło udział kilka tysięcy Polaków) przy którym wartę honorową pełnił oddział karabinierów włoskich oraz młodzież harcerska i wreszcie na cmentarzu francuskim.

Wieczorem odbyło się serdeczne spotkanie koleżeńskie żołnierzy 5 KDP (a następnego dnia wieczorem w pięknym hotelu poza Rzymem spotkanie koleżeńskie 3 DSK).

Pierwszego dnia odbyło się także w ambasadzie R.P. przyjęcie na którym amb. dr K. Papée powitał licznych gości z całego niemal świata. W czasie przyjęcia wręczył gen. B. Duch Czi-



# OWOCE PRZEGRANEGO ZWYCIĘSTWA

**W**OBEC małoduszności i krótkowzroczności sprzymierzonych, przypieczętowanej Teheranem, Jaltą Poczdamem, przegraliśmy wojnę — mimo dwukrotnego odtworzenia poważnych sił zbrojnych na obczyźnie, liczących pod koniec ponad 200.000 i wstawionych wielkimi zwycięstwami pod Monte Cassino i Falaise, doniosłą rolą w „Battle of Britain“ i ofiarną akcją naszych okrętów. Przegraliśmy wojnę, choć nasz rozpaczliwy opór w tragicznym Wrześniu stał się „natchnieniem świata“ i choć po nim powstała w kraju największa w dziejach i najbardziej skrwawiona armia podziemna.

Wszystkie te wysiłki, ofiary i triumfy nie przyniosły Polsce wolności i nie uchroniły jej ani przed czerwonym jarzmem, ani przed zagrabieniem jej ziem wschodnich. Czy wobec tego były całkiem daremne i szyfowe? Czy nigdy plonu nie przyniosą, nigdy napisania „ostatniego rozdziału“ nie ułatwią? Czy istotnie, jak się nieraz słyszy, tylko mogiły, blizny, odznaczenia, chwałą okryte sztandary oraz gorzkie wspomnienia po nich zostały? Czy istotnie nasza droga prowadziła nie do Polski ale na manowce, jak głosi reżim?

Przypomnijmy sobie, że przeszło pół wieku temu podobny los spotkał Legiony i polskie formacje na terenie Rosji. One także zostały rozwiązane, a jednak stały się załóżkami i ostoją odrodzonego W.P., które po dołączeniu wojsk wielkopolskich i armii hallerowskiej odniosło w latach 1919/20 ów wiekopomny triumf nad bolszewicką szarańczą. Triumf tym bardziej zdumiewający cały świat, że poprzedzał go przeszło stuletni okres niewoli, w którym, by użyć spizowych słów Żeromskiego, „wgrzyła się w narodu ręce i nogi rdza łańcuchów, gniło tam i sam ciało, kusiło odstępstwo i sypała piasek w oczy straszliwa ohyda niesławny i długość cierpienia“.

Zwycięstwo to scaliło rozdarte dzielnice, wyprostowało zgięte niewolą grzbiety, rozpowszechniło gotowość do obrony honoru i całości ojczyzny i umożliwiło budowę i postęp, przerwany, niestety, już po 20 latach

napaścią drapieżnych i przemożnych sąsiadów. Bez tego ładunku wiary w swoją wartość, danego naszemu narodowi zwycięskim błyskiem polskiego oręża i pełnej niepodległości, nie byłby on zdolny ani do stawienia czoła niemieckiej nawałnicy, ani do kontynuowania walki po nieuchronnej klęsce, ani później do owej zdumiewającej odporności na miazmaty czerwonej niewoli.

Nie były daremne i bezcelowe także dlatego, że tak podniosły w świecie wydźwięk określeń „Polska“ czy „Polacy“, iż nawet nasi kremlojscy wrogowie musieli nadać Polsce pozory suwerenności, choć jeszcze w 1939 roku chcieli ją, „bękartą narodów“, wymazać ponownie z karty Europy.

Nie były daremne, bo zmyły niebezpieczny osad defetyzmu, powstały po klęsce wrześniowej i pogłębiony prześladowaniami i perfidną propagandą.

Nie były daremne, bo dały przynajmniej częściowy odwet za wrześniowy dramat i gehennę pobitego Kraju.

Nie były daremne, bo wykazały, do czego jest zdolny polski żołnierz, gdy jest dostatecznie uzbrojony, a tym samym zamieniły lekceważący początkowo stosunek przyjaciół i wrogów jeśli nie w podziw, to w każdym razie w respekt.

Nie były daremne, bo dały nam ogromny kapitał doświadczeń wojсковych, politycznych, technicznych, gospodarczych, organizacyjnych obywatelowych itd.

Nie były daremne, bo w razie niepodjęcia walki przy boku sojuszników zachodnich niemożliwe by było ani tak wczesne wyprowadzenie masy nieszczęsnych „turystów Stalina“ z sowieckiego piekła, ani przyznanie żołnierzom A.K. praw kombatanów.

Nie były daremne, bo wytrwanie w walce do końca (mimo sprzeczania nas w Jaltcie) sprawiło, że staliśmy się, przynajmniej przejściowo, przykrym wyrzutem sumienia naszych sojuszników.

Nie były daremne, bo wzbogaciły i uratowały przed wypaczeniem prawdziwą tradycję oręża polskiego.

Nie były daremne, bo zdobyły nam w wolnym świecie sporo szczyrych przyjaciół i prawo do przemawiania w zastępstwie naszego narodu w Kraju, do milczenia zmuszonego.

Nie były daremne, bo bez odtworzenia P.S.Z. na obczyźnie nasza stara emigracja nie zostałaby zasilona i uaktywniona jakże potrzebnym zastrzykiem elementu uchodźczego.

Tę i tak już długą litanię dodatknych pozycji w bilansie naszego wkładu do II. wojny światowej można by jeszcze przedłużyć. Chyba nie warto, bo nawet nie wszystkie wymienione zagrać muszą.

Ale znaczna ich część kiedyś niechybnie zaważy na szali wydarzeń i na przyszłości Polski, choć tymczasowo saldo naszego wkładu wydaje się ujemne.

Byleśmy tylko nie zmarnowali tego kapitału doświadczeń i atutów psychologicznej natury niezgodą, sobokstwem lub brakiem rzutkości i roztropności.

I byle nasze młode pokolenie nie tylko się nie wynarodowiło czy zarażiło modnym obecnie cynizmem i nihilizmem, ale wykazało (mimo posiadania obcego obywatelstwa) nie mniejszą gotowość do pracy i ofiar na rzecz przywrócenia prawdziwej niepodległości nieszczęsnej ojczyźnie polskiej, niż wykazały starsze pokolenia w latach 1914-1945.

Jest to tym potrzebniejsze, że nasze zastępy się gwałtownie starzeją i kurczą, że na razie nie zanoszą się na rychłe powtórzenie się tak korzystnej koniunktury, jaka powstała w 1918 roku, ale że ona kiedyś w ten czy inny sposób powtórzyć się musi. Bo nie mogą być w nieskończoność pod obcym lub narzucanym jarzmem stare, dumne i kulturalne narody, gdy nawet prymitywne szczepy afrykańskie wolność uzyskują.

Do tego dnia musi być przechowywana nasza prawdziwa tradycja żołnierska, by mogła dać pełny plon osiągnięcia naszego oręża, przegranym zwycięstwem przyćmione.

# Warszawa — Moskwa — Bukareszt

WYGLĄDA na to, że proponując w maju rządowi w Bonn zawarcie układu, na mocy którego NRF uznałaby granicę na Odrze i Nysie, Gomułka nie działał z własnej inicjatywy. Wyrzeczenie się przez Niemcy roszczeń terytorialnych w stosunku do ziem utraconych na wschodzie po ostatniej wojnie byłoby, rzecz jasna, korzystne dla Polski bez względu na to kto w Warszawie sprawuje władzę — ale okoliczności międzynarodowe i termin wysunięcia propozycji przez Gomułkę wskazują, że miała ona głównie na celu oddanie usługi przywódcom na Kremlu... W czerwcu na moskiewskiej konferencji komunistycznej, w czasie której usiłowano ratować resztki rozpadającej się pro-sowieckiej międzynarodówki marxistowsko-leninowskiej — propozycja Gomułki służyła przede wszystkim propagandzie i interesom Związku Sowieckiego. Delegaci rosyjscy lub ich zauszniczy mogli mówić: „Kreml nikomu nie przeszkadza w nawiązywaniu stosunków i w prowadzeniu rozmów z Zachodem, nawet z Niemiecką Republiką Federalną. Dowodem — Gomułka, który słusznie dąży do odprężenia, a tym samym daje dowód umiłowania pokoju“. Tego rodzaju argumentami usiłowano odeprzeć oskarżenia, z jakimi niektóre delegacje — włoska w szczególności — występowały pod adresem Kremla z powodu najazdu na Czechosłowację. Gomułkę przedstawiano jako model lojalności i rozsądku, więc jemu zezwalano na kontakty z Niemcami Zachodnimi. Natomiast Dubczekę prezentowano jako buntownika, który czort wie do czego by doprowadził, gdyby pozostawiono mu swobodę działania — więc zdaniem Moskwy trzeba było w Czechosłowacji zrobić wojskową interwencję.

Propozycja Gomułki wiązała się też z ogólną polityką odprężenia, którą Moskwa chciałaby prowadzić w Europie ze względu na napięcie w Azji i na pogorszenie się stosunków z Chinami. Dysponując dziś bronią atomową, Chiny nie tylko nie życzą sobie być sowieckim satelitą, ale upominają się o zabrane im przez Rosję carską terytoria. Zagrożony w Azji, Związek Sowiecki patrzyłby życli-

wym okiem na poprawę stosunków z jedynym narodem, którego naprawdę się boi: z Niemcami. Po linii tej polityki idzie właśnie „inicjatywa“ przywódcy PZPR.

\* \* \*

Gomułka dał też inny dowód szczególnej wobec Kremla usłużności, gdy na moskiewskim „szczyście“ gwałtownie atakował Chiny. Starał się w ten sposób wytworzyć atmosferę, sprzyjającą potępieniu obecnego chińskiego przywództwa przez konferencję. Nie na wiele się to jednak zdało, gdyż zbyt wielu uczestników zjazdu, mając dość moskiewskich ukazów, sprzeciwiało się napiętnowaniu Chin, mimo że polityka Pekinu wcale ich nie entuzjazmuje.

Jedną z delegacji, która stanowczo ostrzegała przed krytykowaniem i ekskomunikowaniem Chin Mao-Tse-tunga, była delegacja rumuńska. Nie był to ani pierwszy ani ostatni niezależny gest Ceaucescu w stosunku do Breżniewa i Kosygina. Wkrótce po moskiewskim szczyście przywódcą rumuński znowu zwrócił na siebie uwagę ogłoszeniem wiadomości, że w pierwszych dniach sierpnia gościć będzie w Bukareszcie powracającego z podróży azjatyckiej prezydenta Stanów Zjednoczonych Nixona. Nie wiemy, czy o tej wizycie powiadomiono zawczasu przywódców moskiewskich, czy też dowiedzieli się oni o całej sprawie z obcych doniesień agencyjnych, czy audycji radiowych. Moskwa zachowała się tak jakby ją zignorowano — co nie jest wykluczone, gdyż byłoby to całkowicie w stylu ryzykanckiej polityki Ceaucescu.

Zapowiedź przyjazdu Nixona do Bukaresztu ponownie zaktualizowała problem stosunków Rumunii z Sowietami, jej sytuację wewnętrzną oraz politykę Ceaucescu wobec Chin. Komentatorzy nie po raz pierwszy wyrazili pogląd, że Ceaucescu dlatego sobie wobec Moskwy na tak wiele pozwala, że sam rządzi w Rumunii twardą ręką, że uprawia zamordyzm i że za najmniejsze odruchy niezadowolonia każe obywateli zamykać do więzienia. Ta stalinowska dyktatura jest bardzo mile widziana w Moskwie, gdyż nie grozi przenikaniem do Rosji

niebezpiecznych nowinek wolnościowych tak jak to było z Czechosłowacją i jej Dubczekiem, który liczył na poparcie swej liberalnej polityki i socjalizmu „o ludzkim obliczu“ przez kilku wybitnych członków moskiewskiego przywództwa.

\* \* \*

Wśród artykułów, jakie na temat Rumunii ukazały się ostatnio w prasie zachodniej, na specjalną uwagę zasługuje reportaż pióra Fernanda Gigon ogłoszony na łamach paryskiego tygodnika „Le Figaro Litteraire“. Są w tym reportażu różne ciekawe spostrzeżenia. Autor pisze np., że mimo telegramu z wyrazami przyjaźni, wysłanego przez Ceaucescu do Pekinu na potępianiu przez Kreml dziewiąty kongres chińskiej partii komunistycznej, prasa rumuńska zachowywała i zachowuje na temat Chin szczególne milczenie. Ani wspomnianego telegramu, ani odpowiedzi Mao-Tse-tunga nie opublikowano. Chiny — to super-tabu. Gdy jednak 1-go maja biorąca udział w tegorocznym pochodzie grupa Chińczyków zbliżyła się do głównych trybun wszyscy obecni w trybunie C — goście rządowi, zaśluzeni działacze i dziennikarze — powstał z miejsc i burzliwie oklaskiwali Chińczyków. Widziano też transparenty z napisami na cześć Chin. Nie było natomiast ani jednego, propagującego przyjaźń ze Związkiem Sowieckim. W innym zaś miejscu współpracownik „Le Figaro Litteraire“ pisze, że Ceaucescu nie jest bardzo lubiany, ale zdobył sobie popularność swą polityką antysowiecką. Pod tym względem — kontynuuje Gigon — wszyscy go popierają. Nastroje antysowieckie są tak zakorzenione, że nakłaniają opozycję do milczenia i cementują wyłomy w partii. Korespondent francuski przypomina również, że zeszłoroczny najazd na Czechosłowację przeraził Rumunów. Wiedzą oni bowiem, że kraj ich jest otwarty i bardzo podatny na uderzenia z zewnątrz. O nastrojach jakie panowały w Rumunii zaraz po najeździe na Czechosłowację świadczy fakt, że rankiem 22-go

(Dokończenie na str. 6)

Motto:

Arm in Arm mit dir,  
...So fordre ich mein Jahrhundert...  
In die Schranken.

(F. Schiller: Don Carlos):

**K**IEDY trzech skromni Amerykanie nie zajęci byli wykonaniem zadania omal że przechodzącego granice fantazji ludzkiej, ziemscy obserwatorzy, kwalifikowani i amatorscy, zabijali czas analizą znaczenia takiego wyczynu, jego genezy i konsekwencji dla przyszłych pokoleń. Szukano naturalnie podobnych, lub chociażby zbliżonych do obecnego, pomysłów w historii cywilizacji. Nawzajem bohaterstwo pioniera, najczęściej przytaczane, wskazywało na Krzysztofa Kolumba (Cristóbal Colón — po hiszpańsku).

Trudno o niewłaściwsze porównanie. Kolumb miał, niewątpliwie, pewne zalety, charakteryzujące odkrywcę z powołania. Posiadał odpowiedni temperament i zapał, wytrwałość, graniczącą z uporem, silną wolę i wizję wielkiego powodzenia. Mógł wykazać się kwalifikacjami solidnego kapitana marynarki handlowej. Cierpiał natomiast na manię wielkości, wierzył w jakąś mistyczną misję i swoją szczęśliwą gwiazdę. Planowanie na dłuższą metę, oparcie się o właściwą organizację, kolektywne przygotowanie do dzieła uważał za zbędne. Ufał szczęśliwemu przypadkowi, który go do pewnego stopnia nie zawiodł, i szczególnej opiece boskiej. Zmarł, nie zdając sobie sprawy z rodzaju i doniosłości swego odkrycia.

Łądowanie na księżycu było wspa-

**FRYDERYK GOLDSCHLAG**

# BÓG JEST W

niałym ukoronowaniem mrówczej, konsekwentnej, subtelnej i dokładnej pracy, triumfem nowoczesnej technologii, która zaprzęgała do swego rydwanu najgenialniejsze mózgi wszystkich specjalności na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia. Rola szczęścia czy przypadku została wyeliminowana, rolę Opatrzności objęła Sala Kontroli z 500 fachowcami na każde zawołanie.

Kolumb ufał więcej konstelacji gwiazd aniżeli dzisiejsi astronauty ufają swoim komputerom. Dlatego trudno stawiać wszystkich w jednym rzędzie i przedstawiać ich jako przedstawicieli tego samego geniuszu ludzkiego i tej samej rasy odkrywcy. Może tylko wstrząs, reakcje nań, wzbudzenie wiary w potęgę umysłu, fantazje na temat otwierających się możliwości były w obu wypadkach identyczne.

Dlatego więc życie i czyny Kolumba zasługują na przypomnienie i właściwe oświetlenie. Przyszedł na świat w Genui (1451-1506) ale uważał się za Hiszpana. Walczył nawet po stronie portugalskiej przeciw własnej ojczyźnie. Pisał i mówił po hiszpańsku. Opisano go jako dobrze zbudowanego, wysokiego, rudego jęzgością o skórze szczególnie białej. Trudnił się przez pewien czas korsarstwem. Jego intelekt był raczej ograniczony. Zajmowała go jedna idea, którą był opętany i na wszystko pa-

trzył pod tym kątem widzenia. Był fanatycznie religijny. Zatykał krzyże na nowej ziemi z myślą o złocie, które tam złupi. Pewne rysy psychiczne, przebijające z jego czynów i pism, budzą podejrzenie paranoi. Atmosfera, w której zrodził się pomysł „Wielkiego Przedsięwzięcia“ (nazwa pochodzi od Kolumba) sprzyjała wszelkim ucieczkom od rzeczywistości. Dla wielu intelektualistów był to okres zmierzchu postępu, narodzin pesymizmu, zwycięstwa półksiężyca nad krzyżem. Niepokoje, bunty i zarazy dopełniały miary.

Kolumb uchodzi za odkrywcę Zachodniego Świata. Nic podobnego. Nigdy też za życia nie rościł sobie pretensji do tego zaszczytnego tytułu. Pożegnał się ze światem, nie zdając sobie sprawy o ile go powiększył. Historia przeszła nad tym deprymującym zdarzeniem do porządku dziennego. Czci Kolumba, wbrew faktom i błędnej przez niego ocenie dokonanego dzieła, jako osobnika odpowiedzialnego za „najbardziej sensacyjne odkrycie geograficzne w ludzkiej historii“. Obecnie należy się liczyć z przesunięciem go na dalsze miejsce.

Podróże Marco Polo, wzniesiony ciekawość i rozpowszechniły legendy o potędze Kublai Khana i bogactwie jego państwa, zwanego wówczas „Cathay“ co odpowiadało Chinom. Szlaki lądowe wiodące do Indii i Chin narażały poważne trudności i narażały kupców, również podróżników, na wiele przykrości a nawet niebezpieczeństwa. W r. 1453 Turcy zajęli Konstantynopol i objęli kontrolę nad najważniejszą drogą. Poczęto więc oglądać się za inną komunikacją. Ówczesni kosmografowie i kartografowie wyobrażali sobie ziemię jako kulę. Podróż w kierunku zachodnim musiała, ich zdaniem, doprowadzić do Indii Wschodnich, Chin i Japonii (Cipang). Nikt jednak nie śmiał puścić się poza Azory. Kolumb zdobył swe ostrogi żeglarskie w służbie marynarki handlowej królestwa Portugalii. Posiadał doskonałe wiadomości z tej dziedziny i opanował nieco astronomię. Potra-

## WARSZAWA — MOSKWA — BUKARESZT

sierpnia zebrał się w Bukareszcie pod siedzibą władz stutysięczny tłum, złożony przeważnie z robotników i ich rodzin. Mimo wielkiego upału ludzie ci czekali przez 7 godzin na wiadomość, czy Rosjanie nie weszli także do Rumunii. Autor nie tai swego podziwu dla zręczności Ceaucescu pisząc: „Obrona Rumunii przed sowieckim zagrożeniem jest arcydziełem współczesnej dyplomacji. Przykładem może być umiejętność z jaką Rumuni od 6 lat potrafili uniknąć manewrów Układu Warszawskiego pod sowieckim dowództwem na swym terytorium“. W podziwie dla obecnego przywództwa korespondent nie po-

suwa się jednak zbyt daleko. Oto jeszcze jeden fragment jego reportażu: „Zręczny, inteligentny i po bizantyjsku przebiegły Ceaucescu prowadzi walkę na kilku frontach. Zachód chętnie wierzy, że ta walka wyprowadzi Rumunię poza strefę wpływów sowieckich. To błąd. Państwa kapitalistyczne nie powinny żywić w tej sprawie żadnych nadziei. „Nie“ pod adresem Moskwy nie oznacza „tak“ dla Zachodu.“

Czy pogląd ten jest słuszny? Zagadnienie to było być może przedmiotem interesującej dyskusji w czasie bukareszteńskiej wizyty prezydenta Nixona.



# SWOIM NIEBIE

fił kierując się gwiazdami oznaczyć szerokość geograficzną, znał się na podziałce stopniowej, jakkolwiek mylił się w obliczeniach. Skutkiem tego oznaczył obwód globu o 1/4 mniej aniżeli wynosi w rzeczywistości. Nie pozostało to bez wpływu na rozczarowanie załogi i własne, podczas wielkiej podróży. Doksztalcał się chętnie, czytając pilnie i rozprawiając z uczonymi z prawdziwego zdarzenia.

Szczególnym zaufaniem darzył lekarzy. Wielkim autorytetem był dla niego mistrz (ówczesny tytuł) Paolo dal Pozzo Toscanelli (1397-1482), Urodzony we Florencji miał szerokie znajomości w sferach kupieckich i podróżniczych swej ojczyzny. Poza medycyną zajmował się gorliwie geografią, czynił zapiski i rysował mapy na podstawie sprawozdań pątników, turystów i dowódców karawan. Znajdując wśród nich zaufanych obserwatorów, orientował się doskonale w ważniejszych arteriach komunikacyjnych. Wiedza astronomii była dla lekarza obowiązkowa, gdyż ówczesne leczenie uzależniano od cyklu księżycowego, pozycji ciała niebieskich i znaków Zodiaku.

Dr Toscanelli prowadził żywą korespondencję z innym szkolarzem, Fernando Martini, kanonikiem katedry lizbońskiej. Król Alfons Portugalski, wiedząc o tej przyjaźni, prosił kanonika, aby wybadał opinie sławnego lekarza co do możliwości znalezienia zachodniej drogi, wiodącej na Daleki Wschód. Toscanelli wykreślił szlak morski, liczący 5.000 mil do Chin. Pomylił się w swych kalkulacjach, ale, gdyby zamiast wybrzeży Azji Wschodniej przyjął jako inny cel inny ląd, nieznaną jeszcze Amerykę, obliczenie byłoby zdumiewająco poprawne.

W r. 1481 Kolumb konsultował florenckiego mistrza i otrzymał od niego dwa pochlebne listy z komplementami pod adresem Portugalii i własnym. Również zachęte: „Jeśli podejmiesz zamierzoną podróż, zaprowadzi cię do potężnych królestw, szlachejnych miast i bogatych prowincji“. Dodał również przestrogi, dotyczące się odpowiedniego postępo-

wania z władzami i tubylcami. Do listów załączył mapy własnego pomysłu.

Te dwa pisma uważał Kolumb za najcenniejszą broń w swej walce o zdobycie pozwolenia na wyprawę. Nie rozstawał się z nimi i zabrał je nawet ze sobą, gdy puścił się w nieznane. Przy wszystkich pertraktacjach a później rozprawach sądowych powoływał się na nie.

Między 1476-1485 przebywał na terenie Portugalii. Pracował wytrwale, uchodził za wzór pobożności i obowiązkowości. Ożenił się z córką arystokratycznej rodziny i miał z nią dwóch synów. Od r. 1481 pozostawał w służbie ks. Henryka Żeglarza. W ciągu 3 lat awansował na komendanta floty króla Jana II.

W r. 1484 król skienował memoriał Kolumba do Komitetu dla Spraw Morskich z rozkazem wypowiedzenia się w sprawie proponowanej wyprawy. W komitecie zasiadali dwaj lekarze, mistrz José Vizinho, uczeń rabi- na Abrahama Zacuto, sławnego matematyka, i mistrz Rodrigo, nadworny chirurg a znakomity navigator, wynalazca wielu pożytecznych instrumentów. Obaj wypowiedzieli się przeciw projektowi, przeciągając na swoją stronę teologów. Kolumb nie zniechęcił się. Udał się do portu Palos, w Hiszpanii, gdzie spotkał dwóch życzliwych mu entuzjastów projektu. Jednym z nich był mnich Antonio de Marchena, franciszkanin, znakomity nauczyciel astronomii, drugim pilot i właściciel statku Martin Alfonso Pinzón. Obaj polecili go królowej Izabelli. Niestety wojna z Maurami pochłaniała całą uwagę dworu.

Dopiero w r. 1486 stanął przed katolickimi monarchami. Królowa poczuła głęboką sympatię dla śmiałka choć miarodajna komisja odrzuciła projekt. Pechowy żeglarz próbował znowu szczęścia w Portugalii, ale odkrycie nowej drogi do Indii przez opłynięcie Afryki nie sprzyjało planom Kolumba. Powrócił więc do Hiszpanii, gdzie dzięki interwencji przeora Juan Pérez i dra Garcia Fernandez, mentora kosmografii i geografii, uzyskał wreszcie audiencję z królewską parą. Tym razem komisja wyra-

ziła zgodę ale wyższa instancja, złożona z teologów i arystokratów, sprzeciwiła się projektowi. Pretensje nieznanego kapitana wydały się jej bezzcelnie wygórowane. Kolumb szacował się bardzo wysoko. Żądał wyposażenia trzech pełnych karaweli, załadowania ich towarami handlowym na okres roczny, następnie szlachectwa dla siebie i potomstwa, rangi admirała, godności wicekróla i gubernatora zajętych prowincji, 10% dochodów płynących stamtąd, 12% z zysków handlowych, opłat przewozowych i frachtów okrętowych.

Tym razem Kolumb zraził się do półwyspu iberyjskiego i udał się do Francji. W drodze do Wersalu dopadł go kurier hiszpański i wręczył mu rozkaz natychmiastowego powrotu. Skarbnik królewski Luis de Santangel przekonał króla, że ryzykując obietnicami mało, może wygrać wiele. Wyposażenie floty Kolumba kosztowało 15.000 dolarów na dzisiejsze pieniądze. Koszt lądowania Apol- lo 11 zapewne 1 bilion, jeśli nie więcej. Komplet załogi, załadowanej na cztery łupiny, zwane szumnie statkami, wynosił 87 marynarzy i oficerów. Zapewne dane są nieściśle i ich liczba była wyższa. Pamiętano troskliwie o zaopatrzeniu się w lekarstwa i czterech mistrzów objęło obowiązki lekarskie. Naczelnym lekarzem i aptekarzem mianowano Garcia Fernandez, tego właśnie, który wyjednał Kolumbowi audiencję. Prócz niego znaleźli się Juan Sánchez z Kordowy, Alfonso Moguer z Palos, mistrz Diego z cechu balwierzy-chirurgów. Oddali swym zachowaniem się i poświęcającą opieką wielkie usługi załodze i kptanowi, nie tylko fachową wiedzą, ale i znajomością psychiki awanturników i straceńców, którzy zaciąg- nęli się na „Wielkie Przedsięwzięcie“. Dwaj z nich, niestety, zginęli już na lądzie, pożarci zapewne przez „ludo- żerców“. Inni zaznajomili się z nową florą, opisali różne zioła, między innymi liście tabaki, drzewa gumowe, jarzyny etc.

Przechowały się bardzo ciekawe pamiętniki mistrza Garcia Fernandez, zawierające dokładne obserwacje z podróży i wrażenia z nowego kontynentu. Pisane są ze znajomością rzeczy i wielką pokorą. Rozpoczynają się przypomnieniem: Bóg jest w swym niebie.

(Dokończenie na str. 8)

# KSIĘŻYCA JASNOŚĆ BLADA...

## SREDNICA:

3.476 kilometrów, ok. jedna czwarta średnicy ziemi, która wynosi 12.744 kilometry.

## OBJĘTOŚĆ:

22.010.000.000 kilometrów kubicznych tj. jedną pięćdziesiątą objętości ziemi.

## POWIERZCHNIA:

ok. 38 milionów km. kwadratowych tj. jedna trzynasta powierzchni ziemi.

## CIEŻAR Na POWIERZCHNI:

jedna szóstą ciężkości na ziemi: jeden kilogram waży na księżycu ok. 166 gramów.

## TEMPERATURA:

w czasie dnia księżycowego waha

się od ok 130 powyżej zera w punktach wystawionych na działanie słońca do ponad 50 stopni poniżej zera w cieniu. W czasie nocy księżycowej temperatura może przekroczyć 150 stopni poniżej zera.

## DZIEŃ KSIĘŻYCOWY:

trwa ok. 14 dni ziemskich.

## NOC KSIĘŻYCOWA:

trwa ok. 14 nocy ziemskich.

## PEŁNIA KSIĘŻYCOWA:

co 29 i pół dnia.

## MIESIĄC KSIĘŻYCOWY:

29 dni, 12 godzin, 2,8 sekundy.

## SZYBKOŚĆ PRZEBIEGU ORBITY:

2,4 na sekundę. Księżyc obraca się

dokoła swej osi pochylony o 83 stopnie do płaszczyzny orbitalnej.

## ŚREDNIA ODLEGŁOŚĆ OD ZIEMI:

384.400 kilometrów (najbliższy względem ziemi punkt orbity księżycowej 356.430 km., najdalszy 406.720 kilometrów).

## GÓRZYSTOŚĆ:

częsta, waha się między 2.000 a 5.000 metrów; góra Leibnitz przewyższa 8.000 metrów.

## KRATERY:

dotychczas odkryto ok. 300.000, po większej części o małej średnicy.

## WIELKIE KRATERY:

ok. 20.000 ze średnicą w niektórych wypadkach dochodzącą do 250 kilometrów.

Ziemia oglądana z księżycyca nie wschodzi ani nie zachodzi. Astronaucci udający się na księżyc widzą naszą planetę na niebie zawsze w tym samym miejscu z wahaniami w zależności od punktu, z którego patrzą. Patrząc w niebo ze środka widzialnej tarczy księżycyca, dostrzegamy ziemię na zenicie tj. nad naszą głowę, natomiast stanąwszy

na brzegu tarczy, widzimy glob ziemski na najniższym horyzoncie. Z powierzchni księżycyca można obserwować obrót ziemi dokoła jej osi i ukazujące się w okresie 24-godzinny wszystkie jej kontynenty i morza.

Pliniusz i Plutarch utrzymywali, że księżyc wywiera szczególny wpływ na żywe organizmy i na ma-

terię: zbliżając się do ziemi nasycyca je, natomiast oddalając się od niej pozbawia je treści. Te starożytne teorie znajdują wyznawców po dzień dzisiejszy, szczególnie wśród wieśniaków, którzy np. sieją w okresie księżycyca w nowiu, wierząc, że rośliny będą rozwijać się pomyślnie, a zbierają gdy księżycyca ubywa.

## BÓG JEST W SWOIM NIEBIE

Nie znamy uczuć amerykańskich astronautów w decydującej chwili i nie czytaliśmy jeszcze ich intymnych zwierzeń. Pokusić się jednak można już dzisiaj na ocenę obu „Wielkich Przedsięwzięć“ z perspektywy ogólniejszej. Zrodziły się na tym samym podłożu zwątpienia w przyszłość świata, zagrożonego 500 lat temu wojnami i zarazą, a dzisiaj bombami wodorowymi, w tej atmosferze bankructwa idealizmu, buntu i gwałtu, a budzącej się potrzeby zadokumentowania walorów ludzkiego umysłu. Obu przyświecała podświadoma chęć zerwania pęt i przekroczenia dotychczasowych, nienaruszalnych granic. Uświadomiły mikrokosmosowi, że otwiera się przed nim wielki i tajemniczy makrokosmos.

Historycy okresu przełomowego stwierdzili, że po roku 1492 nastąpił wstrząs w życiu duchowym cywilizowanej Europy. „Nowe idee poczęły się budzić, wiara w Boga ożywiać, a ludzki duch odnawiać się“ (S. E. Morrison).

Amerykańscy lotnicy spędzają zasłużony odpoczynek w kwarantannie, ale reakcja umysłów, zaćmionych cynizmem i niewiarą, na ich wspaniałe osiągnięcie poczyną się zaznaczać. Jeśli pójdzie właściwą drogą, to stanie się tak, jak planowali dwaj młodzi naprawiacze świata w dramacie Schillera i wszystkie wydatki i wysiłki nie pójdą na marne. Będzie można z mistrzem Garcia Fernandez powtórzyć: Bóg jest w swym niebie.

Starożytna astrologia twierdziła, że istnieje bezpośredni związek między człowiekiem i ciałami niebieskimi. Każda gwiazda miała związek z poszczególnymi dniami, z częściami organizmu ludzkiego, z niektórymi metalami. W czasach starożytnych i w średniowieczu wierzone, iż księżyc przynosi smutek, „władca“ poniedziałkiem, ma bezpośredni wpływ na plagi, na sny, a szczególnie na kradzieże. Metalem-symbolem księżycyca było srebro.

Wierzenia ludowe, przekazywane z pokolenia na pokolenie, przypisywały wpływowi księżycyca różnego rodzaju choroby. I tak np. miał on oddziaływać ujemnie na nasze nerwy i na nasz umysł; po dzień dzisiejszy w niektórych krajach epilepsję nazywa się „chorobą księżycową“. Schorzenia skóry, astma bronchial-

na i koklusz również miały pozostać w związku z działaniem księżycyca.

**Z** wpływów biologicznych naszego satelity — uważanych za prawdopodobne także wśród niektórych uczonych — wymienić należy: przyspieszanie fermentacji alkoholowej winogron i lepsze lub gorsze rośnięcie zaczynu chlebowego w zależności od zmieniających się faz księżycyca.

**P**rzeprowadzono już wiele badań na temat wpływu słońca na nasz organizm, np. gdy chodzi o plamy na słońcu, natomiast brak jest prawie zupełnie prac o wpływie księżycyca. Wydaje się jednak, że nie podobna wykluczyć wpływu księżycyca i jego periodycznego cyklu na niektóre fenomeny biologiczne życia ziemskiego. Biorąc pod uwagę wpływ, jaki wywiera księżyc na powierzchnię wody i ziemi naszego globu tj. przyplwy i odpływy mórz, można przypuszczać, że istnieje on także w zakresie zjawisk biologicznych istot żyjących, choć brak nam jest tu jakiejś konkretniejszej wiedzy.

Znany jest np. stan podniecenia u psów i innych ssaków a także u ptaków i ryb w okresie poszczególnych faz księżycyca, szczególnie w czasie pełni. Charakterystyczna jest także zbieżność cyklu periodowego u kobiet z cyklem księżycowym, który trwa ok. 21 dni.

**C**zy księżyc wywiera wpływ na człowieka zanim on dostrzeże jego światło? Zdania na ten temat są podzielone i nic pewnego nie można powiedzieć. Dwaj uczeni Arrhenius i Krafft, którzy kilkadziesiąt lat temu przeprowadzali badania nad częstotliwością urodzin ludzkich, doszli do wniosku, że istnieje niezaprzeczalny wpływ księżycyca na akt narodzin, lecz zagadnienie jest bardzo skomplikowane. Stwierdzili oni, że najwięcej narodzin przypada na pierwszą godzinę pełni księżycyca oraz na drugi dzień po ostatniej kwadrze. Najmniej narodzin zaobserwowali w trzecim dniu przed pełnią.

**N**azwa naszego satelity pochodzi od łacińskiego słowa luna, łączącego się w historycznym rozwoju ze

słowem *l o u s k n a*, które znaczy „odbijać światło“ (por. łac. *l u m e n* — światło). A więc ten, który odbija światło, który świeci, świecący.

**O**bservacja faz księżycyca stała się powodem do licznych wyrażań dla oznaczenia zmienności i niestałości jak np. „zmienny jak księżyc“, „mieszka na księżycu“ itd. W powszechnym użyciu jest w wielu językach słowo *l u n a t y k* dla oznaczenia człowieka cierpiącego na lunatyzm (wykonywanie szeregu czynności i ruchów w czasie głębokiego snu, bez śladów w pamięci po obudzeniu się) lub skłonno do szaleńczego czynu.

Znaczna odległość księżycyca od ziemi naprowadziła na wyrażenie: „spadł z księżycyca“, „przyjechał z księżycyca“ i podobne dla oznaczenia osoby żyjącej w abstrakcji, poza ludzką rzeczywistością. W świetle ostatnich wydarzeń powiedzenia takie jak to ostatnie powinny ulec rewizji.

**S**wiatło pełnego księżycyca jest 465 razy mniejsze od słonecznego. Siła blasku naszego satelity waha się w granicach 30% w zależności od dystansu od ziemi.

**C**elem możliwie jak najlepszego poznania księżycyca przed wysłaniem załogi ludzkiej, Amerykanie wysłali w stronę naszego satelity ogółem 22 sondy typu *Pioneer*, *Ranger*, *Surveyor* i *Lunar Orbiter*. Eksperymenty zaczęły się w latach 1958/9. Sondy te obok szeregu zdjęć dostarczyły wielkiej ilości cennych informacji.

**K**siężyc pomógł starożytnym do rozwiązania zagadnienia miary czasu. Nazwa miesiąca została nadana okresowi czasu, potrzebnemu satelicie ziemskiemu do pojawienia się w tym samym położeniu. Początek miesiąca połączono z pojawieniem się księżycyca w formie sierpa, niezwłocznie po zachodzie słońca. Następnie, dla ułatwienia sprawy regulacji pracy i zajęć podzielono miesiąc na krótsze okresy.

I w tym wypadku wzorowano się na księżycu: cztery tygodnie odpowiadają w rzeczywistości czterem fazom księżycyca. W ten sposób narodził się kalendarz księżycowy.

## WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- materiały dentystyczne produkcji angielskiej, niemieckiej, szwajcarskiej, USA itd.
- wszystkie lekarstwa
- okulary
- pończochy na żyłaki
- wykonywanie recept krajowych sprawnie wyśle, bez zwłoki

Największy na świecie  
Polski Dom Wysyłkowy

## TAZAB & CO.,

T A Z A B H O U S E  
ROLAND GARDENS,  
LONDON, S.W. 7.

Tazab of London Inc., 16, Stuyvesant  
Street, New York 3, N.Y. 10003

o r a z  
Représentation de Tazab à Londres,  
20, Rue Legendre, Paris 17-e.

## ANGLOPOL Ltd.

z a ł a t w i a m y

Kupno — sprzedaż domów  
— Pożyczki do 80%

226, Westbourne Grove,  
London, W. 11.

Tel.: BAY 3645

Nakładem  
KSIĘGARNI POLSKIEJ  
W PARYŻU

JULIAN MAJERCZYK

## EMIGRANCI

powieść z życia górników polskich  
we Francji

Cena: £1.0.0

Do nabycia: KSIĘGARNIA S.P.K.,  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

Dobry uczynek —  
zachęcić przyjaciela  
do prenumerowania  
„ORLA BIAŁEGO“

# TOYNBEE I JEGO DZIEŁO

W kwietniu br. przypadła 80-ta rocznica urodzin tego wielkiego historyka angielskiego. Artykuł niniejszy jest próbą spojrzenia na całokształt olbrzymiego dorobku naukowego Toynbee'ego.

Redakcja

Arnold Joseph Toynbee urodził się w 1889 roku. A więc w czasach apogeum mieszczańskiego optymizmu epoki późnowiktoriańskiej. Już pokolenie jego ojca nie tylko w Anglii, ale w całej zachodniej Europie żyło przeświadczeniem, iż 'ludzkość' osiągnęła taką stałość, że obecnie przyszły czas spokojnego trwania i doskonalenia osiągniętych i według ówczesnych pojęć zawrotnych zdobyczy. Przez 'ludzkość' oczywiście rozumiano Europę zachodnią i jej cywilizację, uważaną za cywilizację po prostu, cywilizację jedyną, jedynie „prawdziwą“. I Toynbee, jeszcze wychowany w ideałach, nadziejach i uludach tej epoki, zmuszony był przeżyć wraz ze swym krajem i Europą zachodnią tyle zmian, że z całą natarczywością narzucało mu się pytanie: Jak się to stało, że tak przecież rozsądne i umiarkowane nadzieje i przeświadczenia poprzedniej generacji tak żałośnie legły w gruzach?

„Poprzednia generacja“ to to pokolenie zachodnio-europejskie, które urodziło się między pięćdziesiątymi a sześćdziesiątymi laty XIX wieku. Szczególnie dla tego pokolenia, głównie dla liberalnie nastawionych kół jego klasy średniej, jedna sprawa przede wszystkim uchodziła za pewną całkowicie: Oto triumfalny pochód zachodniej cywilizacji osiągnął taki poziom, że raj na ziemi jest tuż, tuż. — Jak więc się stało, rzucał sobie pytanie Toynbee, że to pokolenie musiało przeżyć tak okrutny zawód, wysyłając miliony swych synów i wnuków na potworną rzeź na rodów europejskich za pierwszej wojny, której wynik (myślany w kategoriach człowieka zachodniego) rozgoryczał i pokonanych i zwycięzców; żadnej ze stron nie przyniósł niczego, czego mogła być pewna, przy tym wprowadził straszliwe siły społecznego niepokoju, te zaś pra-

wem reakcji doprowadziły tu i ówdzie do takiego nadużycia władzy państwa, uosobionej w jednej partii i w jednym człowieku, że niebawem wszędzie wolność ludzka uległa zagrożeniu, faktycznie lub jako możliwość, a nowa wojna zawiązała apokaliptyczną chmurą na horyzoncie: „Co tu zawiodło? Dlaczego z zamętu wojny i niegodziwości przyniesionych przez naszą epokę, mapa polityczna zmieniła się nie do poznania, rozległy zespół ośmiu mocarstw zredukował się do dwu, przy czym oba te mocarstwa znajdowały się poza Europą zachodnią“?

Listy takich i podobnych pytań — powiada dalej profesor — można było przedłużać w nieskończoność. Te zaś pytania dostarczały równej ilości tematów do historycznych badań. Dzięki wpływowi swego rodzinnego domu, dzięki elementom swego wykształcenia — twierdzi Toynbee — czuł się on wolny od potrójnego szowinizmu: narodowego, zachodnio-europejskiego i religijnego. (Do religii jednak wróci i nawet uczyni ją rdzeniem i osią swego systemu badań historycznych; lecz — jak się wyraża — wróci, „ale nie w tym samym miejscu“, bo nie do chrześcijaństwa w żadnej jego formie zachodniej, czy wschodniej, ale do religii w całym tego słowa znaczeniu katolickiej (określenie Toynbeego; J. T.), która nie przypisuje sobie monopolu na wszystką prawdę, ale podobnie jak hinduizm, uznawać będzie prawdziwość i ważność także innych dróg do Boga.

Z wykształcenia historyk Rzymu i kultury greckiej, był przede wszystkim hellenistą, co sprawiło, że na rozdarty świat po pierwszej wojnie spoglądał poprzez tragiczne wydarzenia, jakie Thukidides opisuje w swej historii wojny peloponeskiej. A to ukazało mu, że „starożytna“ historia Grecji i „nowożytna“ historia zachodnia w rzeczywistości były sobie współczesne powinny zatem być studiowane porównawczo, jedna z drugą czy jedna obok drugiej. Ten paralelizm uderzył go do tego stopnia, iż z nabytego nastawienia umysłu nie poprzestawał na pyta-

niu „jak to i tamto powstało z tego i owego“, ale pytania układały mu się w formę następującą: „jak to i tamto powstało z tego i tamtego tak w historii Zachodu jak i w historii helleńskiej“? Według więc własnego określenia patrzył na historię jako na dwuczłonowe porównanie.

A zaczawszy „myśleć“ historię w kategoriach dwuczłonowego porównania, nie zatrzymał się tylko na tych dwu biegunach: „świat zachodni — świat helleński“. Najpierw historia nie toczyła się już tylko na Zachodzie, bo teatr jej wydarzeń zaczął obejmować cały świat. I właśnie ta i tak tocząca się historia coraz dramatyczniej stawiała pod znak zapytania samo istnienie, samo przetrwanie Zachodu. Toteż nie spoczął, „aż nie poszerzył swej skali kulturowej o znacznie rozleglejsze zakresy“. W ostatnich stu latach Zachód znalazł się w bliskim kontakcie z co najmniej ośmiu odmianami swej własnej cywilizacji w Starym i Nowym Świecie. A dalej: — Zachód nie mógł już ignorować istnienia ani zaprzeczać znaczenia cywilizacji innych niż tylko jego własna i helleńska. Co więcej — właśnie bdawczy umysł zachodniego człowieka odkrył w międzyczasie dzięki pozostałym jeszcze reliktom naziemnym lub wykopał dzięki archeologii spod ziemi różne ongiś wielkie a już zapomniane cywilizacje dawno minionej przeszłości.

Wszystko to nie mogło pozostać bez wpływu na myśl historyczną. Zacytujmy znów Toynbee'ego: „W pokoleniu, które zdobyło tak poszerzony horyzont historyczny, historyk zachodni, który dzięki swemu wykształceniu helleńskiemu nauczył się ujmować historię jako porównanie o dwu członach odniesienia, mógł się poczuć zadowolony tylko wtedy, kiedy w celu studium porównawczego zebrał tyle wzorców ile się tylko dało społeczności, których społeczność helleńska i społeczność zachodnia były tylko dwiema przedstawicielkami“.

Zaczął więc poszerzać swój horyzont poznając historię Indyj, Chin, Japonii oraz pre-Kolumbowych cy-

wilizacji Ameryki, i robiąc systematyczne notatki i wypisy do całego swego dzieła. Znów własne jego wyznaczenie powie nam, że owe notaty ułożyły mu się w od razu w ten właśnie kształt, jakiemu w zasadzie pozostał wierny od pierwszego do dziesiątego tomu swego olbrzymiego „Studium historii“, „The Study of History“, pisanego przez lat 24, od 1930-1954; (ostatnie bowiem dwa tomy, XI i XII zawierają indeksy i polemiki z krytykami). Notaty gromadził w latach 1927 i 1928. A w roku 1929, to jest lat temu 40, niejako w celu „komunii“ nerwowo-fizjologiczno-duchowej odbył podróż łądem od Calais aż do Basry, nad zatoką perską, stąd statkiem do Indyi, Chin, Japonii i wreszcie do Władystoku, skąd kolejną przebył całą drogę powrotną do Ostendy...

\* \* \*

W przedostatnim rozdziale, w cytacji przez mnie podanym, profesor używa określenia „społeczności“. W istocie jednak ma on na myśli „cywilizację“. W jego bowiem przeświadczeniu cywilizacje są najważniejszym polem badania historycznego. Wyliczył ich zrazu dwadzieścia i jedną, z tych 14 już wygasłych. (Lub, jeśli podzielić dwie dodatkowo, jest ich jego zdaniem 23. Następnie dodał jeszcze pięć cywilizacji, jakie nazwał terminem „cywilizacji zatrzymanych w rozwoju“: razem więc dwadzieścia osiem. Jednak znaczenie zasadnicze w jego koncepcji zajmuje owych dwadzieścia jeden cywilizacji).

W ten sposób profesor otrzymał pole badania naukowego poszerzone przeszło dziesięciokrotnie w stosunku do tego, po którym poruszał się tradycyjnie zachodni historyk, gdyż już nie dwie — tzw. grecko-rzymska i zachodnia — lecz ponad 20 cywilizacji. — Z jakim też pytaniem wkroczył na to tak poszerzone przez siebie pole badań historycznych? Ponieważ był świadkiem tylu katastroficznych wydarzeń współczesnych, a te wydarzenia zdawały się grozić (jak to już była mowa) zmierzchem zachodniej cywilizacji — jak inne katastrofy groziły ongiś innym cywilizacjom i rzeczywiście przyprowadziły je o śmierć — nie dziwnego, że jego pierwsze i dlań najważniejsze pytanie brzmiało: „Dlaczego cywilizacje umierają?“ Dodajmy tu, że

Toynbee odrzucał wszystkie dotychczasowe próby i systemy odpowiedzi, odrzucał zwłaszcza wszelkie formy determinizmu i biologizmu głoszące, że każda cywilizacja po okresie powstania, wzrostu, rozwoju, schyłku, musi zginąć, bo takie jest „prawo życia“, lub ponieważ zmieniła się „baza ekonomiczna“, której cywilizacja jest nadbudową, zatem ze zmianą bazy musi nastąpić zmiana nadbudowy, itd.

A jednak znajomość historii dowodzi takich faktów jak załamanie się, zastój, rozkład i upadek cywilizacji. Jako helleniście Toynbee'emu mówiły o tym zwłaszcza dzieje dawnej Grecji (i historia Rzymu). Jeśli więc jego porównanie pomiędzy cywilizacją zachodnią a hellenicką wytrzymuje krytykę i posiada naukowo twórczą wartość, wtedy wynikałoby, zdaniem Toynbee'ego, że „w każdym razie cywilizacja zachodnia nie jest ubezpieczona przed możliwością podobnego losu. A „kiedy przechodząc na obszerniejsze pole swoich poszukiwań autor stwierdził, że w znakomitej większości te cywilizacje, które zestawiał i zanalizował są „albo już nietwórcze albo dawno już martwe,, zmuszony był do wyciągnięcia wniosku, że śmierć naprawdę jest możliwością dla każdej cywilizacji, również dla jego własnej“. — Czymże więc jest ta 'brama śmierci', za którą zniknęło już tyle niegdyś kwitnących cywilizacji? Oto jego pytanie naczelne.

To pytanie doprowadzić go musiało do szczegółowego studium momentów załamania się i rozpadu cywilizacji, stąd zaś konieczność zajęcia się zbadaniem okoliczności powstawania i procesu wzrostu cywilizacji. Wyniki tych badań przynosi jego pierwszych 6 tomów, ogłoszonych przed drugą wojną światową. Żeby jak najwięcej określić metodę profesora Toynbee, posłużmy się słowami prof. G. P. Gouch z jego tomu „Historical surveys and portraits“ (Longmans, 1966). Otóż Toynbee usiłuje wyjaśnić losy cywilizacji przy pomocy formuły „challenge and response“, wyzwania i odpowiedzi. Zbiorowości, podobnie jak ludzie indywidualni, dają z siebie wszystko na co ich stać najlepszego wówczas, gdy wkładają w swe zadania pełnię swych energii. Jeśli wyzwanie jest ponad siły, np. z powodu

klimatu czy wojny, życie zbiorowości załamuje się pod tym ciężarem; jeśli wyzwanie jest zbyt słabe, życie społeczności popada w stagnację. „Proces psychologiczny towarzyszy wydarzeniom i przypadłościom materialnym i jest ich odbiciem, albowiem istnieje rytm pomiędzy zadowoleniem a tworzeniem, pomiędzy opóźnieniem a zmianą. Historia to opis wysiłków człowieka nad przewyciężaniem otoczenia. Nie ma jednak żadnej prostej linii, żadnej szerokiej drogi do postępu. Każda cywilizacja czyni własne doświadczenia i jest poddana procesom wzrostu i rozkładu. I tu znów brak jakiegokolwiek uchwytanego celu, ku któremu rodzina ludzka posuwałaby się powoli i (choćby) po omacku, ale serie zrywów o rozmaitych stopniach znaczenia i powodzenia. Jeśli przeszłość ma być naszym przewodnikiem, nie możemy oczekiwać (po niej) niczego więcej, niż kontynuowania tego następstwa eksperymentów“ (V. s. 24).

\* \* \*

Gouch jak na tych parę zdań całkiem wiernie przedstawił schemat Toynbee'ego; lecz jego (Goucha) studium „Some conceptions of history“ było głoszone w roku 1939, czyli dotyczyło pierwszych 6 tomów. Tutaj Toynbee wystąpił jako autor najwybitniejszego, najszerzej pojętego dzieła, na jakie porwał się jeden człowiek, i wystąpił jeśli nie jako historyk sensu stricto, to przynajmniej jako filozof historii. Zdawał on sobie sprawę z subiektywności absolutnie każdego historyka; lecz jednak równocześnie wierzył w możliwość dotarcia do tak zwanych obiektywnych faktów historycznych i do zespołów takich faktów. Dziś w to już raczej nie wierzymy, co nie znaczy jednak, by ucziwy historyk nie dążył do możliwie obiektywnego grupowania i interpretowania swych „faktów“. Będzie to jednak tylko dążność i za ową dążność będziemy go chwalili lub ganili. Jednak dziś rozumiemy już dość powszechnie, że „fakty“ lub „zespoły faktów historycznych“, wybierane przez historyka w celu badania, oceny, interpretacji, itp., nie są w istocie „faktami historycznymi“, lecz już interpretacjami, i w tej postaci znalazły się w źródłach; a nasze historie są tylko interpretacjami wyborów pewnych

faktów a odrzucenia innych, zatem interpretacjami interpretacji. — Historia „obiektywna“ czegokolwiek jest poza zasięgiem, mocą i zdolnościami człowieka.

Toynbee wyznaje, choć żaden jego czytelnik tego wyznania nawet nie potrzebuje, na przestrzeni pomiędzy zakończeniem tomu VI a zaczęciem i ukończeniem tomów VII-X jego „punkt widzenia nie pozostał bez zmiany“. Dodajmy zmienił nie jeden, lecz wiele takich punktów widzenia. Jest jednak świadom, że jedna zmiana szczególnie uderzy czytelnika jego ostatnich tomów: „W miarę jak posuwałem się dalej, religia zaczęła zajmować coraz bardziej i bardziej wybitne miejsce, aż w końcu stoi w centralnym punkcie obrazu“. — Proszę jednak pamiętać, co powiedziałem na początku tego szkicu, jak Toynbee religię — wróciwszy do niej ze swych podróży po cywilizacjach — zaczął pojmować: w opozycji do judeo-chrześcijańskiego pojęcia o ekskluzywności prawdy. „Hinduskie religie — mówi nam — nie są nastawione na ekskluzywizm. Jest w nich gotowość uznania, iż istnieją alternatywne podejścia do misterium. Pewien jestem, iż pod tym względem mają słuszość i że to katolickie nastawienie religijnego ducha hinduskiego jest drogą zbawienia dla ludzi wszelkich religii w stuleciu, w którym musimy nauczyć się żyć jako jedna rodzina, jeśli nie mamy zniszczyć sami siebie“. (Przypominam Czytelnikom „Orla“ spoza Anglii i nie znającym angielskiego, że „catholic“, pisany z małej litery znaczy tyle, co wszechstronny, uniwersalny, itp.).

W swym zbiorze szkiców, wydanych po ostatniej wojnie pt. „Civilisation on trial“, prof. Toynbee mimo woli czy świadomie sam komentuje swą zmianę w kierunku religijnym następująco: „istnieją różne cywilizacje, które się spotykają i z tego zderzenia rodzą się na ten świat społeczności wyższego rodzaju — wyższe religie. Ale i tu nie koniec poszukiwaniom historyka, gdyż żadnej wyższej religii nie zrozumiemy tylko w pojęciach tego świata. Historia doczesna wyższych religii jest jednym aspektem życia Królestwa Niebieskiego, którego ten świat jest tylko jedną prowincją. Przeto historia przechodzi w teologię“...

Jeśli więc w pierwszych 6 tomach Toynbee był historykiem, czy mógł uchodzić za historyka, który wyciąga wnioski filozoficzne co do istnienia lub nieistnienia pewnych prawdziwości w dziejach ludzkich, to w ostatnich 4 tomach stopniowo przemienił się na proroka, wizjonera, nawet wróża. Oczywiście, posypały się nań ostre krytyki historyków używających „normalnych“ (powiedzmy) metod historycznego badania. Skrytykowano nie tylko jego wnioski, lecz zakwestionowano nagromadzone przezeń fakty, zespoły owych 21, 23 czy 28 cywilizacyj uznano za zupełnie dowolne.

Jacques Maritain, pobudzony olbrzymim dziełem Toynbee'ego, porwał się też na napisanie niedużej książki, poświęconej filozofii historii i tutaj postawił profesorowi zarzut, iż jego „Studium historii“ jest „zupełnie nie teologicznym, lecz tylko racjonalistycznym i naturalistycznym podejściem do filozofii historii“. Jest to zarzut zgoła fantastyczny. Bo Toynbee'emu musimy zarzucić nie brak teologii, lecz właśnie jej nadmiar, gdy w historii nie ma na nią miejsca. Musimy mu zarzucić mylenie płaszczyzny historycznej z płaszczyzną teologiczną, nawet mistyczną, zastępowanie dozwolonego historykowi wnioskowania prorokowaniem. Bo choć istnieje taka dyscyplina jak filozofia historii a nawet teologia historii<sup>1)</sup>: może słuszniej byłoby mówić: choć mogą istnieć różne filozofie historii i różne teologie historii; i choć o **znaczeniu** historii, czyli o filozofii historii, ten tylko może mówić z sensem, kto przynajmniej na tylnym ekranie sweo mózgu posiada świadomość podstawowych założeń judeo-chrześcijaństwa, to jednak z gruntu fałszywe jest twierdzenie profesora Toynbee, że historia **qua** historia jedynie wtedy jest pełną dyscypliną, kiedy „przechodzi w teologię“. I też Ojciec Martin D'Arcy S.J. jak najsluszniej postawił Toynbee'emu zarzut innej natury niż Maritain.

Ojciec D'Arcy wielce miłosiernie

<sup>1)</sup> Jeśli o teologię historii chodzi, dwie najbardziej omawiane w ostatnich latach wyszły — jedna spod pióra szwajcarskiego teologa Hansa Urs von Balthasar, a druga jost dziełem dzisiejszego kardynała, wtedy o. Jean Daniélou S. J.

odniósł się do dzieła Toynbee'ego i nawet z wielkim szacunkiem. W swej bardzo ciekawej książce o chrześcijańskim poglądzie na znaczenie i przedmiot historii wziął go w obronę przed najostrzejszymi krytykami, takimi zwłaszcza jak największy współczesny a niedawno zmarły historyk holenderski Pieter Geyl czy marxizujący profesor Edward Hallett Carr, Anglik. Jednak i D'Arcy musiał uznać to, co wszyscy inni — że istnieje wyraźny rozłam między pierwszymi 6 a ostatnimi 4 tomami „The Study of History“. Nawet najłagodniej usposobieni krytycy nie mogą już dojrzeć historyka i historii w tomach od VII-X.

W międzyczasie bowiem Toynbee przejął część psychologii Junga i dla swej teorii o bodźcach cywilizacyjnych: wyzwaniu i odpowiedzi, nie szuka już dowodów w konkretnych wydarzeniach historycznych, lecz w walce pomiędzy siłami podświadomości a świadomości. Miejsce poprzednich „challenges and responses“ zajmuje — Bóg. Bóg rzuca człowiekowi wyzwanie, aby go prowadzić do Siebie w uniwersalnym i duchowym królestwie. Przeto na historię składają się rozmaite „odpowiedzi“, dawane przez człowieka — jako osobę i w społecznej zbiorowości — na to wezwanie Boże. Odpowiedzi stanowią o zbliżaniu czy oddalaniu się od Boga; w swych „odpowiedziach“ bowiem człowiek posiada wolność tak w jednym jak i drugim kierunku.

W tym ujęciu innego też znaczenia nabrały dla Toynbee'ego cywilizacje. Poprzednio o jakości, wzroście, przebiegu, zastoju i upadku rostrzygała jakość „odpowiedzi“, udzielanych na „wyzwania“ naturalne przez osoby czy jak określał prof. Toynbee, przez „twórcze mniejszości“. Obecnie podstawą dla oceny jakości cywilizacji stało się to, czy daje ona miejsce tak zwane przezeń „wyższej religii“ (i przeto upadek jakiegś cywilizacji nabrał pozytywnie o wiele większego znaczenia niż jej powstanie i rozkwit, jeśli tylko rodził nowy Kościół). Takich „wyższych religii“ wlicza cztery: islam, hinduizm, mahayana-buddyzm i chrześcijaństwo. To ostatnie (o czym już wspomnieliśmy) nie jest dlań religią naczelną i zawierającą potrzebną człowiekowi pełnię prawdy. (Toynbee nawet napisze z czarującą naiwnością i zupeł-

# KONGRES WSPÓŁCZESNEJ NAUKI I KULTURY POLSKIEJ

nie bezwiedną próżnością, że gdyby chrześcijaństwo rzeczywiście podobną pretensję głosiło, wtedy on nie mógłby się uważać za chrześcijanina: jak gdyby na stare lata zapomniał, że to jest właśnie to, co zwłaszcza chrześcijaństwo — w każdej swej rozpoznawalnej formie — głosiło i głosi przede wszystkim: iż Jezus przyniósł najdoskonalszą **pełnię** Objawienia Boga. Wieści on przeto, że powstanie nowa, inna religia, „najwyższa“, i taka religia odpowie w pełni jednemu i zjednoczonemu światu, jaki już się tworzy i pewnego dnia realnie powstanie.

Ton, z jakim Toynbee występuje w swych ostatnich tomach, już nie jest tonem i głosem historyka, nawet nie filozofa czy teologa historii, lecz jak podkreśla Martin D'Arcy S. J., wieszczka i wróża. Sześć razy Toynbee zaręcza swoim czytelnikom, że został nawiedzony wizją, dzięki której zjednoczył się komunią nie tylko z jakąś poszczególną osobą, czy z jakimiś wydarzeniami przeszłości, ale „z wszystkim co było i co ma być“. Głosi bowiem, iż posiadał dar mistycznej intuicji przeszłości...

Oczywiście, to są już nie wysoki, lecz aberacje. Jednak nie byłoby rzeczą sprawiedliwą, aby tylko po nich osądzać tę rozległą panoramę. Bo olbrzymie dzieło Toynbee'ego, jak ktoś powiedział, jest niemal czymś w rodzaju odrębnej cywilizacji literackiej, pełnej własnego życia. A przy tym: W ciągu ostatniego półwiecza nikt nie sprawił tyle zdrowego i nie zawsze zdrowego poruszenia, jak Toynbee, nikt nie stał się przedmiotem tylu krytyk, słusznych i niesłusznych, niż ten najdziwniejszy z historyków. Od czasu ukazania się jego ostatnich 4 tomów, to jest od 1954 roku, czyli od 15 lat, filozofowie, teologowie, a przede wszystkim historycy myśla, mówią, zastanawiają się i piszą na temat czym jest historia. Już wywołanie tak wielkiego ruchu umysłowego stanowi niespożyta zasługa prof. Arnolda Toynbee i będzie może w ostatecznym rozrachunku ważniejsze i pożyteczniejsze, niż samo jego dzieło. Ale i jego dzieło nie przestanie nigdy być pomnikiem największej, najrozleglejszej i najbardziej ambitnej pracy, na jaką indywidualny historyk się porwał i jaką doprowadził do końca...

Jan Tokarski

Na dni 9-12 września 1970 r. został wyznaczony w Londynie Kongres Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na obczyźnie. Jednocześnie odbędzie się taki sam kongres w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Będą one obradować w około 30 lat od rozpoczęcia II-giej Wielkiej Polskiej Emigracji, a około 25 lat od zakończenia wojny. Czas najwyższy na próbę podsumowania wyników naukowej i kulturalnej pracy Polaków na obczyźnie, a może czas jeszcze większy na próbę scalenia obrazu ich wysiłku.

Musimy uważnie zastanowić się nad faktem, że z kilkuset tysięcznej rzeszy pozostałej na Zachodzie, wyłoniliśmy dalszych kilka tysięcy pracowników nauki i kultury. Są oni zagubieni w szerokim świecie, często automatycznie bez kontaktu ze środowiskiem swego pochodzenia. Przeważnie wszyscy musieli w obcym dla siebie środowisku, najczęściej w pojedynkę stoczyć trudną i długotrwałą walkę o wybicie się. Mimo intensywnego tempa pracy większość z nich odczuwa tęsknotę za środowiskiem polskim.

Jeden taki kongres polski odbył się już w Stanach Zjednoczonych z wielką korzyścią dla uczestników i dla spraw nauki polskiej i amerykańskiej. Wykazał on niezbitą wieloraką pożytek takiej imprezy. Szkoda więc, że inicjatywa kongresu przychodzi tak późno. Tym więcej jest więc do zrobienia i odrobienia. Może ci, którzy chcą nie tylko dla obcych pracować znajdując w Kongresie oparcie, a ci, dla których polskość staje się obojętna może sobie o niej przypomną.

Kongres londyński organizują polskie instytucje naukowe, kulturalne i zawodowe w celu omówienia udziału wolnych Polaków w rozwoju nauki i kultury, utrzymania więzi pomiędzy polskimi uczonymi w wolnym świecie i omówienia położenia nauki i kultury w Kraju. Prace Kongresu obejmują następujące działy: — I. Humanistyki i Kultury; II. Nauk Społecznych; III. Przyrodni-

cznych; IV. Ścisłych; V. Technologicznych. Każdy dział będzie składał się z Komisji Naukowych, w których skoncentrują się prace w sesjach Kongresu.

Komitet Organizacyjny Kongresu, którego siedziba jest: 9, Princes Gardens, London, S.W.7, prosi wszystkie zainteresowane osoby o nadesłanie swego adresu w celu przesłania Komunikatu Informacyjnego Nr. 1, zawierającego szczegółowe dane odnośnie organizacji Kongresu.

Uczestnictwo w Kongresie Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na obczyźnie może być trojakiego rodzaju:

1) Tylko osobiste uczestnictwo bez nadesłania referatu;  
2) Uczestnictwo osobiste i nadesłanie referatu;

3) Tylko nadesłanie referatu bez osobistego udziału (przyjazdu) w posiedzeniach Komisji Naukowych.

Zgłoszenia uczestnictwa w Kongresie należy nadsyłać na adres Komitetu Organizacyjnego. Uczestnicy zamierzający nadesłać referat proszeni są o dotrzymanie terminu 30-go września 1969, aby umożliwić druk referatów w zaplanowanym terminie. Jednakże termin zgłoszenia referatów z ich dwu stronicowym streszczeniem upłynął 30-go czerwca 1969 roku.

Zgłaszane mogą być tylko prace oryginalne, niepublikowane uprzednio: w językach: polskim, angielskim lub francuskim. Nie powinny przekraczać 5.000 słów (20 stron maszynopisu in quarto z interlinią).

Będą one stanowić I tom materiałów Kongresu i zostaną rozesłane do uczestników co najmniej na dwa tygodnie przed Kongresem.

Przebieg prac Kongresu i dyskusja, dodatkowe referaty i inne materiały wydane będą w II tomie materiałów Kongresu w ciągu 1971 roku.

Kongres Londyński odbędzie się w budynkach „Imperial College“ Uniwersytetu Londyńskiego, South Kensington, London, S.W.7.

S. W. Wojstomski

## JÓZEF A MĘKARSKA WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ

Przewodnik serdeczny po Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu, Podkarpaciu. — Cena 16/6, dol. 2.50, F. 15.00.

Do nabycia: w Księgarni SPK — 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7.

# W NOWOGRÓDZKIEJ STRONIE (III)

## KILKA SŁÓW PRAWDY

WYSZŁA NA PRÓG domu. Stał rzeczywiście w swej okrągłej, podniesionej nieco z przodu czapce wojskowej, zakłopotany trochę sytuacją.

— Nie byłbym trafił — mówił — ale na górze, blisko rynku, spotkałem tamtą panią i pokazała mi drogę, a nawet podprowadziła kawałek.

— Proszę, niech pan wejdzie.

Przeprowadziła go przez sionkę, kuchnię i pokój, w którym mieszkała gospodyni.

— Moja córka, Monika, powiedziała wskazując małą, która przyglądała mu się z zaciekawieniem.

— Proszę, niech pan usiądzie, rzekła ukazując ręką kanapę. Sama usiadła na krześle.

— Gdzie jest pani mąż?

Stanowczo miał skłonność do stawiania rzeczowych pytań. Spojrzała mu w oczy. Nie wyglądał na człowieka, który mógłby wydać kobietę w ręce gestapo. Zawahała się chwilę, potem odpowiedziała:

— Bolszewikom tego nie mówiłam, ale panu powiem — jest za granicą.

— Wojskowy?

— Tak.

Rozejrzał się po pokoju i spojrzał przez okno na ogród.

— Jak pani będzie chciała żebym sobie poszedł, to proszę powiedzieć, bo ja mógłbym tu przesiedzieć całą noc na pogawędce.

— Dobrze. Czy w Nowogródku jest komenda placu?

— Nie, jeszcze nie ma, ale lada chwila przyjdzie. Dlaczego pani pyta?

— Bo muszę wyrobić sobie przepustkę na powrót do Warszawy. Nie mam tu ani pracy, ani rodziny, która mogłaby mi pomóc. Znalazłam się na tych ziemiach tylko na skutek wojny.

— Jakto?

— Kiedy męża mego ewakuowano z Warszawy, prosił bardzo abyśmy z nim wyjechały. Zawiózł nas do Lwowa. Później, kiedy bolszewicy zajmowali te tereny, wyprawiłam go za granicę. Nie chciałam aby wpadł w ich ręce... Zostałam z matką i dzieckiem pod bolszewicką

okupacją. Groziło nam wywiezienie do Rosji...

— W jaki sposób dostała się pani do teatru?

— Matka moja była artystką dramatyczną, więc zaangażowałyśmy się do polskiego teatru w Grodnie. Potem przeniosłam się tutaj, do Teatru Kukielek. Matka pojechała z tamtym teatrem do Mińska, na gościnne występy.

Patrzę ciągle na eskadry wazycznych samolotów lecących na Mińsk i nie wiem czy matka moja jeszcze żyje... Teatr nasz rozleciał się na skutek waszego uderzenia. Przeżyłam na tych terenach bardzo ciężkie dwa lata... Nie mogłam wrócić do Warszawy. I to wszystko przez wojnę, przez was...

— Anglia chciała wojny, nie my.

— A czy Anglia była przygotowana do wojny?

— Nie.

— Francja?

— Nie...

— A Polska?

— I Polska nie...

— A Niemcy były przygotowane do wojny?

— O, tak.

— Więc, kto chciał wojny?...

— Byliśmy tak pokrzywdzeni przez traktat wersalski...

— Że wam zabrali kolonie — to rzeczywiście stała się wam krzywda. A co odszkodowań wojennych...

— O tak, tak, właśnie. Odszkodowania wojenne!...

Roześmiała się. — Przecież nie płaciliście ich wcale! Zapłaciliście jedną ratę, a potem krzyczeliście, że nie możecie więcej płacić... A Francja, po 1871 roku, spłaciła swoją kontrybucję przed terminem.

— Ale oni wtedy zniszczyli bardzo nasz kraj!...

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie zniszczyli wcale, bo nie zdążyli wejść do niego... Nie, to jest po prostu wasz „furor teutonicus“. Pisał już o nim Tacyt. Macie wojnę we krwi...

— Tak, być może, że jesteśmy narodem wojowników... Pani mówi po łacinie?

— Nie, ale uczyłam się tego języka.

— Czy studiowała pani na uniwersytecie?

— Tak, filologię romańską w Krakowie.

Poczęstował ją papierosem, podał ogień i sam zapalił.

— Czy w pani rodzinie nie było żadnego cudzoziemca?

— Nie, zaprzeczyła żywo. — Ani Francuzów, ani Niemców, ani Anglików, ani Żydów. Sami Polacy! Czysta rasa według teorii waszego Rosenberga.

— Nie mówmy już o polityce, prosił. — Polityka — to niewesoła rzecz. Czy miała pani wiadomości od męża?

— Niedawno Monika dostała od niego kartkę z Casablanki. Pisał w niej: „Byłaś taka maleńka, kiedy nas rozłączono: Pamiętam twój ostatni pocałunek. Teraz jesteś podobno duża i dobrze się uczysz. Rośnij zdrowo i stań się podobna do twojej matki“.

W blasku księżyca widziała wpastrzoną w siebie oczy.

— To było piękne, powiedział cicho.

Papierosy zgasły. Oparł ręce na stole i położył na nich głowę. Po chwili wyprostował się. Pani jest taka samotna. Ja pozostanę w tej okolicy przez jakiś czas. Mógłbym opiekować się panią i dzieckiem.

— Dziękuję — odpowiedziała — byłam przez dwa lata sama i do końca pozostanę sama.

— Ale dlaczego? dlaczego?...

— Bo pan jest Niemcem a ja jestem Polką — oto dlaczego.

— Przede wszystkim jest pani kobietą! — powiedział tak głośno — że Monika poruszyła się przez sen.

— Nie, przede wszystkim jestem Polką, a potem dopiero kobietą — odpowiedziała spokojnie.

— Uwolnił was od bolszewików!...

— Tak, ale przedtem pracowaliście wspólnie z bolszewikami! Zajęliście pół Polski, a drugą połowę zaś oddaliście Stalinowi... Bolsze-



wicy wywieźli z tego kraju chyba ze dwa miliony ludzi!... Wojskowych, policję, ich rodziny, wszystkich prawników, część nauczycielstwa, wszystkich uciekinierów, którzy zapisali się na powrót do terenów przez was zajętych.

Oparła łokcie na stole i ujęła twarz w dłonie. Uczuła nagle zmęczenie. Ale mówiła dalej. Taki to był dziwny ten wieczór, że musiała mówić o tym co się działo na tych ziemiach z winy niemieckiej i bolszewickiej zarazem — i to właśnie do człowieka w niemieckim mundurze, którego widziała dziś po raz pierwszy i nigdy już więcej nie zobaczy. Niech wie, niech przynajmniej wie!...

— Wszyscy byli dla nich zbrodniarzami: starcy, chorzy, kobiety, dzieci!... Czytałam listy, które przychodziły stamtąd, z Kazachstanu, Archangielska, gdzież znad granicy Mandżurii... Ilu z tych ludzi pomarło!... Ile dzieci zginęło w drodze!...

Czuła nieodpartą potrzebę mówienia o jeńcach polskich w bolszewickiej niewoli. Sprawa ta dręczyła ją od dłuższego czasu. Nie chciała o niej mówić, nie chciała myśleć aby obawy ujęte w słowa nie stały się rzeczywistością. Na tereny zajęte przez bolszewików wycofała się znaczna część armii polskiej. W jesieni 1939-go roku widziała we Lwowie tłumy wojska, mnóstwo zdemobilizowanych oficerów. Zniknęli potem bez śladu. Podczas ciężkiej zimy z 1939 na 1940 rok mówiono jej, że bolszewicy trzymali na bocznych torach kolejowych we Lwowie pociąg załadowany ludźmi i obstawiony krasnoarmiejcami uzbrojonymi w karabiny. Kolejarze, widząc, że uwięzionym nie dostarczano pożywienia, próbowali dotrzeć do nich z chlebem i gorącą herbatą. „Bojcy“ nie dopuścili ich do pociągu mierząc z karabinów. „Oni wsjo imiejut. Niczewo im nie nužno“ — tłumaczył jeden z żołnierzy broniąc dostępu. Na co, z jednego z wagonów rozległ się rozpaczliwy krzyk: „Łotry! Od trzech dni nie jedliśmy“. Mróz przekraczał wówczas 20 stopni.

Kim mogli być owi tajemniczy więźniowie, jeżeli nie polskimi jeńcami? Jakże zamiary mieli wobec nich bolszewicy, głodząc ich i trzy-

mając przez kilka dni w nieopalanym wagonach?

W rok potem, w styczniu 1941 r., Ewa rozmawiała w Białymstoku z żonami oficerów, które ocalały bo ukrywały się przed bolszewikami. Wszystkie one miały pierwszą i ostatnią wiadomość w kwietniu lub maju 1940 roku. Od tego czasu ślad po nich zaginął. Cywilna ludność, wywieziona do Rosji, pisała do swych rodzin. Oficerowie milczeli.

I teraz jednak nie zdobyła się Ewa na to, aby powiedzieć Niemcowi o swych niepokojach. I jego zresztą ręce splamione są krwią polskich żołnierzy, brał przecież udział w kampanii wrześniowej.

On natomiast próbował bronić swej sprawy.

— Ale my przecież walczyliśmy z bolszewikami!...

Potrząsnęła niecierpliwie głowę.

— Za późno! Wszystko to jest za późno!... Zło, które się stało, nigdy się nie odstanie. A zresztą i na obszarach polskich przez was zajętych nie dzieje się Polakom dobrze. Wprawdzie bolszewicy otoczyli nas chińskim murem, ale i przez ten mur przenikają wiadomości. Warszawa została w znacznej części zniszczona!...

— Warszawę należało ogłosić otwartym miastem, nie byłaby bombardowana... Po cóż się broniła?...

— Warszawa była bombardowana w pierwszym dniu wojny. I nie tylko Warszawa. Wszystkie większe miasta polskie były bombardowane w dniu 1-szym września. A wojna nie została Polsce wypowiedziana!...

— Poczęstował ją znowu papierosem. Przez chwilę żarzyły się w ciszy dwa ogniki. Potem zaczął cicho mówić.

— Nie wiedziałem o tym wszystkim...

— A jednak tak jest. A teraz te wszystkie miasta tutaj... Lida paliła się niedawno przez cały dzień... A Nowogródek, to małe miasto, gdzie chował się nasz największy poeta — Mickiewicz... Spaliliście Nowogródek, spaliliście muzeum poświęcone jego pamięci. A miasto nie broniło się przecież wcale, nie było w nim wojska...

— Nie wiedzieliśmy o tym, rzekł. — Ale to jest okres przejściowy, wojna! Kiedy zwyciężymy, stworzymy nowy porządek w Europie.

Wszystkim narodom będzie wtedy dobrze.

— Czy i Żydom także? — zapytała.

— Nie, Żydom to nie. Ale Polakom, Francuzom, Czechom — wszystkim narodom europejskim. Propaganda angielska zrobiła z nas potworów. Kiedy wkroczyliśmy do Paryża, to ludzie po prostu uciekali od nas. Żaden kupiec nie chciał nam nic sprzedać. Bali się, że nie zapłacimy. I byli zdumieni, kiedy płaciliśmy żądane ceny... Francja — to piękny kraj! mówił z zachwytem. — Paryż — cudowne miasto! ...Tylko kobiety mi się nie ją... Są bez serca i bez duszy! Dziś ten, jutro tamten — wszystko im jedno!...

— Barbarzyńcy! — pomyślała Ewa. — Chcą żeby kobiety podbitych narodów oddawały im serca i dusze!...

— Młodość upływa mi w tych wojennych czasach, powiedział cicho. — Dwa lata już nie tańczyłem!...

— Ja także. Ale to nie jest ważne. Ważne jest dla mnie abym mogła powrócić do Warszawy, bo zginie my tu z dzieckiem z głodu.

Podniósł głowę z wyrazem bezradności.

— Kochana pani Ewo, tego nie mogę zrobić!...

— Wiem o tym. To nie od pana zależy.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Ewa myślała, że mimo wszystkiego co ich dzieli, są jednakowo bezsilni wobec losu. Rzuceni w odmet apokaliptycznych wydarzeń ręką szaleńca, płyną na nich jak łupinki na olbrzymich falach oceanu.

— Kiedy jedzie pan dalej? — zapytała.

— Jutro w południe... Ale nie mówmy o tym... Niech mi pani opowie o swoich studiach uniwersyteckich, o obyczajach studentów polskich, jak się bawią, jak uczą!...

Zaczęła opowiadać przyciszonym głosem. Mówiła o profesorach i nauce, o balach studenckich i maskaradach w Starym Teatrze w Krakowie, o wycieczkach turystycznych w Tatry... Dawne wspomnienia, przysypane popiołem trosk, rozwiązane przez burzę wojenną. Bajka o

(Dokończenie na str. 16)

**N**IE WIADOMO dokładnie, gdzie się urodził Kanut (szwedzki Knut, duński Knud) drugi syn Świętosławy, z małżeństwa jej ze Swendem Widłobrodym. Było to prawdopodobnie w Roskilde, około roku 995. Świętosława miała wtedy zapewne lat 25 i to jej trzeci z kolei syn. Rodowód Kauta błyszczący od wspaniałych przodków. Po kądzieli jest on w prostej linii wnukiem Mieszka I i Dobrawy, a po mieczu wnukiem Haralda Sinozębego, który zjednoczył i kazał ochrzcić Danię. Tak brzmi dumny napis runiczny na olbrzymim pomniku w Jellinge (środkowa Jutlandia) postawionym przez Haralda dla uczczenia rodziców, Gorma Starego i Tyry. Mniejszy pomnik został postawiony tamże przez Gorma ku czci swej żony Tyry „ozdoby Danii“. Jellinge było podówczas rezydencją królewską, i tam stanął pierwszy kościół chrześcijański w Danii, zachowany, po wielu przeróbkach, do dzisiaj. Ze szczególnym uczuciem wzruszenia patrzy się na te pierwsze pomniki wiary chrześcijańskiej w Skandynawii.

Harald Sinozęby przeniósł później stolicę do Roskilde i zbudował tam kościół pod wezwaniem Trójcy św. Dzisiejsza wspaniała katedra zawiera filary i groby królewskie sprzed tysiąca lat. Spoczywają tam między innymi szczątki Estrid, córki Świętosławy, i Swenda, jej wnuka.

JADWIGA BIERNACKA

## WIELKI SYN

Zaledwie Kanut wyszedł z wieku dziecięcego, oddano go piastunowi Tornilowi i umieszczono w Jomsborgu. Była to twierdza zbudowana u ujścia Odry przez jego dziadka Harald w celu kontrolowania wybrzeży Bałtyku. Pierwszym jarlem był legendarny Palna Toke, który miał ułożyć słynne prawa Jomsborga. Bolesław Chrobry, po przyjsciu do władzy, uważał, że należy opanować Jomsborg, aby uniknąć napadów łupieskich na kraj i aby mieć kontrolę nad Wolinem.

Ojciec Kanuta, Swend Widłobrody był właściwie piratem i tak chciał mieć wychowanego syna. Nie przypuszczał zapewne, że Kanut wyróżni się na wybitnego męża stanu.

Jako 17-letni młodzieniec Kanut bierze udział w napadzie Wikingów na Anglię i ma już powierzoną sobie pieczę nad obozem wojskowym w Garrisborough. Tam nawiązuje stosunek z Elgiwą, z którą miał dwóch synów Haralda Zajęczą Nogę i Swenda.

Po śmierci ojca w roku 1014, który miał rzekomo paść od strzały św. Edmunda, (miała to być kara za przesładowanie mnichów, którzy strzegli jego relikwii) Kanut pono-

wił atak na Anglię i odniósł walne zwycięstwo pod Ashington w 1016 roku. Proporzec Duńczyków był z białego jedwabiu bez żadnego wzoru. Legenda głosi, że na początku bitwy na białym tle pokazał się kruk, który był uważany za ptaka Odyna. W razie zbliżającego się zwycięstwa kruk zaczynał bić skrzydłami. Tak też zachowywał się przed bitwą pod Ashington i, chociaż Kanut podobno nie miał wielkiej ochoty atakować, wojsko zmusiło go do akcji.

Zwycięstwo pod Ashington spowodowało podział władzy nad Anglią pomiędzy Kanuta i Edmunda, najstarszego syna Ethelreda, który zbiegł z kraju i wkrótce umarł. We wspaniałej karierze Kanuta często daje się zauważyć, że ludzie, stojący mu na drodze umierali w porę. Tak też się stało z Edmundem, który zmarł bardzo niedługo po bitwie pod Ashington. Nic już nie stało na przeszkodzie, aby Kanut został królem Anglii (1017) z rezydencją w Winchester.

Po śmierci swego brata, Haralda duńskiego, (1018) Kanut zostaje również królem Danii i kładzie podwaliny pod budowę wielkiego imperium anglo-skandynawskiego. Aby zabezpieczyć się przed ewentualnymi pretensjami do tronu angielskiego Kanut wysłał synków Edmunda do Polski na dwór swego wuja Bolesława Chrobrego. Po śmierci Bolesława (1025) losem dzieci zajął się syn jego Mieszko II i umieścił je na dworze węgierskim.

Dwaj najniebezpieczniejsi rywale, synowie Ethelreda i Emmy, byli u boku matki na dworze wuja swego, Ryszarda normandzkiego.

Posunięciem politycznie genialnym, był związek małżeński 22-letniego Kanuta z blisko 40-letnią Emmą, wdową po Ethelredzie. Warunkiem małżeństwa było dziedziczenie tronu angielskiego dla ich potomka (z pominięciem zarówno nieślubnych synów Elgiwy, jak i synów Emmy z małżeństwa z Ethelredem). Kanut miał z Emmą syna Harthakanuta, oraz córkę Gunhildę, przyszłą żonę Henryka III, koronowaną na cesarzową Niemiec (pod imieniem Kunegundy). Dzieci te umarły młodo —

### W NOWOGRÓDZKIEJ STRONIE

świecie, do którego żadne z nich dwojga nie może powrócić...

Umilkła. Pokój był teraz zalany światłem księżycy. Milczał chwilę potem zapytał:

— Niech mi pani powie jakie są właściwie polskie kobiety?

— Polskie kobiety?... Zdaje mi się, że kobiety wszystkich krajów są do siebie podobne... Kochają dzieci, cenią dom i życie rodzinne i z wielkim bólem i trwogą wyprawiają mężów na wojnę...

Kobiety polskie miały zawsze trudniejsze życie od kobiet innych narodów. Nie byliśmy nigdy narodem rozmiłowanym w wojnie... I dlatego musieliśmy często bronić naszego kraju od „wojennych“ narodów. Tak jak wy spustoszyliście nasz kraj teraz był on niszczonego wiele razy: przez Niemców począwszy od średniowiecza, Tatarów, Turków, Ro-

sjan, Węgrów, Kozaków, Szwedów, Austriaków...

— Nawet Szwedzi na was napadali?...

— Nawet Szwedzi... I dlatego Polki musiały mieć zawsze wiele hartu i woli przeżycia, aby wychować młode pokolenie, aby mógł przetrwać naród...

Monika poruszyła się gwałtownie przez sen. Ewa usiadła przy niej na łóżku i patrzyła przez chwilę w twarz dziecka. Przez stojące na oknie pelargonie padał na nią blask księżycy. Wstała, zasunęła firankę i zwróciła się do poręcznika:

— Teraz pójdzie już pan do domu.

Zerwał się, stanął przed nią i wziął podaną czapkę.

— Czy mam jeszcze przyjść?

— Nie... Nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

# ŚWIĘTOSŁAWY

prawdopodobnie nie pozostawiając potomstwa. Należy zaznaczyć, że przez małżeństwo z Emmą, Kanut nie tylko uchronił się od pretensji do tronu angielskiego, ale zapewnił sobie również wieloletni pokój z Normandią. Ten stan rzeczy pozwolił mu na dalsze podboje. W roku 1022 flota Kanuta wypłynęła na południowy Bałtyk, prawdopodobnie w celu założenia stacji kontrolujących wybrzeże. Nie przeszkadzało to jednak Kanutowi tytułować się, w swoich proklamacjach, również królem części krajów słowiańskich.

Na drodze do realizacji swoich planów Kanut potrafił być bardzo bezwzględny. Ulfa, męża siostry swojej Estrid, kazał zabić w kościele w Roskilde, podejrzewając go o zdradę. Tenże Estrid wydał następnie za normandzkiego Roberta Diabła w celu zapewnienia sobie dalszego pokoju z Normandią.

Dziedzictwo Świętosławy w Danii trwało właśnie za pośrednictwem córki Estrid, której syn Swend (wychowany w Szwecji, z obawy przed gniewem Kanuta) zwany synem Estrid, zapoczątkował długi poczet królów duńskich. Wnuk Świętosławy, syn Swenda, również Kanut był kanonizowany; polecił on zbudować katedrę w Lund, łożąc na ten cel duże bogactwa. W kilku miastach Skandynawii obchodzi po dziś dzień specjalne uroczystości imienia św. Kanuta. W mieście Lund, któremu Kanut Wielki nadał prawa miejskie i kazał zbudować mennicę, powstał niedawno plac jego imienia. Szwedzkie dziedzictwo Świętosławy urywa się prawdopodobnie na jej wnukach, Anundzie Jakubie i Edmundzie, synach Olafa Odrosli.

Swend Estridson chciał się ożenić z kuzynką swoją, wdową po szwedzkim królu Anundzie Jakubie, nie otrzymał na to pozwolenia Kościoła. Anund Jakub i Emund, synowie Olafa Odrosli, syna Świętosławy zmarli bezdzietnie.

Chociaż Kanut dość wcześnie, bo już w pierwszej proklamacji, nazywał się królem Norwegii to w rzeczywistości miał dużo kłopotów z Norwegami.

Po śmierci Olava Tryggvassona

w bitwie pod Svolder, Norwegia władali synowie Haakona, Erik i Swend. Kanut rozwinął przekupstwo na wielką skalę w Norwegii; w 1836 roku znaleziono podczas wykopalisk w Norwegii znaczną ilość monet z czasów Kanuta. Norwegia została ostatecznie zdobyta przez Kanuta w 1027. Olbrzymia flota 1440 okrętów wpłynęła wówczas do Nidaros (Trondheim). Po zdobyciu Norwegii, Kanut mianował wicekrólem Haakona, męża swej przyrodniej siostry, podczas gdy król norweski Olav udał się na wygnanie. Po śmierci Haakona Kanut mianował Swenda swego nieślubnego syna na jego miejsce. W okresie bezkrólewia, król Olav próbował odzyskać Norwegię. Niedaleko Nidaros została stoczona wielka bitwa ze stronnikami Kanuta. Król Olav zginął wówczas pod Stiklestad. Został on wkrótce ogłoszony pierwszym świętym Północy. W ten sposób Kanut stworzył imperium Północy; panował nad morzem Północnym i nad Bałtykiem, oraz miał w swym ręku trzy korony.

W okresie końcowym życia Kanuta Harthakanut rządził Danią, Swend, pod okiem matki Elgiwy — Norwegią, zaś Anglią władał Kanut osobiście.

Kanut był nie tylko zdobywcą, lecz również wielkim politykiem i dyplomata. Chociaż w pierwszej proklamacji zajmuje w stosunku do duchowieństwa stanowisko nadrzędne i rozkazodawcze, zmienia jednak wkrótce swój sposób postępowania. Odbywa w 1027 r. pielgrzymkę do Rzymu, gdzie jest uroczyście witany przez papieża i cesarza. Opiera się na duchowieństwie angielskim w celu osiągnięcia postawionego sobie celu stopienia w jedną całość ludności napływowej i miejscowej. Odsuwa też wkrótce od siebie dawnych towarzyszy najazdów, otaczając się panami angielskimi z Godwinem na czele. Kanut łożył wielkie bogactwa na kościoły, między innymi zbudował klasztor benedyktynów w miejsce grobu św. Edmunda. Siostra Kanuta Świętosława, została mniszką i według Liber vitae of Winchester, gdzie jest wymieniona jako Santslaau, ofiarowała wielkie bogactwa na ko-

ścioł. Świętosława leży w Westminster.

Rezydencja Kanuta w Winchester słynęła z bogactw i wspaniałości. Porównywano ją do Rouen a nawet do Rzymu. Kanut lubił otaczać się Słowianami i panowało przekonanie, że czuł się więcej Słowianinem niż Duńczykiem.

Po śmierci Kanuta w roku 1035, rozgorzała walka o władzę między dwoma matkami Elgiwą i Emmą. Los chciał jednakże, iż w kilka lat po śmierci Kanuta wszystkie jego dzieci wymarły. Najstarszy Swend umarł w parę miesięcy po swoim ojcu w roku 1036, córka w roku 1038, Harald Zajęcza Noga w roku 1040, a ostatni z dynastii Gorma Harthakanut w roku 1042.

W ten sposób w siedem lat po śmierci Kanuta, który zmarł prawdopodobnie na raka wątroby, z dzieła jego nie pozostało wiele.

Sic transit gloria mundi.

**ZBRODNIA  
KATYŃSKA**  
W ŚWIETLE DOKUMENTÓW  
*z przedmową*  
WŁADYSŁAWA ANDERSA

Cena: 35/-

**THE CRIME  
OF KATYN**  
FACTS and DOCUMENTS

Cena: 37/6

KSIEGARNIA S.P.K.  
20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

**KALEFLUID**

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA  
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

# Śmierć nie jedno ma imię

## MAREK HŁASKO

**W** IADOMOŚĆ o odejściu Marka Hłaski przyszła nagle, niespodziewanie druzgocąco. Nikt na nią nie był przygotowany. Prawda, że nie jest się prawie nigdy przygotowanym na śmierć lub odbiór śmierci; lecz czasem przychodzi jak szok, jak krótkie spięcie, po którym zostaje jak węgiel piekący i duszący żal; może przyjść inaczej: powolna, niszcząca, gdzie do żalu można się przyzwyczaić i wyperswadować. Konieczność, nieodwracalność, czy zresztą wiem co? A w tym wypadku nic nie zostało zaoszczędzone z najcięższej drogi, jaką można przejść, ani jemu samemu, ani tym, którzy kochali go i wierzyli w niego. Tym, którzy znali go bliżej wiadomo było, że jest on chory. Mijały jednak miesiące i stan nie pogarszał się — wszystko będzie dobrze, przetrwa, wierzono i życzone mu. Był, co prawda, jeszcze inny zwiastun burzy błakający się gdzieś w powietrzu; słowa o śmierci w „Opowieści wam Esther“ i „Sowie córce piekarza“, różniące się od opisów śmierci „Następnego do raję“ — tam po prostu narracja, tutaj forma monologu, retrospekcji i niepokoju.

Odszedł drogą wszystkich ludzi, tylko że nie kończyła się ona szarpnięciem po rewolwer, wysokim napięciem ani żadną z tych rzeczy, o których pisał chętnie, lecz po prostu tragicznym wypadkiem, bezsenssem. Tak kiedyś nazwał Marek Hłasko śmierć w katastrofie samochodowej; bezsenssem i ironią; mając na myśli, że do śmierci takiej nie wiedzie żaden logiczny albo nawet urojony związek przyczynowy; spada nagle jako niesprawiedliwość, dowód pomieszania celowości na świecie; i jego śmierć była też właśnie taka, tylko na drodze nie była zakrętu, skały lub przepaści, a zachwianie się równowagi pomiędzy twórczością i życiem, nie było mgły czy deszczu, lecz zaciemnienie linii, której nie można przekroczyć nawet w fikcji — wczucia się w rolę i pozosta-

nia bohaterem swych opowiadań do końca.

Polska kariera Marka Hłaski była właściwie krótka, chociaż zadziwiająca jak wszystko w tym człowieku. Rozpoczęta „Pierwszym krokiem w chmurach“, który stał się absolutnym bestsellerem, została szybko i gruntownie zahamowana przez wydawców. Nie mogły ukazać się drukiem „Cmentarze“ wydane dopiero przez Instytut Literacki w Paryżu, tak samo było z „Następnym do raję“. Pisarstwu Hłaski odebrano dynamizm, siłę i możliwości rozwoju, ponieważ jednak pewnych rzeczy cofnąć i zahamować się nie da, talent ten niezwykły i samoistny, sycający się buntem, protestem i wrażliwością na krzywdę, odżył w Izraelu i Stanach Zjednoczonych przez uzyskanie na długi czas dobrych możliwości wydawniczych.

„Nawrócony w Jaffie“ i „Sowa córka piekarza“ — ostatnie książki, jakie napisał, są na pewno najwyższymi punktami do których dotarł. Pierwsza z nich doskonala schematycznie i stylistycznie, w wydanym łącznie opowiadaniu („Opowieści wam o Esther“) zaczyna się prozą poetycką, szczytowe chyba osiągnięcie Hłaski i rodzaj, który zaczął mu bardzo odpowiadać dając możliwości właściwej ekspresji. Całe opowiadanie jest właściwie poezją, najdoskonalszą formę przyjmującą w monologach retrospekcyjnych. Znajdujemy je potem w „Sowie“ i można przypuszczać, że jest to zmiana wprowadzona na stałe do schematu opowiadań, gdyż dawniej raczej uciekał on od narracji. W „Sowie córce piekarza“ spotykamy poza tym coś jak gdyby podniesienie rzeczywistości do kwadratu, gdzie prawie utrzymana jest jedność czasu, miejsca i akcji, mimo że opowiadanie jako takie ma dużą rozpiętość czasowo-przestrzenną. Retrospekcje włączone w akcję są jej organiczną częścią, są określeniem i cdniesieniem wydarzeń lub postaci; wyodrę-

bnione zmieniają się w samodzielne, krótkie utwory prozy poetyckiej.

Lecz tutaj znowu odbiorcy spłatali pisarzowi kawał. Nie dostrzeżono po prostu „Sowy córki piekarza“, były trudności z wydaniem; recenzje znawców, którzy czytali z początku były odstrasżające. W „Pięknych dwudziestoltnich“ Hłasko pisał o tym, jak najslabszą książkę Hemingway'a (Komu bije dzwon) uznano w Polsce za najlepszą i w ten sposób „załatwiono starego Papę, ale nie można było przecież spodziewać się czego innego: Hemingway jest ostatnim romantykiem.“ Nie wiem czy już wtedy Marka Hłasko nazywano „ostatnim romantykiem“, ale broniono tego romantyzmu w nim i na przekór jego woli. Po prostu osądzono, że książka jest najgorsza z wszystkich napisanych przez niego i w ten sposób załatwiono mu najlepszą książkę — operacja była więc odwrotna niż z Hemingway'em.

Po przyjeździe na Zachód Hłasko nie miał żadnych trudności z wydaniem, jednak już wtedy zaczął przeczuwać, że praca nie pójdzie mu najłatwiej. W „Pięknych dwudziestoltnich“ pisał w osiem lat później nawiązując do tamtego okresu:

**Człowiek uczciwy, który nigdy nie był komunistą lub szpiegiem, jest tylko niepotrzebnym ciężarem dla ludzi Zachodu; wszyscy przecież wiedzą, że narody Europy Wschodniej nienawidzą „commies“ i że takiego człowieka nie można wykorzystać propagandowo. Mówienie, że wieczorem jest ciemno, a rankiem jasno, nie może być rewelacją dla ludzi Zachodu, takiego człowieka czekają lata poniewierki, upokorzeń, wyczekiwania na wizę; lata pustki i rozpaczy.**

Rozpacz tę jednak udało mu się zwyciężyć, udowadniając, że potrafi przenieść pełnię swego niespokojnego i jasnego jak płomień życia gdzieindziej. Gdyby jednak zdawano sobie sprawę, że trudności te mogą

być w Polsce wykorzystane propagandowo, jako odstraszenie, może pomoc udzielona mu byłaby większa, może taka, która najbardziej by mu odpowiadała.

Tak czy inaczej, zrozumiał, że i po drugiej stronie nie leży ziemia obiecana na której mógłby znaleźć absolutne schronienie. Emigracja nie przyjęła go nigdy naprawdę, a co gorsza nigdy nie zrozumiała go w pełni. Byli tacy, którzy przekonywali siebie i innych, że odkryli w nim talent, pomimo wszystko pozostali nieczuli. Literatura ta zrobiła wrażenie, owszem, ale na tej zasadzie że można było chwalić to, co się podobało, lecz tak się złożyło, iż fragmentów twórczości zdalnych do zaakceptowania było niewiele. „Cmentarze“, „Następny do raj“, może „Piękni dwudziestoltni“ i chyba niewiele więcej. Wydają się, że odznaczenie Marka Hłaski nagrodą „Wiadomości“ za najwybitniejszą książkę Polaka wydaną na emigracji w 1958 roku za te właśnie opowiadania jest najlepszą ilustracją faktu. W książce Mariana Hemara „Awantury w rodzinie“ można znaleźć esej pt. „Na marginesie Marka Hłaski uwagi różne“. Uwagi te, w konfrontacji z przeciętnym nawet odczuciem człowieka wychowanego na owym „hłaskowskim buncie i proteście“ obrazują chyba najlepiej rozdźwięk autora „Nawróconego w Jaffie“. Nagle pojawia się rysa w monolocie odczuć i osądów literackich, stworzonym przez pisarzy i krytyków polskich, którzy już w okresie przedwojennym osiągnęli pełnię swego talentu i możliwości twórczych. Zaistniało coś więcej niż tradycyjny i opisany setki razy konflikt pokoleń. Zaczął się konflikt możliwości poznawczych i zrozumienia, lecz nie wzajemnego (jak zwykle w konfliktach pokoleń), lecz zrozumienia tego samego przedmiotu czy zjawiska.

Marian Hemar zarzuca Hłasce niektóre uchybienia stylu, gani nadużywanie słów wulgarnych, chwali talent i możliwości pisarskie, ma za złe niechęć do Żeromskiego. I najsmutniejsze jest to, że Hemar ma prawo do takiej krytyki, bo sam kiedyś był pionierem swojej poezji i że subiektywnie ma rację. Subiektywnie jednak, bo obiektywnie rzeczywistość nowa i obecna jest taka jak w opowiadaniach Hłaski, a jeśli cho-

dzi o sposób przedstawiania, to leży on w sferze jego własnej odpowiedzialności pisarskiej. Na dwa te zarzuty można jednak odpowiedzieć. Niechęć do Żeromskiego, a właściwie do „Żeromszczyzny“ (bo Żeromski jest jedynie przykładem i wspólnym mianownikiem dla pisarzy pozytywizmu i Młodej Polski) nie wypływa jako skutek spekulacji myślowo-literackich, lecz została wywołana (u Hłaski, jego pokolenia, a nawet pokoleń młodszych) jako reakcja nauczania literatury w szkole, jest antidotum na niekończące się i zabijające miłość do jakiegokolwiek literatury, wypracowania na temat: co pisarz miał na myśli patrząc na strzaskaną sosnę?, lub: co poeta miał na myśli patrząc na spadające jesienne liście? Nie przesądzając sprawy, czy Żeromskiego należy kochać czy też lekceważyć go, chcę jedynie podkreślić, że gdy nawet brak szacunku dla pisarzy pozytywizmu jest idiotyzmem, został wywołany idiotyzmem innym: wadliwym i obrzydliwym przedmiot — nauczaniem.

Najbardziej kocha się pisarzy zabronionych i zapomnianych oficjalnie, gdyż właśnie ich czyta się sercem. Gdy rzeczywiście „Pierwsza kadrowa“ szła na wojnę z „Popiołami“ w plecakach, to dzisiejsze pokolenie dwudziesto i trzydziestolatków wychodzi z książkami Hłaski. Wychodzi nie tylko na wojnę, ale na codzienność, na życie i to jest jeszcze trudniejsze. Między nimi „Sowa córka piekarza“ znajduje się na pierwszym miejscu; i jest to odpowiedź tych, którym Hłasko był przykładem a nie odstraszeniem, ambasadorem ich dążeń, ich wiary, ich złudzeń i tych, co jego opowiadań nie zapomną nigdy.

Zostaje jeszcze „wulgarność języka“. To jest oczywiste, że epoka, jej tło kształtuje pisarza, muzyka, artystę. Ale dlaczego stwierdzenie to, służące jako usprawiedliwienie dla innych, dla Hłaski ma pozostać „tabu“? Znowu zdarza się rzecz niezrozumiała. Dorosli, myślący ludzie, niektórzy nawet opisujący okropności wojny nie potrafią pojąć, że wojna niszczy nie tylko żołnierzy, nie tylko dorosłych, ginących tysiącami w obozach, nie tylko tych, którzy po jej zakończeniu ciągną jeszcze przez kilka lat swoje kalectwo, fizyczne

lub umysłowe, przemykający pod płotami, wstydzący się poszarpane-go ciała, śmiechu lub litości. Gdy wojna uderza w dziecko niszczy je 'in spe' i całkowicie; niemożliwe jest już wyzwolenie przez żadną armię, niemożliwe są dary i rekompensaty. Gdyby nawet wojna zakończyła się pokojem, latami wytchnienia, zapomnienia i powrotu do ładu i tak pozostałaby pewna ilość dzieci-kalek, zniszczonych w zaraniu i na przyszłość, które widziały za dużo, by pojąć że będzie inaczej. Ale nie stało się nawet i tak i los musiał wypełnić się o lata przyszłe, tak samo pełne strachu, destruktywnej siły niszczącej jak wojna. Czy tak trudno jest zrozumieć, że tego, co potrafi dorosły człowiek zrzucić wysiłkiem woli nie potrafi przejść dziecko, zapomnieć słów i sytuacji, co układały się w jego własny elementarz koszmara?

Przeżycia te, czasem nie odbite wyraźnie pozostają w uspieniu i są tacy o których myśli się że zapomnieli, byli za młodzi by pamiętać. Lecz Hłasko był pisarzem i nie miał szansy zapomnieć, albo miał niebezpieczeństwo nie uciec od wspomnień, które zabijają, starał się przy tym przedstawiać świat bez fałszywych kolorów tęczy. To bardzo źle, ale nie wybiera się świata, w którym ma się spędzić życie i przeważnie nie dokonują też zgody na warunki, w których się wzrasta. Podobno są pokolenia, wychowane w domach otoczonych ogrodem zamiast wśród gruzów, podobno są ludzie, którzy mieli zabawki inne niż ponemieckie hełmy i zapalniki granatów, którzy mając kilka lat nie słyszeli salw oddawanych do ludzi i nie widzieli też wojny; w pierwszych dniach wolności słuchali muzyki innej niż brzęk butelek o mur. Lecz tych ludzi urodzonych w słońcu nie wiem czy przekonał te słowa.

Może zgorszeni wulgaryzmem Marka Hłaski zdecydują się obejrzeć „Hair“ albo filmy „Candy“, „Joanna“ czy „Killing of Sister George“ — pouczeni przez krytyków angielskich, że jest to piękno i czystość sztuki współczesnej. Może wrażenia osłabiają „duchowy brud“ rodzimy?

Poza tym, co Marek Hłasko zostawił w pamięci przyjaciół i tych,

którzy choćby na krótko zetknęli się z nim, zostało siedem książek, około 1.600 stron druku, które zapełnił nie tylko swoimi myślami, ale także swoim życiem. Dużo można by jeszcze pisać o tym człowieku, należą-cym do wielu światów i do czasów innych niż współczesne, który za ży-cia był jeszcze legendą, jednak lepiej

jest czytać to, co napisał on, stara-jąc się rozumieć i jego i wszystkich o których pisał.

Teraz my zostaliśmy cholernie sa-mi, a Marek odszedł w daleką drogę, gdzie na pewno ma swój ukochany deszcz i Dżemsa, które jeżdżą po roz-mokłych drogach; gdzie nie ma po-ranków, tylko zawsze jest dzień, czło-

wiek może kochać wbrew złu i oto-czeniu i gdzie nie ma rozstań. Bóg zasłania mu twarz przed chamsinem, a on pisze; pisze jeszcze jedno nowe opowiadanie. Tylko, że Bóg wraz z Markiem, styl, no i właśnie opowia-danie. — Drugi krok w chmurach to rzeczy dla wielu bardzo trudne do zrozumienia.

## WITOLD GOMBROWICZ

**R**OK 1969 długo będzie wspomi-nany jako specjalnie fatalny dla literatury polskiej. Jeszcze nie przebrzmiały echa tragedii w Wies-baden, gdy ciężko chory człowiek, przykutym do fotela na kółkach prze-żywał ostatnie swoje dni.

Witold Gombrowicz, najpowszech-niej znany w świecie, wspaniały pol-ski pisarz odszedł powoli, jego chore i zmęczone serce stanęło na zawsze. Zmarł w Vence, we Francji, dokąd przybył zaledwie przed pięciu laty. Człowiek, który był prawie historią polskiej literatury, słynny już w Pol-sce w okresie międzywojennym, zna-ny i zyskujący znaczenie na skalę światową pisząc i mieszkając w Ar-gentyźnie, po powrocie do Europy zbie-rający zasłużone sukcesy; od cza-sów Sienkiewicza i Reymonta jedyny Polak odznaczony międzynarodową nagrodą literacką.

Gombrowicz zadebiutował w la-tach trzydziestych „Pamiętnikiem z okresu dojrzewania“. Był to debiut niewątpliwie udany, nie przesądził jednakże o przynależności autora do ówczesnych kół literackich stolicy. Sytuacja skomplikowana była o tyle, że Warszawa przepelniona była pisarzami, poetami i krytykami naj-różniejszego gatunku i wartości; łat-wo było przejść niezauważonym, nie trudno było się wybić, wszystko zale-żało od przyłączenia się do właści-wego prądu, który mógł unieść dalej.

Jednak Gombrowicz nie przyłączył się, tworzył od początku swój wła-sny styl i formę, bardzo trudną, nie rozumianą i nie odbieraną przez lata. Czekał właściwie na coś in-nego, jak sam pisze w „Dzienniku“, napisał sztukę „Iwona“, wydaną w 1935 roku przez miesięcznik „Ska-mander“. Ten utwór także nie przy-niósł wtedy Gombrowiczowi sukce-su, teatry nie zainteresowały się nim

poważnie, jedynie od tego czasu za-częto przypisywać mu związanie z grupą „Skamandra“. Z tą grupą młodych poetów nie łączyło go je-dnak nic — daleki był tak w zakre-sie formy, jak i swoich własnych wizji, które już wtedy zaczęły mu się układać, ogarniać świat, „odno-sić się“ w sensie uwarunkowanym do obsewowanych zjawisk. Z tego okresu pochodzi przyjaźń z Bruno-nem Schulzem, pisarzem także wów-czas nie odbieranym, który jednakże Gombrowicza wydawał się rozumieć doskonale.

Sławę przyniosła mu dopiero „Fer-dydurke“, wydana w 1937 r., zwana powszechnie anty-powieścią, kryty-kowana zaciekle lub uwielbiana, dla wszystkich jednak frapująca i przy-ciągająca. W niedługim czasie przy-szły lata wojny, pobyt Gombrowicza w Polsce jeszcze czas jakiś, potem wyjazd do Argentyny, która stała się na długie lata jego pseudo-ojczyzną.

Jest może w pisarzu tym najbar-dziej zastanawiające, że całe lata był nierozumiany. Gdy rozmawia się z ludźmi czytającymi go przed woj-ną, mają oni o Gombrowiczu wra-żenie mgliste, dotyczące tamtych cza-sów. Coś tam było. Zaskakujące, dziwne i właściwie pozostaje im w pamięci ta dziwność i niezwykłość.

Początek prawdziwego powodzenia rozpoczyna się w latach pięćdziesią-tych. Do tego czasu wydano już „Trans-Atlantyk“, „Ślub“ i „Porno-grafię“. Na Zachodzie wzrasta zain-teresowanie tym dziwnym Polakiem, który wyjątkowo i niespodziewanie jest Europejczykiem. Spełniają się zamierzenia pisarza:

„Byłem Polakiem. Znajdowałem się w Polsce. Czym jest Polska? Jest to kraj między Wschodem a Zachodem, gdzie Europa już poczyna się wykańczać, kraj przejściowy, gdzie

Wschód i Zachód wzajemnie się osła-biają. Kraj przeto formy osłabio-nej...“

„Więc ja chciałem być, jak owi młodzieńcy, co pojawiają się na sta-cjach... i na widok nadchodzącego pociągu mówią: tak, muszę się oder-wać od miasta rodzinnego, to dla mnie za ciasne, żegnaj, miasto, po-wróć może do ciebie, ale tylko, gdy szeroki świat urodzi mnie po raz drugi“.

Uwolnił się od swojego miasta, kraju, kontynentu. Nie przestał być Polakiem, gdyż wyzwolenie nie mia-ło prowadzić do wyparcia się po-chodzenia, lecz jedynie uwolnienia formalnego. Gombrowicz na zawsze pozostał Polakiem w istocie, miał nawet szczególną obsesję na tym punkcie, przestał nim być w formie i dla formy, wychodząc z założenia, że przywiązanie zabija; odpowia-dając na pytanie, dlaczego Polak nie może zostać pisarzem numer jeden na skalę światową tłumaczył, że dzie-je się tak, iż pisarz zostaje pisarzem polskim — tylko i tu jego zguba, gdy zostaje europejskim znowu zguba, gdyż ta „europejskość“ jest nieja-ko stopnia drugiego, uwarunkowana i wymuszona. Jedynym wyjściem by-ło uwolnienie się stopniowe z mia-sta, kraju, kontynentu, samego sie-bie, formy. Po przewyciężeniu for-my można osiągnąć czystą literatu-rę i wolność. Skomplikowana ta ope-racja udała się Gombrowiczowi.

W 1958 r. wychodzi we Francji „Ferdydurke“, w 1962 — „Porno-grafia“ — w krótkim czasie tłuma-czone również na inne języki. W 1966 r. olbrzymi, zadziwiający suk-ces „Iwony“ w Paryżu i Sztokhol-mie; sztuka, [która musiała czekać trzydzieści lat na to, by nauczono się rozumieć ją. W 1965 r. ukazuje się „Kosmos“ a w r. 1967 otrzymuje

# Z WŁOCH Z MIŁOŚCIĄ

WŁOCHY są arcy-piękne i super-ciekawe, kolebka i źródło tylu rzeczy, że trudno się doliczyć — to aksjomaty, nie wymagające wyjaśnienia. A jeżeli ktoś chce przypomnieć sobie wszystkie dane odnośnie włoskiej historii, geografii, sztuki czy architektury, polecam niezliczone ilości książek, filmów, trawelogów, przewodników itp., w żadnym razie moje felietony. Po powrocie z wycieczki do Włoch należy opowiadać o i dawnych katedrach i kościołach, jeszcze cudowniejszych posągach, które można podziwiać na każdym niemal kroku, o bezcennych obrazach, mozaikach, freskach i wykopaliskach, o wspaniałej i w dzień i w księżycowe noce naturze, a także o wyrafinowanym guście Włochów, nawet tych z ludu, bez żadnego fachowego wykształcenia. Do dobrego tonu należy także używanie jak największej ilości achów i ochów, tego nigdy nie za dużo. Nie radziłabym natomiast wyliczać bez komentarzy przekręcanych przeważnie nazw zwiedzonych miejsc, ani recytować na pamięć danych z hotelowych prospek-

tów — albo je słuchacze znają, i wtedy wstyd, albo ich to śmiertelnie nudzi, to po co.

Co prawda, kilka moich snobistycznych przyjaciółek krzywiło się, o, to przecież Falenica, ja jednak nie dałam się odstraszyć i pojechałam do Viareggio, czego nie żalowałam, bo to dobry punkt wypadowy do pięknych wycieczek, hotele są wygodne, a plaża pokryta złotym, czystym piaskiem (w miejscach wolnych od ludzkich ciał). Viareggio było zbombardowane przez Niemców, gdyż znajdowali się tam Alianci, ale po wojnie odbudowano je, poświęcając cały nadmorski pas dla turystów, którzy zjeżdżają się tam na lato ze wszystkich stron świata, i z Włoch także, często z dziećmi w kołyskach lub bez.

Turystyczny ośrodek Viareggio, malowniczego miasteczka na Riwierze Versilia, to tzw. Promenada, która jest niezwykle ożywioną szosą z tysiącami roztrąbionych i rozpędzonych aut, oraz małomiasteczkowym „deptakiem“, z jednej strony oblepionym hotelami, a z drugiej — kawiarenki o kolorowych parasolach i po-

krytych barwnymi obrusikami stolikach. Siedząc przy stoliku lub na drepcąco je się lody lub pizzę i gawędzi we wszystkich językach świata, z włoskim włącznie. Turyści siedzą w kawiarniach kiedy nie leżą na plaży, albo nie jadą na wycieczki, a autochtoni tylko pod wieczór, a wtedy grają w szachy i w kości, oraz politykują nad płachtami gazet, w których doszukują się prawdy między wierszami. W przerwach między kawiarniami puszą się sklepy, z pięknie ułożonymi wystawami, z eksponatami włoskiej haute couture lub Diora, o cenach bardziej słonych od wód Śródziemnego Morza, do których dostać się można po opłaceniu równie słonej ceny za leżak, parasol i kabinę. Liczne plaże o dźwięcznych nazwach są świetnie urządzone, bardzo czyste, i płatne.

Viareggio to także przystań dla luksusowych jachtów, oraz doki, w których te jachty budują i reperują; i port, z którego odchodzą m.in. transporty najpiękniejszego na świecie kararyjskiego marmuru. Tak, kararyjskiego, bo słynna w historii sztuki Carrara i jej kamieniołomy są o pół godziny drogi od Viareggio, i oczywiście, musi się to zobaczyć. Carrara to niewielkie, skomunizowane miasteczko u stóp wspaniałych gór pokrytych gęstą zielenią i drzewami. A co za widok — bajka! Odarte z zielonej skóry, w wielu miejscach żółcą się i różowią kamieniste zręby opowiadając historie o Michale Aniołie i innych włoskich mistrzach, którzy wąskimi górskimi przesmykami wdrapywali się do kamieniołomów, aby wybrać sobie najpiękniejsze bloki marmuru. I dzisiaj, jak od wieków, dzień w dzień idą do kamieniołomów mizerni i źle opłacani robotnicy i rzemieślnicy, aby z narażeniem życia, w żrącym płucu pyle, i w warunkach urągających wszelkiemu przysłówowemu bezpieczeństwu, spuszczać na cienkich linach olbrzymie bloki drogiego kamienia, kroić je przy pomocy prymitywnych maszyn, polerować i nadawać im różne kształty, blatów, figur, lamp, kolumn, pudełek, płaskorzeźb itp.

Z drugiej strony Viareggio, także

## WITOLD GOMBROWICZ

Gombrowicz Prix International de Litterature za „Pornografię“.

Tymczasem i w Polsce — chociaż oficjalnie nieznany i zakazany — jest rozumiany, przyjmowany, „Pamiętnik z okresu dojrzewania“ lub „Ferdydurke“, gdy zdarzy się, że można zobaczyć gdzieś wśród starych książek znika natychmiast choć kosztuje tyle, co reszta składu razem wzięta, czar pożółkłych, rozpadających się kartek z prawie starożytnym już drukiem.

W tej literaturze jest coś, co szokuje, co czasem może wpiętych odpychać, lecz potem przyciąga tym silniej. Dziwny świat pisarza, który świat widzi jak gdyby przez szkło powiększające, wszystko jest skrupulatnie opisane i zauważone, najdrobniejszy patyczek, trawka, mrówka, muszka, ludzie poruszają się tak, że każdą ich reakcję poznajemy jak przez stetoskop. Strach przekształca się w absurd, rzeczy niepojęte, głębokie, zawsze „odnoszące się wza-

jemnie“, gdzie miłość domaga się sztuki, a nóż decyduje o zabójstwie, bo to on się odnosi i warunkuje a nie zabójca, a wszystko razem warunkuje Natura, oczywiście, o ile nie uda się „chyttrze jej oszukać“. Nie można pokusić się o podsumowanie tej twórczości w kilku słowach, zbyt trudne zadanie. Gombrowicz był nazywany „księciem groteski“, i jest to zrozumiałe. Po przeczytaniu na przykład „Pornografii“ przez chwilę nie wie się dobrze, gdzie jest rzeczywistość i jaka jest rzeczywistość. Czy jest się po stronie narracji, czy drugiej, jakiejś innej i czym właściwie jest śmierć, co ją warunkuje i kiedy wymaga jej Natura a kiedy Sztuka.

Z książkami Gombrowicza jest tak jak z egzotycznym owocem, którego nie widziało się nigdy przedtem. Trzeba się wpiętych „wpatrzeć“, a potem „wgryźć“; w książki te trzeba się „wczytać“ i „wpożnać“.

Wojciech Płazak

tylko pół godziny drogi autobusem, znajduje się miasteczko Lucca, dla mnie najśliczniejsze, bo stosunkowo mniej od innych zepsute przez turystów. A w Lucca dwie wspaniałe katedry, a w katedrze św. Marcina, patrona złodziei i żebraków (XII wiek), precudny sarkofag książęcy Ilaria del Carreto, zmarłej w wieku lat 18, którą mąż kazał wyrzeźbić wielkiemu artyście Jacobo della Guercia „jak żywą“, nawet z jej ulubionym pieskiem. I zaczarowane placyki wśród drzew, i posągi, i w ogóle ślicznie.

Godzina drogi i jesteśmy w Pizie, gdzie nie radzę wdrapywać się na Pochyłą Wieżę, bo można dostać zawrotu głowy, a balustrady jak nie było tak nie ma. Chyba, że ktoś chce zeszczupleć i sforsuje 800 schodów bez oglądania widoków z góry. W Baptysterium usłyszysz echo własnego szeptu i podziwiać będziesz rzeźby i obrazy, a jak zmęczysz się — radzę przejść się przez wąskie natłoczone ulice, z bardzo starymi domami, i do wędrować do parku, gdzie przy małej ptaszarni można zjeść zabrany z hotelu obiad.

No, i oczywiście, Florencja, chociaż moim skromnym zdaniem blitzwycieczka bez uprzedniego przestudiowania florenckich cudów w odpowiednich książkach, może tylko służyć po to, aby opowiadać przyjacielom, ach, Ufficii, och, Santa Croce, co za, Baptyseria i złote „Wrota do Raju“. Wracam więc do Viareggio.

Prawdziwych mieszkańców Viareggio (ok. 50.000) znajdzie się na tyłach miasta, w starych obdrapanych domkach z drewnianymi żaluzjami i żelaznymi balkonikami. Obsługują cię w hotelu i w kawiarni, spotkasz ich także na „mercato“ czyli rynku, gdzie rozłożone na straganach migocą i błyszczą w słońcu różnokolorowe ciuchy i „klejnoty“ o które należy targować się do upadłego, na migi czy nie na migi, z oczekującymi tego sprzedawcami, grzecznymi i wesołymi. Niewiele widzi się tam nowo wybudowanych bloków mieszkalnych, ale za dużo dzieci i garść żebraków.

Jeżeli masz dosyć Niemców, pewnych siebie i lekko wydających swoją „twardą“ markę, Anglików i Francuzów, trzęsących się nad każdym lirem z powodu ograniczeń dewizowych, czy Amerykanów, za których nawet napiwki płacą przewodnicy,

żeby się nie fatywowali; jeżeli masz dosyć tych wszystkich turystów kręcących się po deptaku w pięknych pyjamach, albo z gołymi brzuchami — a masz ich prędko dosyć, zapewniam! — ucieknij do małych, wąskich uliczek włoskiego Viareggio, usiądź w trattorii ze szklanką Cinzano z lodem (o połowę taniej niż w kawiarniach na Promenadzie!), wsłuchaj się w dźwięki śpiewnej włoskiej mowy, przypatrz gestykulującym, łatwym do bitki i śmiechu, rozgadany Włochom, a jak możesz — włącz się do rozmowy, przyjmą cię z otwartymi ramionami, opowiedzą mnóstwo ciekawych rzeczy, o sobie i o innych. A jak jeszcze będziesz miał szczęście być świadkiem procesji Bożego Ciała, czy zbiorowej Komunii, z całym bajecznie kolorowym rytuałem i przepychem z dziewczynkami o oczach bardziej błyszczących niż sztuczne brylanty na ich ślubnych sukniach, z mniszkami w kwefach i czarnych habitach, z kobietami w czarnych szalach na głowie, z biskupem w ręcznie haftowanej stule, złotej i sztywnej jak na średniowiecznych obrazach — dopiero poczujesz, że jesteś we Włoszech.

Ale wiedz, że nie starczą ci lata, żeby poznać Włochy i Włochów, takich innych niż ci, z którymi masz do czynienia w hotelu czy w restauracji, Włochów związanych tradycją wieków z przastarymi miejscami, a każde miejsce wywołuje reminiscencje koloru krwi i złota, bieli, czerni i szkarłatu. Nie zrozumiesz Włochów na Promenadzie w Viareggio, ani na Ponte Vecchio we Florencji, może trochę więcej w Carrarze, gdzie mieszkający w nieskanalizowanych chałupach robotnicy opowiedzą ci o stałych strajkach, o demonstracjach, o sycylijskiej mafii i o dziesiątkach tysięcy Włochów, migrujących jak dzikie kaczki z kraju do kraju, za chlebem, za masłem. Jeżeli więc przyjechałeś na wypoczynek, a wypocząć możesz doskonale! — ciesz się słońcem i morzem, kwietnymi dekoracjami i cudowną naturą, a jeżeli już pytasz o coś, to o styl Santa Croce czy o „Dawida“ Michała Anioła.

Ja byłam ciekawa, wypoczywać nie miałam po czym, więc pytałam także o inne rzeczy dotyczące Włoch, tych nie-turystycznych.

Włochy mają dzisiaj zdrowy bilans handlowy, rozwinięty przemysł, któ-

ry zdobywa coraz więcej międzynarodowych rynków (auta, meble, konfekcja, wyroby rękodzielnicze, żywność itp.), duże osiągnięcia i dochody w dziedzinie turystyki. Włoskie rezerwy walutowe są tak pokaźne, że podczas ostatniego kryzysu monetarnego rząd niemiecki zaproponował rewaluację lira, a rząd włoski ofiarował 200 milionów dolarów na ratowanie franka. Dłaczegóż więc, jeżeli jest tak dobrze, stałe strajki paraliżują przemysł, dlaczego buntują się studenci, a więźniowie urządzają strajki głodowe i awantury? Dlaczego w każdym niemal mieście i miasteczku widzi się antyrządowe plakaty, demonstracja goni demonstrację, a komunistyczna propaganda znajduje tak gorący oddźwięk we wciąż jeszcze bardzo katolickich sercach, że włoska Partia Komunistyczna jest dzisiaj największą w Europie i najbardziej wpływową we Włoszech? Vox populi twierdzi, że komuniści nie muszą fatywować się, żeby organizować wrzenie w kraju, gdyż jest ono po prostu wyrazem i groźnym memento, że ludzie nie są zadowoleni z istniejącego stanu rzeczy, z rozpadającego się rządu, ze skłóconych ze sobą i między sobą partii, z policji, że zbyt ostrych kontrastów między górą piramidy a szerokim dołem.

Szkoły i uniwersytety pękają w szwach, są przeludnione. Profesorowie, mianowani przeważnie ze względów politycznych i klanowych, są zbyt zajęci i za „ważni“, żeby nauczać, a już na pewno nie utrzymują osobistego kontaktu z masami studentów, rozżalonych wysokim czesnym, niewystarczającymi na życie i nielicznymi stypendiami, brakiem domów studenckich i laboratoriów, a nawet sal wykładowych. Dodajmy do tego archaiczne metody nauczania w szkołach i na wyższych uczelniach, a zrozumiemy dlaczego studenci zajmują siłą uniwersytety, dlaczego dochodzi do bójek z policją, aresztów itp.

Pensje urzędników państwowych są niskie, a państwo często wypłaca je z dużym opóźnieniem, wobec czego urzędnicy państwowi strajkują, pracują „powoli“ lub niewydajnie, albo dorabiają sobie łapówkami i innymi niepachnącymi sposobami. Korupcja na najwyższych szczeblach, ciągle publiczne skandale i afery. I tak np. byłego burmistrza Rzymu skazano



za przywłaszczenie wielkich sum z publicznych funduszy, przestępstwo tak popularne, że już mało kogo szokuje.

Złe zorganizowana maszyna państwowa działa albo z karygodną opieszałością i niedbalstwem, albo z równie karygodnym okrucieństwem. Opowiadano mi, że w pewnym mieście wielkie pieniądze przeznaczone na budowę tanich mieszkań leżały przez kilka lat niewykorzystane, a to z powodu jakichś archaicznych przepisów zabraniających użycia w następnych latach funduszy przeznaczonych na określony cel w danym roku. A tymczasem miliony ludzi gnieździ się w pozabawianych elementarnych wygod slamsach, a nawet — relata refero — na Południu Włoch w pieczarach.

Włoska policja miała jak najgorsze imię jeszcze za czasów Mussoliniego, a jej współczesne wyczyny nie dodały temu imieniu blasku ni chwaly. Wprost przeciwnie. Znani z brutalności włoscy policjanci zabili od końca II wojny światowej 97 osób, biorących udział w różnych demonstracjach, a aresztowali i poturbowali tysiące. Mimo niezliczonych protestów przeciwko brutalności policji, mimo żądań narodu, aby odebrać jej broń, rząd zdecydował, że nie będzie żadnych zmian, policja używa więc w dalszym ciągu broni i gazów przy każdej sposobności. A sposobności tych nie brak, rozruchy i demonstracje są coraz liczniejsze, coraz to gwałtowniejsze.

Policja aresztuje na prawo i na lewo, kto popadnie. W oczekiwaniu na sprawę sądową Włoch może siedzieć w więzieniu do dwóch lat, chociaż sprawa może wykazać jego całkowitą niewinność. Więzienia są przestarzałe i przeludnione, wobec czego więźniowie awanturują się, uciekają, szukają swojej własnej sprawiedliwości w gwałtach. Jak wykazuje bowiem włoska praktyka, gwałtem osiąga się więcej niż łagodnością, logiką czy spokojem. Przykłady? Proszę: gdy w ubiegłym roku policjanci zabili w Avola dwóch demonstrujących w tłumie robotników, postawa tłumu zmusiła rząd do szybkiego uchwalenia minimum zarobków, aby zrównać lepiej płatne północne Włochy z południowymi. W Battipaglia 5.000 ludziom groziło bezrobocie, doszło do krwawych rozruchów, dwóch zabi-

tych, a w rezultacie stojąca u progu likwidacji fabryka została uratowana dzięki pomocy „z góry“.

Parlament jest polem otwartych walk i jak najbardziej gorzkich oskarżeń, a wielu posłów pokutuje za to, że za dużo wie, i że chce mówić o tym co wie. Całkiem niedawno oskarżono generała di Lorento, byłego bossa wojskowego wywiadu, o planowanie zamachu na rząd. Śledztwo zostało umorzone, a sprawa szybko zatuszowana, gdyż w grę wchodziło zbyt wiele znanych nazwisk. Środki masowej komunikacji są na ogół kontrolowane przez wielki przemysł — skupiony w Confindustrii — który podobno manipuluje polityką i politykami, czasem stawiając nawet swoich własnych członków wobec faktów dokonanych, bez żadnej z ich strony możliwości apelacji, jak to miało miejsce w wypadku Fiata i nowej fabryki Alfa-Romeo.

Wrzenie wśród narodu rośnie. Koalicyjny rząd w rozbięciu z powodów personalnych i z braku przywódcy, bardziej konserwatywna większość w parlamencie trzyma się na kurzych nóżkach, podczas gdy lewica partii Chrześcijańsko-demokratycznej i komuniści znajdują wiele wspólnych punktów programu. Wśród waśni, sporów i intryg na najwyższych szczeblach jakże często naród wspomina wielkiego przywódcę, Alcide de Gasperi, twórcę partii Chrześcijańsko-demokratycznej, który ostrzegał w swoim czasie: „Nie lekceważmy socjalizmu, lecz uprzedźmy go w obronie praw społecznych na polu gospodarczym. Potrafimy lepiej od socjalizmu walczyć z niesprawiedliwością bez względu na to, z której strony przychodzi; skuteczniej niż socjaliści możemy przeciwstawić się wszelkim bezprawiom wielkich i małych, bo jesteśmy wyznawcami wiary, której naczelną zasadą jest sprawiedliwość“<sup>\*)</sup> Tak powiedział de Gasperi jeszcze w roku 1902; jego słowa mają dzisiaj nieminiejszą wagę niż przed laty.

Jaka jest włoska partia komunistyczna, o której mówią, że będzie szukała swojej własnej „drogi do so-

cializmu“. Oto kilka danych o tej partii, która może wejść do rządu, pierwsza w wolnym świecie w takiej sytuacji.

Włoska Partia Komunistyczna datuje się od roku 1921, a organizatorami jej byli Palmiro Togliatti i Gramsci. Togliatti był zwolennikiem polityki cierpliwości i dążył do objęcia władzy demokratycznymi środkami, natomiast Gramsci i jego zwolennicy sprzeciwiali się współpracy z burżuazją, domagając się walki klasowej i rewolucji. Praktyka wykazała, że Togliatti zrozumiał, jak pogodzić sztywne zasady marksizmu z włoskim charakterem.

Podczas II wojny światowej komuniści, którzy występowali zarówno przeciwko faszystom jak i przeciwko Niemcom, zostali mocno wytrzebieni. W zrujnowanych przez różnorodne wojny Włoszech Togliatti zabrał się energicznie do reorganizowania Partii, która — podobno z polecenia Stalina — przystąpiła do koalicji w pierwszym powojennym rządzie i żyła w zgodzie z Kościołem. W ten sposób, pracując legalnie „od wewnątrz“, Togliatti skonsolidował i rozwinął partię komunistyczną, pod której naciskiem udzielono między innymi praw wyborczych kobietom. Wydawałoby się, słusznie i w zgodzie z postępem, ale we włoskim kontekście przeprowadzenie tego postępowego prawa doprowadziło do wielkiego zwycięstwa komunistów i podwoiło ich szeregi. Do tej pory bowiem kobiety pozostawały całkowicie pod wpływem Kościoła, który potępił z ambon komunistów i groził, że głosowanie na partię komunistyczną stanowi jeden z grzechów głównych. W rezultacie nowo zdobytych praw wyborczych kobiety, które słuchały ślepo księży, zaczęły głosować razem ze swoimi mężami, co przysporzyło komunistom co najmniej milion głosów. Do tego stanu rzezy przyczynił się także Papież Jan XXIII, który ograniczył politykę Kościoła do spraw duchowych, pozostawiając wyborcom wolną rękę w sprawach politycznych. „Gdyby Papież Jan nie umarł, musielibyśmy go zabić“, powiedział podobno jakiś kardynał w Watykanie, a to powiedzenie odbijało wiernie wrogię i pogardliwe nastawienie całej włoskiej prawicy do socjalizmu i postępu społecznego. Nastawienie, z którym przez całe życie walczył wielki

<sup>\*)</sup> Wyjęte z książki „De Gasperi, Polityk i Człowiek“ Marii Romany Catti de Gasesperi, wydanej w roku 1968 przez „Odnova“ w tłumaczeniu na język polski przez Antoniego Czulińskiego.

włoski polityk i mąż stanu, de Gasperi.

Na Północy Włoch, gdzie niekoronowanym królem jest Fiat, polityka zarobków i społecznego paternalizmu (osiedla robotnicze i kantyny, nauka i wywczas dla dzieci robotników) okazała się najlepszą odtrutką na komunizm. Ale „czerwony pas“ Toskanii, Emilii i Romanii dochował wierności komunistom. Miasta, jak Bolonia, pozostające od końca II wojny światowej pod komunistycznym zarządem miejskim, stały się „oknami wystawowymi“ komunistycznej polityki. Prowadzą one otwartą walkę z korupcją, dochodowe kooperatywy, dają przedsmak „socjalizmu za naszych czasów“, a wymiana kulturalna z krajami zza Żelaznej Kury, pokazuje te kraje z najlepszej strony.

Najgorzej sprawa przedstawia się na Południu Włoch z przysłowiowo biedną Sycylią, Calabrią i Sardynią. Rozgoryczeni zaniebdaniem ze strony czynników rządzących, niskimi zarobkami i analfabetyzmem, ludzie Południa domagają się radykalnych zmian, rewolucji. Komuniści wysłali tam swoich najzdolniejszych agitatorów, którzy wrócili do Rzymu jako członkowie parlamentu.

Śmierć Togliattiego w r. 1964 pozostawiła partię komunistyczną w rękach jego przyjaciela, Luigi Longo, byłego komendanta włoskiej partyzantki. Ponieważ Longo jest człowiekiem w starszym wieku i schorowanym, na czoło wysunął się 46-letni Sardyńczyk, Enrico Berlinguer, demokratyczny marksista, bliski współpracownik i uczeń Togliattiego, który jest dzisiaj szarą eminencją partii. On tą potępił rosyjską interwencję w Czechosłowacji, jego głos był najmocniejszy wśród dysydentów na ostatnim zjeździe komunistycznym w Moskwie. On występuje publicznie przeciwko sowieckiej polityce jednego dla wszystkich „zamordyzmu“. Zaczętkowany przez Togliattiego rozłam między Rosją a włoską Partią Komunistyczną pogłębia się, i prawdopodobnie pogłębi się jeszcze bardziej, jeżeli słuszne okażą się przypuszczenia, że dojdzie do koalicji z lewicą Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej. Choć z komunistami nigdy niczego nie można przewidzieć.

Mina Tomkiewicz

# Notatnik kulturalny

MARII PAWLIKOWSKIEJ-JASNO-RZEWSKIEJ poświęcony był specjalny wieczór urządzony przez Teodoję Lisiewicz, prezesa Związku Pisarzy Polskich, z pomocą sceniczną Jana Smosarskiego. Złożyła się nań charakterystyka poezji Pawlikowskiej przez St. Balińskiego, szkic sylwety poetki oparty na wspomnieniach Beaty Obertyńskiej przygotowany przez T. Lisiewicz oraz doskonale powiązane i zestrojone recytacje. Wykonane były przez Marię Arczyńską-Rewkowską, Danutę Czyrską-Philipp i J. Rewkowską. Dochód z wieczoru przeznaczony był na ufundowanie płyty na grobie poetki, znajdującym się na cmentarzu w Manchesterze. Wieczór ten, jak poprzedni, urządzony przez Barbarę Reńską, a poświęcony twórczości Wyspiańskiego, był przykładem umiaru i celności artystycznej.

HENRYK MIEROWSKI W PURCELL ROOM dał koncert muzyki klasycznej i romantycznej jeszcze raz świadczący o talencie wirtuozowskim i autorytecie artystycznym polskiego pianisty w zakresie interpretacji. W programie były utwory Haydna, Beethovena i Szopena, któremu poświęcona była cała druga część koncertu. Szczególne wrażenie wywołało wykonanie fantazji B. Mol i Sonaty F. Mol.

PO PIEŚNI „DALEKIEJ DROGI“ Marty Reszczyńskiej-Stypińskiej Teatr dla dzieci i młodzieży „Syrena“ urządził zebranie sprawozdawcze dla zaproszonych gości, wśród których nie brakowało przedstawicieli prasy. Te w miłej i swobodnej atmosferze odbywające się zebrania poświęcone są podsumowaniu dotychczasowych sukcesów i projektom na przyszłość. Przemawiali: kierowniczka artystyczna zespołu Regina Kowalewska o stronie artystycznej widowisk, a sprawom ogólnym i organizacyjnym poświęcone były mowy prezesa Komitetu W. Czerwińskiego i prezesa Zarządu T. Sulatyckiego. Ze strony rodziców zabrała głos p. Ejsmondowa, matka jednej z „gwiazdek“ „Syreny“. Szczegółowe sprawozdanie z osiągnięć pierwszego 10-lecia istnienia „Syreny“ p. Reginy i Janusza Kowalewskich ukazało się w „Środku Literackiej“ z 11 czerwca br.

„KABARET ARTYSTYCZNY“ REF. RENA dał długą serię przedstawień z tytuł. „Serce na dłoni...“. Pomimo kanki widowisko to grane było w Londynie przy kompletach, co świadczy o popularności tej imprezy. Na 18 numerów programu złożyły się skecze, monologi,

piosenki i wiersze satyryczne. Poza Ref. Renem i N. Oleńską, którzy przybyli z Ameryki na doroczne odwiedziny Londynu, w przedstawieniu brali udział artyści miejscowi. Irena Delmar w piosenkach folklorystycznych (może w nadzbyt fantastycznym stroju pseudo-ludowym), Bogna Kłakówna wyróżniła się szczególnie trafnie wycuciem formy deklamacyjnej w recytowanych wierszach, nadto S. Zięciakiewicz i przybyły z Polski R. Herman reprezentowali dwa pokolenia aktorów rewiowych. Pełen komizmu był finał wyśmiewający „Chlubę naszych czasów“, czyli wszelakich beatlesów, hippisów i wszelką inną zakudłaczoną młodzież. W roli kontrowersyjnego gwiazdora wystąpił Paweł Prokopieński w swym stałym repertuarze. Niestrudzonym i sprawnym akompaniatorem był B. Czaplicki, udane dekoracje wykonał Jan Smosarski, światłami operował F. Kąkol, a do powodzenia całości przyczyniła się walnie administracja B. Kollera.

DR FELIKS MROZIK O „BICZOWNIKACH“ mówił na jednym z odczytów publicznych urządzonych przez Polskie Towarzystwo Historyczne w Instytucie Polskim. Przewodniczył prof. J. Bujnowski. Na tle nieustalonych stosunków w późnym średniowieczu prelegent przedstawił dzieje ruchów napływu religijnych nacechowanych masową histerią i charakterem epidemicznym. Wyszedłszy z Włoch, ruchy te płynęły przez Francję i Niemcy, a przez środkową Europę dotarły do Polski. Tu jednak zawróciły w obawie przed najazdem tatarskim. Przyczyniały się one też do rozprzestrzenienia plag i zaraz. Przy tym prelegent przedstawił bogaty splot zagadnień religijnych, kościelnych, społecznych i patologicznych związanych z tymi ruchami, kończąc zaskakującą paralelę do zjawisk odbywających się pod zmienioną postacią w czasach współczesnych. W ożywionej dyskusji dr F. Goldschlag przedstawił stronę psychiatryczną tych zjawisk, prof. J. Jasnowski dorzucił dwie wersje biczownictwa z XVII w. w Polsce, a mgr. J. Ostrowski poruszył sprawę warunków odbywania się tego rodzaju wędrówek masowych.

NA WYSTAWACH W „DOCTOR'S RESTAURANT“ urządzonych przez J. Oziębło, przewinęły się kolekcje obrazów artystów z warszawskiej „Zachęty“, jak K. Berezowski, H. Bolińska-Gloksin i A. Wachniewska. Potem odbył się pokaz prac Miriam Giłby i Danuty Głuchowskiej, malarką londyńskiej o interesującej kolorystyce.

J. Ostr.

# SZOPEN WE WSPOMNIENIACH GEORGE SAND

**D**ZIEJE George Sand i Chopina są głośne nie tylko jako dzieło, które pozostawili po sobie, ona jako autorka romantycznych powieści, on jako genialny twórca muzyki, która zachowała do dziś dnia siłę przyciągającą, ale również historią ich wyjątkowej i dziwnej miłości. Nic dziwnego więc, że życie ich obojga stało się tematem niezliczonych studiów i badań wzajemnego ich wpływu na ich twórczość oraz psychologicznej przyczyny ich nagłego rozjęcia się po 7-miu latach nieustannego obcowania.

George Sand, arystokratka po ojcu, a córka gminu po matce, Aurora Dudevant po mężu, z którym się szybko rozeszła, zostawszy z dwojgiem dzieci Maurycym i Solange, była duchem niespokojnym, szukającym upustu wrażeń nie tylko w ramionach licznych kochanków, ale i w swej twórczości o zacięciu społeczno-lewicowym.

Znane są liczne biografie George Sand i Chopina, wśród których wyróżnia się talentem i znakomitą pracownością, opartym na wszystkich dostępnych źródłach książka Kazimierza Wierzyńskiego, oraz obszernie osobiste wspomnienia samej George Sand o przeszło 2.000 stronach druku, wydane w 1855 roku, więc przeszło 100 lat temu, pt.: „**Histoire de ma vie**“. Wspomnienia te są spowiedzią autorki z bujnego życia kobiety, w którym Chopin odegrał niepoślednią rolę. Przed kilku miesiącami Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie wydał je w doskonałym tłumaczeniu Maryi Sramińskiej-Joczowej ze wstępem Maryi Straszewskiej. Tłumaczenie, choć skrócone w stosunku do oryginału, wskrzesiło ponownie obcowanie z George Sand.\*)

Ale ma się rozumieć, dla polskiego czytelnika najważniejszymi są ustępy, w których George Sand mówi o

\*) George Sand. Dzieje mojego życia. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1968. Kronika życia i twórczości. Przypisy. Indeks osób. Stron 392.

Chopinie, o ich pobycie na Majorce i letnich miesiącach spędzanych w Nohant, jej majątku odziedziczonym po babce. Warto, pomijając szczegóły znane z innych opracowań, streścić a nawet powtórzyć wypowiedzi George Sand o Chopinie ukazujące jej uczucie dla niego, ale jednocześnie trudny charakter już poważnie chorego artysty.

George Sand poznała Fryderyka Chopina za pośrednictwem Liszta i jego przyjaciółki Maryi d'Agolt. Był to rok 1838. Wobec cierpienia jej syna Maurycego na reumatyzm i serce, a przy tym zagrożenia Chopina chorobą płuc, postanowiła zawieźć ich obu na Majorkę w poszukiwaniu cieplejszego klimatu. Niestety, klimat Majorki zawiódł ich w owym roku najzupełniej. Poza tym brak odpowiedniego hotelu zmusił jej gromadkę — był to 11-letni syn Maurycy, starsza o dwa lata córka Solange, służąca Amelia no i Chopin zamieszkać w dawnym klasztorze Kartuzów Valdemoza, o cudownym widoku, o murach wilgotnych i straszących widmami klasztornej przeszłości. W tych warunkach choroba Chopina wzmogła się niebezpiecznie. Po latach George Sand pisze o nim:

„Nieszczęsny, wielki artysta był nieznośny w chorobie. To czego się za mało, niestety obawiałam, nadeszło. Nastąpił bowiem całkowity upadek ducha. Chopin znosił dosyć odważnie cierpienia, lecz nie mógł okiełznać swej niespokojnej wyobraźni. Nawet gdy czuł się dobrze, klasztor wydawał mu się pełen widm i strachów. Nie mówił o tym, musiałam sama to odgadnąć... Zastawałam go o 10-tej wieczorem przy fortepianie, bladego, z błędnym spojrzeniem, z włosami jakby zjeżonymi. Trzeba mu było kilku chwil, żeby nas (tj. jej otoczenie) poznać. Później uśmiechał się z wysiłkiem i grał nam rzeczy wzniósłe, skomponowane przed chwilą, albo raczej myśli straszne lub przejmujące, które zawiąły nim jakby mimo jego woli w godzinie samotności, smutku i lęku... To tam skomponował Chopin najpiękniejsze z tych krótkich stronic,

które nazywał **preludiami**. Są to arcydzieła“. A wyjechać z Majorki przed wiosną było niemożliwością z powodu braku morskiej komunikacji z Barceloną.

George Sand stworzyła w Nohant jakby jego własny dom, ale mimo to... „choć Chopin zawsze wzdychał do Nohant, nigdy nie mógł ścierpieć życia w Nohant. Był on par excellence człowiekiem światowym, chociaż nieoficjalnie i zbyt gromadnie odwiedzane salony nie były jego światem, ale kręgi zamknięte, salony skupiające koło 20-tu osób w owej godzinie gdy obcy odchodzą, a stali bywalcy cisną się wokół artysty, aby przez miłe choć natrętne nalegania wydrzeć mu nieomal najpiękniejsze twory jego natchnienia“.

Stosunek Chopina do George Sand popsula — wedle powszechnej plotki, ona sama, karykaturą jego osoby w powieści pt.: **Książę Karol i Lukrecja Floriani**. George Sand broni się przed tym zarzutem odmiennością otoczenia przypisywanego fikcyjnemu ks. Karolowi i jego podobieństwem z Chopinem, dodając na dowód, że: „Chopin czytając codziennie rękopis leżący na biurku nigdy nawet o tym nie pomyślał.“ Zresztą, wedle niej: „Nasza własna historia nie miała nic z powieści. Treść jej była zbyt prosta i zbyt poważna, abyśmy kiedykolwiek mieli okazję występować przeciw sobie z osobistych powodów. Przystawałam całkowicie na takie życie Chopina jakie prowadził, niezależnie od mego życia. Nie podzielałam jego upodobań ani poglądów, poza sztuką, ani opinii politycznych ani osądu wydarzeń, nie próbowałam nigdy zmieniać jego natury. Szanowałam jego indywidualność... Z drugiej strony Chopin obdarzał mnie i, można powiedzieć, honorował taką przyjaźnią, która w jego życiu stanowiła wyjątek“.

A przecież wzajemny ich stosunek popsul się i zerwał nagle i ostatecznie. Przyczyną stała się wzmagająca się wciąż rywalizacja między Chopinem a synem George Sand Maurycym, właśnie o jej miłość, zwłaszcza gdy przyrodzone macierzyństwo bra-

## SZTUKA JANINY BARANOWSKIEJ

TEGOROCZNA LUTOWA wystawa malarska Janiny Baranowskiej w Alwin Gallery na West-Endzie w Londynie była pokazem ze wszechmiar ciekawym. Przede wszystkim mamy tu do czynienia z twórczością o wyrobionym już stylu prawie od dziesięciu lat. a mimo swej integralności stale się rozwijającą i zmieniającą; następnie jest to rodzaj talentu należącego do współczesnej nam wizji, samodzielnie przeciwstawiającego się wielu modnym, manierycznym, powiedziałabym dekadentkim tendencjom sztuki dzisiejszej, czy też jej zaścianków, pretendujących do stolic nowoczesności. W swej ostatniej fazie Baranowska zdecydowanie zwraca się do narracji malarskiej, do tematów, które prawie od początku naszego wieku stały się zabronionym „tabu“ dla awangardy plastyki nowoczesnej, a w abstrakcji zalewającej modne pokazy w galeriach Zachodu od przeszło ćwierćwiecza, takie przejawy są sprzecznością na mocy definicji.

Oto nazwy w przekładzie polskim (katalog jest angielski) kompozycji na tej wystawie: „Raj“ (jako koncepcja Dantego), „Szuler“, „Byk Sycylijski“, „Operacja“, „Sędziowie“, „Wypędzenie z Raju“, „Ukrzyżowanie“, „Lot i Jego Dwie Córki“, „Sąd Ostateczny“ (duży tryptyk), „Wojna i Pokój“, „Święty Hieronim“, „Piekło“ (jako koncepcja

Dantego), „Legenda o św. Mariach“, „Porwanie Sabine“, „Sala Operacyjna“, „Jeźdźcy Apokalipsy“. Są to obrazy olejne, przy czym ich tytuły nie są tylko symbolicznymi nazwami dla wyróżnienia pozycji katalogu i atakiem na domysłność widza (co ma miejsce w wielu katalogach artystów abstrakcyjnych), ale informacjami, że konkretna rozprawa malarska z tematem określonym nazwą — tutaj się odbywa.

Krótko: mamy tu do czynienia ze zjawiskiem powrotu do tej postawy, która, wyłączając prawie sześć dekad naszego stulecia, była typową niemal dla wszystkich kultur człowieka w sztukach plastycznych, a polegała na pełnej rozpiętości tematów, a nie na wyróżnianiu tylko tych, które miały manifestować absolutną przewagę zagadnień formalnych (główna tendencja malarstwa zachodniego, od post-impresjonistów do dnia dzisiejszego).

Oczywiście, ta „literacka“ tematyczność malarstwa Baranowskiej nie przesądzała w najmniejszym stopniu klasy artystycznej, gdyby jej prace nie miały równocześnie oryginalnych i pełnowartościowych zalet czysto malarskich. A więc koloru, rytmu, oryginalności form i porządków kompozycyjnych.

Malarstwo Baranowskiej zawiera bardzo dużą rozpiętość gamy barwnej, o kolorystyce mocno nasyconym i opartym

na silnych kontrastach. Ta cecha występowała i na jej poprzednich wystawach (Drian Gallery, London, 1958; Raymond Duncan Gallery, Paris, 1960 i 1966; Grabowski Gallery, London, 1460 i 1965). Do wyjątków należy obraz o szarawej tonacji, opartej na łamanych czernią barwach — „Jeźdźcy Apokalipsy“. Baranowska ma dużą wrażliwość koloru i raczej unika asonansów, ale są i wyjątki, świadomie dyktowane ekspresją tematu. Np. w mocnej kompozycji „Wojna i Pokój“ — gryzący dysonans zjadliwie fioletowej smugi, idącej od dołu tego obrazu do jego wyraźnie zaznaczonej poziomej osi środkowej, nad którą krzyczą potężną opozycją żółto-oranżowe symboliczne postacie. Poświęcenie harmonii na rzecz grozy ekspresyjnej jest tu na miejscu. I obraz ten mówi dużo o rozpiętości i niespodziewanych możliwościach talentu artystki. W „Porwaniu Sabine“, kompozycji o formach wyjątkowo śmiałych i dynamicznych, uderza doskonale związanie różnorodnych tonów gorących, czerwonych, różowych i żółtych, o wyszukanych jakościach, z zygzakami bieli w środkowej części obrazu; oczywiście „biel“ nasuwa kompetentnemu widzowi pytanie „jaka?“, podobnie „jaka czerwień“, „jaka żółć“, „jaki błękit“, „jaka czerń“ itp. Bo przecie każda barwa ma nieskończoną ilość odcieni i tylko ich właściwe lub niewłaściwe rodzaje mówią o „dobrym“ lub „złym“ położeniu plamy w obrazie. Sąsiedztwo zaś gra rolę zasadniczą. O udatności tych połączeń decyduje: wrażliwość malarska i wiedza. Baranowska pierwszą kwalifikację otrzymała od natury, drugą wypracowała rzetelną, systematyczną pracą. Jak przy każdej analizie osobowości twórczej, nasuwa się pytanie: jakie wpływy dadzą się odczytać w tej realizacji? Myślę, że są tu dalekie oddziaływania El Greco, a bliższe Chagala, a najbliższe środowiska niektórych wybitnych młodszych malarzy polskich na obczyźnie, którzy są typowymi ekspresjonistami.

Ostatnie dwa zdania nie negują w najmniejszym stopniu samodzielności wypowiedzi Baranowskiej. Wpływy i oddziaływanie na siebie indywidualności o różnych zakresach i poziomach w sztuce są konieczną funkcją ogólnych procesów kulturalnych i „wpływy“ takie należy odróżniać od epigonicznego naśladownictwa.

Janina Baranowska jest jedną z czołowych pozycji wśród dzisiejszych polskich plastyków w ogólności, a na obczyźnie i wśród kobiet — w szczególności.

## S Z O P E N ...

ło górę nad przybrany. Poza tym wdarła się między nich niezgoda co do zamążpójścia Solange za rzeźbiarza A. J. Clasingera, którego Chopin bronił przed uprzedzeniem Maurycego do Clasingera aż doszło do krótkiego spięcia i to na tle — wedle domowej plotki — śmiesznej i nieważnej przyczyny: z powodu podania Chopinowi przy stole nie piersi, lecz nogi kurczęcia piezonego!! W tym geście służącego Chopin dojrzał lekceważenie jego osoby, a wobec interwencji samej George Sand, oświadczył, że ona go już nie kocha, więc w jej domu nie ma dla niego miejsca — po czym wyjechał by już nigdy do Nohant nie wrócić!

Odtąd zaczęła się paryska samotność Chopina i groźna dla jego zdrowia wyprawa po złote runo do Anglii, wprawdzie pod opieką zakochanej w nim i zamożnej Szkotki Jane Sterling, która jednak nie była dlań drugą George Sand.

Tymczasem George Sand cierpiała nad niewdzięcznością Chopina, któremu oddała 7 lat życia. Spotkali się jeszcze tylko przelotnie raz jeden w towarzystwie. Pisze o tym George Sand z gorzycą: „Ujrzałam go znów na chwilę w marcu 1848 roku. Uściśnęłam jego rękę drżącą i zimną jak lód! Chciałam z nim pomówić, lecz oddalił się. Teraz ja mogłam z kolei rzec, że mnie już nie kocha. Oszczędziłam mu tego cierpienia i złożyłam wszystko w ręce opatrności, zaufawszy przyszłym dniom...“.

George Sand nie miała już zobaczyć Chopina, choć żył jeszcze przez rok, do dnia 17-go września 1849 r. Ale nie wykreśliła go z pamięci, wspominając go z wyrozumiałością: „Za lata czuwania, lęku, całkowitego poświęcenia zapłacono mi latami latami czułości, zaufania i wdzięczności, których godzina zbłąkania i niesprawiedliwości nie mogła przed Bogiem wymazać“.

# Sprawy polskie w dziejach świata

**W** CZASIE wciąż rosnącej specjalizacji fizycznym niepodobniestwem jest ogarnięcie całokształtu wiedzy ludzkiej. Stąd potrzeba wydawnictw popularnych o charakterze encyklopedycznym, które choćby w zarysie ujmują dany dział wiedzy, ułatwiając orientację w świecie. Dotyczy to w szczególności historii, bez której znajomości ocena wydarzeń doby obecnej może nieraz być błędna, a której poznanie umożliwi w pewnym stopniu przewidywanie przyszłości. Popularna książka „World History“ J. C. Revilla, która przed kilku laty doczekała się drugiego wydania, stara się spełnić to zadanie.\*) Autor jej pokusił się na blisko 900 stronach przedstawić syntetycznie dzieje ludzkości, poczynając od ukazania człowieka w czasach przedhistorycznych, a kończąc na wydarzeniach nam współczesnych, bo sięgających 1962 roku.

Lektura tego dzieła, napisanego ze szczególnym uwzględnieniem problemów Anglii, co powoduje pewną dysproporcję w stosunku do dziejów innych narodów, jest interesująca i użyteczna, a wiele wydarzeń przeszłości wywołuje i dziś echo emocjonalne jak np. upadek Konstantynopola przy całkowitej obojętności Zachodu. Dużym ułatwieniem zrozumienia dzieła jest przejrzysty układ materiału czemu sprzyja podział na 9 zasadniczych sekcji, z których każda obejmuje szereg rozdziałów, poprzedzona przez specjalny wstęp, podający w jeszcze większym skrócie omawianą treść. Sekcje te obejmują kolejno: początki człowieka, najstarsze cywilizacje, dzieje Grecji i Rzymu, specjalnie interesujące dla historyka ze względu na ich względną izolację, „ciemne wieki“ do imperium Karola Wielkiego, wczesne i późne średnio-wiecze, początki czasów nowożytnych obejmujące Reformację i walki religijne, okres od pokoju w Westfalii (1648) do Rewolucji Francuskiej i okres nowożytny, do którego należą i czasy obecne. Po przeczytaniu tej ogromnej książki odnosi się wrażenie,

że dzieje ludzkości to dzieje zmagania cywilizacji i imperiów przy równoczesnym dążeniu do zaprowadzenia porządku międzynarodowego, znajdującego swój wyraz, szczególnie w czasach obecnych, w powstawaniu licznych organizacji międzynarodowych pomimo dwu straszliwych wojen.

Dla czytelnika polskiego ciekawym jest, jak w tej historii świata w ujęciu angielskiego autora przedstawiają się sprawy polskie. Na wstępie należy stwierdzić, że zajmują one stosunkowo mało miejsca, a jeśli w ogóle występują to w związku z wydarzeniami o skali światowej, jak np. odsiecz Wiednia, czy też inwazja hitlerowska na Polskę. We wstępach do poszczególnych sekcji, uwypuklających najważniejsze wydarzenia, Polska jest wspomniana zaledwie parę razy. Pierwszą taką wzmiankę znajdujemy w sekcji VIII, gdzie to autor powiada, że potęga turecka poniosła decydującą klęskę w 1683 r. pod murami Wiednia z rąk armii polskiej pod Janem Sobieskim, przybywającym z odsieczą. W tej samej sekcji są też dwie inne wzmianki. Jedna z nich dotyczy wojny o polską sukcesję, której bezcelowość ukazała, że „Polska jest całkowicie zdana na łaskę i niełaskę swych sąsiadów“. Drugą zaś mówi o „cynicznym rozbiore Polski przez Katarzynę i jej wspólnika Fryderyka przy niechętnym udziale Marii Teresy, która z żalem i niemal ze łzami zgodziła się w nim brać udział.“ We wstępie do ostatniej, IX sekcji, autor mówiąc o postępach nauki, wymienia Marię Curie, nie podając jej narodowości. Omawiając rok 1848, powiada, że rewolucjoniści „spotkali się z początku z sukcesem wszędzie z wyjątkiem Polski.“ Przedstawiając zaś genezę ostatniej wojny, mówi, że „Hitlera zadziwiający pakt z Rosją w sierpniu 1939 r. oraz jego atak na Polskę, ostatecznie przyspieszyły wielką wojnę europejską we wrześniu 1939 roku“.

Tyle o Polsce we wstępach do sekcji, w tekście jednak znajdziemy więcej wzmianek, choć nie są one zbyt liczne, ani też nie wykazują istotnego zrozumienia roli dziejowej Polski. Dla ilustracji chciałbym po-

dać, że udało mi się odnaleźć w książce około 20 Polaków lub osób, związanych z Polską (jak np. królowie elekcyjni pochodzenia obcego). Są to: Mieszko I, Bolesław Chrobry, Mieszko II, Henryk Pobożny i jego matka św. Jadwiga, Władysław Warneńczyk, Władysław Jagiellończyk (który zginął pod Mochaczem), Kopernik, Stefan Batory, Zygmunt III i matka jego Katarzyna Jagiellonka, Jan Kazimierz i jego brat bez podania imienia, Michał Wiśniowiecki, Jan Sobieski, dwóch Sasów, przy czym wymienione jest tylko imię Augusta III, Stanisława Leszczyńskiego, Kościuszki, a w czasach obecnych ambasadora Lipskiego i Gomułki. Już choćby zestawienie tych postaci wskazuje jak nieraz przypadkowym był ten wybór. Rzecz charakterystyczna, że głównie są to królowie, a wśród nich wojownicy jak Chrobry, walczący z Cesarstwem, lub Władysław Warneńczyk i Sobieski, prowadzący wojnę z Turkami. Z uczonych poza Marią Curie wymieniony jest tylko Kopernik, lecz jego narodowość polska jest wyraźnie zaznaczona. Jest również w tekście wzmianka o powstaniu Uniwersytetu Krakowskiego w XIV w. oraz o Unii lubelskiej z 1569 r. w związku z nacjonalizmem Litwinów.

W czasach piastowskich wymieniony jest dwukrotnie Mieszko I, raz, że bezpośrednio po przyjęciu chrześcijaństwa utrzymywał przyjazne stosunki z Ottonem II, drugi zaś raz, że został przez niego pobity w wojnie z 979 roku. O Bolesławie Chrobrym jest mowa w związku ze zdobyciem Czech i nieuznawaniem przez niego zwierzchnictwa cesarza Henryka II, któremu wprawdzie udało się odzyskać Czechy, lecz który na próżno w 3 wojnach z Polską pomiędzy 1004-1018 roku starał się odzyskać terytoria pomiędzy Łabą i Odrą. O Mieszku II powiada autor, że idąc w ślady ojca swego Bolesława, śmiało przyjął króla, lecz, że cesarz Konrad zmusił go w 1033 roku do uznania swego zwierzchnictwa i oddania połaci ziemi na zachodniej granicy. Po śmierci Mieczysława w 1034 roku „chaos zstąpił na Polskę, która prze-

\*) „World History“ J. C. Revill, Longmans 1962, 877 str., 22 mapy.

stała być groźbą dla Konrada". Następnym wydarzeniem zanotowanym w dziejach świata jest bitwa pod Lignicą z 1241 roku, w której zginął ks. Henryk Pobożny, przeciwstawiając się nawałce tatarskiej z garstką rycerstwa. W związku z klęską warneńską przypomina autor, że w 1440 roku cesarz Konstantynopola Jan planował, po przyjęciu Unii, przymierze z Władysławem, królem Polski i Węgier, a papież wzywał monarchów chrześcijańskich do walki z Turcją. Przyczyną klęski pod Warną z 1444 r. było „skandaliczne” zerwanie przez Władysława rozejmu, zawartego z Turkami na 10 lat, tym więcej nierozważne, że większość wojsk sprzymierzonych już wróciła do swych krajów.

Mówiąc o dalszych walkach z Turkami w rozdziale 27, autor poświęca wyjątkowo wiele uwagi roli Jana Sobieskiego. Przypomina wojnę, wywołaną interwencją sultana w sprawie Kozaków, w której Sobieski odnosi szereg zwycięstw, a wybrany na króla w 1674 r. zawiera w 1676 r. zwycięski pokój, zrzucając obowiązek płacenia haraczu Turcji. Omawiając zaś odsiecz wiedeńską, podkreśla, że o zwycięstwie zdecydował „rycerski król polski, który zgromadził armię i wygnał Turków spod Wiednia”. Rezultatem tego zwycięstwa oraz zwycięstwa pod Zentą był pokój karłowicki w 1699 r., w którym Polska odzyskała Podole wraz z Kamieńcem oraz Zachodnią Ukrainę. W tymże samym rozdziale mówiąc o zaczynającej się już w XVI w. rywalizacji Rosji ze Szwecją, Danią i Polską o południowe wybrzeże Bałtyku, charakteryzuje Rzeczpospolitą w sposób niezbyt pochlebny w następujących słowach: „Polska była rozległym, źle skoordynowanym państwem z monarchią elekcyjną, dumną i burzliwą arystokracją oraz uciskaną, niewolniczą ludnością. Było ono rządzone przez dom Jagiellonów do 1572 roku, po czym tron stał się przedmiotem sporów i był kolejno zajmowany przez węgierskiego Stefana Batorego i trzech królów z rodziny Wazów, a następnie został złączony więzami dynastycznymi z Saksonią”.

Mówiąc o Rosji 17 wieku, podkreśla, że carowie rosyjscy interesowali się żyzną ziemią Ukrainy i że rywalizacja ich z Polską o te tereny doprowadziła do pokoju w Andruszowie w

1667 r., na podstawie którego Rosja wzięła część Ukrainy na wschód od Dniepru, zostawiając Polsce ziemie na zachodzie. W związku z dziejami Prus-Brandenburgii przypomina, że w skład ziem Wielkiego Elektora wchodziły również Prusy Wschodnie, które rodzina Hohenzollerów odziedziczyła po Krzyżakach, po ich ostatnim wielkim mistrzu Albrechcie w 1525 r. i które do 1657 r. pozostawały lennem Polski. Ze względu na sytuację geograficzną i chęć posiadania wybrzeża Bałtyku i ujścia Odry polityka Wielkiego Elektora „musiała być wroga”. Stopniowo też uwolnił się on od obowiązku lennika z Prus Wschodnich, co zostało potwierdzone w 1660 r. W czasie potopu szwedzkiego Wielki Elektor „był zmuszony” przepuścić wojska Karola Gustawa przez Prusy Wschodnie, lecz następnie „udało mu się” zorganizować koalicję przeciw Szwedom, która doprowadziła do zwiędzkiego pokoju w Oliwie w 1660 r. Mówiąc o tej samej wojnie w związku z dziejami Szwecji, zaznacza, że Karol Gustaw napadł na Polskę, która nie chciała go uznać, a Jan Kazimierz nie chciał się wrzec praw do korony szwedzkiej. Szwedom udało się zdobyć Warszawę, gdyż Polska była jednocześnie w wojnie z Rosją. Rezultatem traktatów w Oliwie i Kopenhadze było, że Szwedzi nie uzyskali żadnych terenów w Polsce, lecz Polska zrzekła się swych pretensyj do tronu szwedzkiego. Brandenburgia zaś za wycofanie wojsk swych z zachodniego Pomorza uzyskała uznanie swego suwerenności w Prusach Wschodnich.

Następnie dzieje Szwecji i Polski zająbiają się za czasów Karola XII, który w 1700 r. odniósł wielkie zwycięstwo pod Narwą nad wojskami Piotra Wielkiego i rozbił koalicję, do której należała i Polska. W 1702 r. młody zwycięzca był już w Warszawie, a do warunków pokoju podyktowanego przez niego zwyciężonym należało oddzielenie Polski od Saksonii i powołanie na tron polski Stanisława Leszczyńskiego. Dużo uwagi poświęca autor w rozdziale 29 tzw. wojnie o polską sukcesję (1733-35). Wojna ta, w której brały udział najważniejsze mocarstwa, wybuchła wprawdzie po ponownym wyborze St. Leszczyńskiego na króla, gdy Rosja i Austria narzuciły Polsce Augusta III, lecz znaczenie jej było ogólnie

noeuropejskie. Wynikiem jej było, że Leszczyński musiał się zrzec tronu polskiego, otrzymując w zamian księstwo Lotaryngi i Baru.

Szczegółowo są przedstawione rozbiory Polski w związku z agresywną polityką Katarzyny II, która dążyła do zagarnięcia większej części terytoriów Szwecji, Turcji i Polski. Pierwszy rozbiór Polski został przyspieszony przez plany Katarzyny II rozbioru Turcji, gdy groziła wojna z Austrią z powodu zwycięstw rosyjskich w wojnie tureckiej. Obawiając się wojny europejskiej Fryderyk zaproponował rozbiór Polski, rozwiązanie, które, jak powiada autor, zaspokajało wszystkie zainteresowane państwa z wyjątkiem Polski. Przedstawiając zdobycze państw zaborczych, zaznacza autor, że w 1792 r. Polska straciła około 5 milionów ludzi czyli około połowy swej ludności oraz trzecią część swego terytorium. Choć akt rozbioru nazywa on aktem politycznie niemoralnym, uważa, że ustrój Polski i jej szlachta w dużym stopniu przyczyniły się do tej tragedii. Absurdalny, zdaniem jego, system monarchii elekcyjnej oraz „liberum veto” były przyczynami słabości państwa, którego zniknięcie jednak było niepożądane, bo spełniało ono rolę buforu pomiędzy państwami zaborczymi. Nowy duch patriotyzmu i reformy, których owocem była konstytucja z 1791 r. były bezpośrednią przyczyną II rozbioru w 1793 r., gdyż Rosja i Prusy obawiały się, że Polska stanie się niezależną. III rozbiór w 1795 r., który nastąpił po Powstaniu Kościuszkowskim zdecydował ostatecznie o zniknięciu państwa polskiego z mapy Europy. Odtąd w historii świata jest głucho o Polsce.

Jedynie wzmianki w epoce napoleońskiej dotyczą utworzenia Księstwa Warszawskiego oraz przyrzeczenia Napoleona danego Aleksandrowi I-mu w Tyłży w 1807 r., iż nie przywróci niepodległości Polski. Omawiając postanowienia Kongresu Wiedeńskiego z 1815 r. zaznacza, że Rosja otrzymała więcej niż jej się należało, uzyskując większą część Polski wraz z Warszawą, bo jak powiedział car „gdy ma się 600 tysięcy wojska niepotrzebne są układy”. Obszerniejsze wiadomości znajdziemy o Powstaniu Listopadowym. Mówiąc o genezie Powstania, a raczej wojny polsko-

rosyjskiej z 1830 r. widzi jego przyczyny w „nadmiernym nacjonalizmie Polaków“ oraz nieudolnym wyborze urzędników przez cara i nieprzestrzeżeniu przez niego konstytucji. Do niechęci Mikołaja I do Polski miał się przyczynić udział Polaków w spisku dekabrystów, czego „car nigdy nie przebaczył“. Po upadku Powstania, które cieszyło się sympatą w Angli i Francji, Polska przestała istnieć jako osobna jednostka, lecz w austriackim zaborze kwitł duch patriotyzmu i polska kultura, która po tym rozszerzyła się na całą Polskę. O Powstaniu 1863 r. znajdujemy jedynie wzmiankę, że ku oburzeniu liberałów w całym świecie Bismarck, nie chcąc narazić się Rosji „nie przyszedł z pomocą Polakom w Rewolucji 1863 r., która została zdławiona.“

W dziejach I wojny światowej Polska występuje tylko jako pojęcie geograficzne, a nazwy polskie to tereny działań wojennych obcych armij. Mówiąc o warunkach Traktatu Wersalskiego, wspomina autor, że Niemcy utraciły na rzecz Polski większość Poznańskiego i Zachodnich Prus, że o losie Górnego Śląska miał zdecydować plebiscyt i że Gdańsk miał być „wolnym państwem“ w ramach polskiego obszaru celnego, połączony z Polską korytarzem, „przechodzącym „przed to co wpraw było Prusami Wschodnimi.“ W związku z traktatem z Austrią w St. Germain jest wzmianka, że Austria uznała niepodległość Polski i utraciła na jej rzecz Galicję. Przedstawiając nieustalone stosunki po wojnie, wylicza autor liczne spory, wśród których wymienia sprawę Wilna, spór między Polską a Czechosłowacją o Cieszyn, „graniczny spór między Rosją a Polską, który doprowadził do wojny“ oraz „roszczenia niemiecko-polskie do Górnego Śląska, które rozstrzygnął, jak myślano, plebiscyt na korzyść Polski aż powstanie zbrojne skłoniło Ligę Narodów“ do zadecydowania o jego podziale“.

Wspominając o agresji Hitlera przeciw Czechosłowacji 1938 r. podkreśla jego przebiegłość w wyborze obiektu, bo jak powiada, Francja i Anglia mogłyby wystąpić przeciw atakowi na Belgię czy Polskę, ale nie przeciw aneksji terytorium zamieszkanego przez Niemców. Zaznacza przy tym, że wątpliwym jest, czy Rosja dołączyłaby do nich. Ostateczny kry-

zys wynikł w sierpniu 1939 r., gdy groziła już agresja przeciw Polsce, a Hitler i Stalin zawarli pakt ku konsternacji całego świata, a nawet sprzymierzeńców Niemiec. Stało się jasnym, że Hitler nie przyjmie kompromisu i że Polska musi przyjąć wszystkie żądania Hitlera lub wojnę. Wszelkie apele i groźby Francji i Anglii oraz nawoływania Roosevelta do pokojowego rozwiązania nie odniosły skutku. 1 września, ogłaszając, że propozycje zostały odrzucone, choć nie dotarły one do Warszawy, Hitler zarządził atak na Polskę. Dwa dni potem, gdy Hitler odrzucił żądania Francji i Anglii, aby wycofał swe wojska z Polski, Francja i Anglia wypowiedziały wojnę Niemcom (3 września).

Omawiając przebieg wojny w rozdziale 41 zaznacza, że zaczęła się ona 1 września 1939 r., ponieważ Hitler 31 sierpnia o godz. 4.00 wydał rozkaz ataku na Polskę na dzień następny, choć w tym samym dniu o godz. 6.30 ambasador Lipski poinformował Ribbentropa, że rząd polski zgadza się na bezpośrednie układy z Niemcami zgodnie z propozycją W. Brytanii, lecz Hitler nie cofnął swego rozkazu. Kampania wrześniowa trwała mniej niż miesiąc, bo Polacy byli słabsi liczebnie i „beznadziejnie“ nieprzygotowani do walki pancerniej i lotniczej, do której przygotowali się Niemcy. Dnia 17 września Polacy cofnęli się do Warszawy, która się poddała i w tym samym dniu Rosjanie zajęli część Polski, usprawiedliwiając swą akcję ku niezadowoleniu swych nazistowskich aliantów, że państwo polskie przestało istnieć, więc wszelkie traktaty z nim są nieważne i „inne państwa“, co mogło oznaczać tylko Niemcy, mogłyby skorzystać z tej sytuacji, więc Rosja Sowiecka interweniuje, aby uchronić białoruską i ukraińską mniejszość. W dniu 29 września nastąpił rozbiór Polski zgodnie z poprzednią umową. Otrzymała w nim Rosja więcej niż połowę terytorium i mniej niż połowę ludności, zostawiając Niemcom część terytorium, które i tak było w ich rękach. Gniew i poczucie bezsilności ogarnęło Zachód. Pomoc w czasie inwazji byłaby bezskuteczna bez „pomocy Rosji. Francja i Anglia były za słabe, by zacząć ofensywę na zachodzie w czasie wojny w Polsce, a po jej zakończe-

niu szanse byłyby jeszcze mniejsze. Powstanie Warszawskie nazwane „straszną katastrofą“ było rezultatem przedwczesnego chwycenia za broń przez podziemie, gdy wojska rosyjskie po szybkiej ofensywie w Polsce musiały się zatrzymać celem konsolidacji. Odmowa pozwolenia na lądowanie samolotów sprzymierzonych na sowieckich lotniskach wydała się zupełnie niezrozumiała, chyba że się ją wytłumaczy tym, że Sowiety nie chciały po wkroczeniu do Warszawy mieć do czynienia ze zwyciężskimi siłami podziemia.

Omawiając układ w Jałcie w 1945 roku, autor wspomina, że Polska za utracone terytorium na wschodzie do linii Curzona miała otrzymać kompensatę w półn.-zachodnich Niemczech. Straty niemieckie według układu w Poczdamie były „wstrząsające“, będąc odwróceniem kilkuset lat historii Niemiec. Prusy Wschodnie zostały podzielone pomiędzy Polskę i Sowiety, a Polska ponadto otrzymała Gdańsk, Śląsk, część Brandenburskiej i Wschodnie Pomorze. W ten sposób nie tylko krzywdy Polskę z czasów rozbiorów w XVIII w. zostały wyrównane, lecz i duże połacie ziemi zamieszkałe przez Niemców przeszły w jej władanie, czemu Niemcy nie mogły się przeciwstawić, choć w przyszłości może to się stać źródłem konfliktu. Ludność terytoriów oddanych Rosji i Polsce, wynosząca ok. 12 milionów, została wysiedlona do Niemiec. Jej pobyt na tych ziemiach był rezultatem kolonizacji niemieckiej i podboju od wieków średnich. Choć nikt nie będzie występował o te terytoria z wyjątkiem Niemców, Polacy mogą się przekonać, że wschodnia Brandenburgia i wschodnie Pomorze są nie do strawienia.

W 1947 r. we wszystkich państwach wyzwolonych przez wojska rosyjskie, były już rządy sprzyjające Sowiutom, które, choć jak w Polsce doszły do władzy na podstawie nominalnych wolnych wyborów, były nie do przyjęcia przez mocarstwa zachodnie jako wyraz prawdziwej demokracji. Wspomina też autor, że komunistyczny rząd w Polsce powstał z popieranego przez Sowiety Komitetu Lubelskiego. Ostatnia zaś wzmianka o Polsce występuje w związku z Powstaniem Węgierskim, do którego zachętą było odprężenie w

(Dokończenie na str. 30)

# Leszek Kołakowski o Marksizmie

**P**OSTAĆ młodego profesora historii filozofii nowoczesnej Leszka Kołakowskiego (ur. 1927) nabrała charakteru reprezentatywnego dla pokolenia marksistów wychowanych i wykształconych w Polsce Ludowej. Studia w nowoutworzonym po wojnie Uniwersytecie Łódzkim, odbyte w latach 1945-50 za rektoratu prof. Tadeusza Kotarbińskiego, zamknął nie tylko pracą magisterską o filozofii prawa naturalnego, ale i tezą doktorską o Spinozie przyjętą w roku 1953. Przez jakiś czas był wykładowcą w wyższej szkole partyjnej, a od r. 1954 do 1959 docentem uniwersytetu łódzkiego. Po „polskim październiku“ wszedł do redakcji oficjalnych „Studiów Filozoficznych“ powstałych po zwinieniu trzymającej się kursu stalinowskiego „Myśli filozoficznej“. Wszedł również do komitetów redakcyjnych innych wydawnictw Polskiej Akademii Nauk. Najpierw był członkiem żarliwym Związku Młodzieży Polskiej

## SPRAWY POLSKIE...

Polsce i powołanie Gomułki na stanowisko I sekretarza partii komunistycznej.

W „Historii świata“ Revilla Polska zajmuje, niestety, bardzo niepokojące miejsce, a stosunek do niej poza zdawkowymi komplementami pod adresem Sobieskiego jest mało życzliwy. Widoczne to jest szczególnie w negatywnej ocenie dawnej Rzeczypospolitej oraz niesprawiedliwym nieraz przedstawieniu stosunków Polski z sąsiadami, które zostały naszkicowane przede wszystkim z punktu interesów Niemiec i Rosji. Należy przypuszczać, że braku te są rezultatem niedostatecznej znajomości u autora spraw polskich oraz oparcia się przez niego na źródłach, niezawsze nam życzliwych. Warto by było, by książka ta zainteresowała historyków naszych, którzy nie tylko mogliby sprostować zawarte w niej nieścisłości, lecz również i poddać gruntownej krytyce stroniczną interpretację zdarzeń, wypaczającą obraz roli dziejowej Polski.

(ZMP), a potem wstąpił do partii komunistycznej. W roku 1959 otrzymał stanowisko profesora na Uniwersytecie Warszawskim, na którym utrzymał się do r. 1968.

Stopiowo z pozycji stalinowskiej przechodził Kołakowski na pozycje „rewizjonistyczne“, angażując się coraz ostrzej w życie polityczne Kraju. Zaczął występować przeciwko cenzurze, prześladowaniu intelektualistów, i przeciw oficjalnemu antysemityzmowi (żona jego jest pochodzenia żydowskiego). Zyskiwał sobie coraz więcej sympatii wśród młodzieży akademickiej, ale jednocześnie pozycja jego zaczęła się chwiać. Po przemówieniu na Uniwersytecie Warszawskim w 10-rocznicę „Października“, skierowanym przeciwko ograniczeniom wolności został — na drugi dzień — wydalony z partii. Po czym nastąpiło usunięcie go z redakcji „Studiów...“, a po wypadkach marcowych 1968 r. zwolniono go ze stanowiska profesora U.W. Dzięki interwencji osób wpływowych otrzymał — czasowo cofnięte — prawo wyjazdu na dwa lata zagranicę. Przy pomocy sympatyków na zachodzie uzyskał możliwość wykładania na Uniwersytecie kanadyjskim im. McGill w Montrealu. Jak wiadomo, podobny los spotkał dość duże grono nie mniej żarliwych od niego komunistów i intelektualistów-marksistów. Mimo tych prześladowań nie wyrzekł się swoich przekonań marksistowskich i komunistycznych.

Dobry dialektyk, wykształcony już jednak na zdobyczach logicznych polskiej szkoły filozofii analitycznej, a przy tym uzdolniony literacko, jest on przy tym duchem niespokojnym, nie bez przeciwności wewnętrznych. Urzeczony zagadnieniami religijnymi, poświęcił im wiele uwagi, rozważając je ze stanowiska dialektycznego materializmu. Równocześnie szczególnie uwagą darzył filozofię Spinozy, którą starał się zinterpretować materialistycznie. Słabej kondycji fizycznej i złego stanu zdrowia, jest on przy tym bardzo dynamiczny, i w tym przypomina sylwetkę Stanisława Brzozowskiego z tym zastrzeżeniem, że drogi ich rozwoju umysłowego

poszły w zupełnie przeciwnych kierunkach. Obaj chłonni byli na wszelkie nowinki filozoficzne i wykazywali dużą błyskotliwość. Tak więc Kołakowski zbliżył się do modnego egzystencjalizmu, napisał książkę przeciwko pozytywizmowi w jego najnowszych odmianach, ale zasadniczo nigdy nie wyrwał się z sieci światoglądu marksistowskiego. Szamocąc się w niej, chciał tylko rozluźnić i poszerzyć jego zakres. W tym celu nawiązał do poczynań filozoficznych młodego Marksa. Znalazł w nich zarodki postawy humanistycznej, filozofii czynu, przejętej od Augusta Cieszkowskiego (1814-1895), oraz indywidualizmu połączonego z zamiłowaniem swobody, jak wiadomo, niezbędnej dla rozwoju duchowego wszelkiego myślicielstwa. Rysem najbardziej indywidualnym sposobu myślenia Kołakowskiego jest oparcie się o etykę ufundowaną na bezwzględnych przesłankach metafizycznych. Wszystko to razem stworzyło odchylenie nie do pogodzenia z oficjalnymi dyrektywami ortodoksji partyjnej.

Do tej już dostatecznie tragicznej osobistej sytuacji dochodzi moment wytykany mu w związku z ukazaniem się jego nowej książki angielskiej, spóźnionej o całe 10 lat, w stosunku do tego co się działo w łonie marksizmu na zachodzie. Ten fakt odbiera wiele z nowatorstwa czy oryginalności jego przyczynkom. Był on zresztą już wcześniej niejednokrotnie oceniany fachowo przez rodaków przebywających na obczyźnie, jak Z. A. Jordan (ur. 1911), Władysław Jaworski (ur. 1916), czy Henryk Skolimowski (ur. 1930) i inni. Nie sposób więc tu wracać do oceny całości twórczości filozoficznej. Wystarczy ogólnie scharakteryzować jego ostatnią, wydaną w Anglii, książkę pt. „Marksim i co poza nim“).

Jest to wybór szkiców, daleki od

\*) Leszek Kołakowski, „Marxism and Beyond“. „On historical understanding and individual responsibility“ translated by Jane Zielonko-Peel. Introduction by Leopold Łabędź. London, Pall Mall Press, 1968-1969, 240 p. Bez indeksów.



podania pełnego przekroju zainteresowań jego autra, niemniej dający kilka znamienych próbek jego pióra. Sylwetkę ideologiczną i filozoficzną Kołakowskiego podaje we wstępie red. Leopold Łabędź (ur. 1920) prowadzący od wielu lat angielskie pismo „Survey“ poświęcone zagadnieniom polityczno-kulturalnym, ze szczególną uwagą zwróconą na wschodnią Europę. Wybór otwiera najefektowniejszy ze szkiców pt.: „Kapłan Blazen“ (z 1959 r.). Stanowi on credo autora jako wiecznego czujnego buntownika, opowiadającego się za możliwościami zawartymi w pozaintelektualnych wartościach, ze świadomością grożących niebezpieczeństw i absurdów. Zagranicą znany był z wydanego przez Marię Kuncewiczową (ur. 1898) zbioru pt. „The Polish Mind“ (Polska umysłowość?) w r. 1963. Stanowisko w nim przedstawione znajduje wiele sympatii, jak o tym świadczy m.in. bardzo przychylne przyjęcie książki przez krytykę angielską.

Najistotniejszym dla stanowiska filozoficznego Kołakowskiego wydaje się jednak dopiero drugi szkic o „Karolu Marksie i klasycznej definicji prawdy“ (odezbyt wygłoszony w Tubindze w 1958 r. znany w Anglii z książki redagowanej przez L. Łabędzia „Rewizjonizm“ z 1962 r.). Eksponuje on problematykę związaną z nawrotem do pism młodego Marksa, ale podaną w sposób zupełnie nowoczesny. Tu zawierają się elementy przejęte z filozofii czynu Augusta Cieszkowskiego (1814-1895), które dotychczas stanowią najcenniejszy składnik filozofii marksistowskiej z punktu widzenia aktywizmu filozoficznego. Cieszkowski pierwszy w tym kontekście użył terminu praxis, który leży u podstaw rozważań filozoficznych w nowoczesnym marksizmie.

W reszcie książki przeważają rozważania o charakterze ideologicznym, jak sprawa „pojęcia lewicy“ w jednym ze szkiców, „Stałe i przejściowe oblicze marksizmu“ i paradoksalna „Pochwała niekonsekwencji“ w innych. Wyjątek stanowią te rozważania, które nawiązują do podstawowego zagadnienia w etyce, w szkicu pt. „Determinizm i odpowiedzialność“. Próbuje się tu pogodzić zasadę determinizmu z etyczną odpowiedzialnością, opartą o wolność decyzji i działania jednostki. W tej mierze

wykazano niejednokrotnie Kołakowskiemu nieuniknione niekonsekwencje, gdy idzie o godzenie indywidualnych poglądów z przyjętą sztancą materialistyczną ortodoksji marksistowskiej.

W tej matni doktrynalnej — jak w słynnym aforyzmie Napoleona o miłości — jedyna nadzieja zwycięstwa jest w ucieczce. Ale taka ucieczka może być drogo opłacona. Ucieczkę w niezaangażowanie przypłaca się w Kraju stagnacją życiową. Ucieczka zagranicę kosztować może utratę najbliższych. Zwłaszcza jak się ma tego rodzaju obciążenie, jak żonę pocho-

dzenia żydowskiego w kraju oficjalnego antysemityzmu. Skolimowski w swej książce o filozofii w Polsce, pisał o „wytrzebieniu“ szkoły analitycznej. Teraz można by dodać uwagę, o „wytrzebieniu“ „rewizjonizmu“ lub „neomarksizmu“, jak wolą niektórzy nazywać to odchylenie doktrynalne. Przy tym jeszcze raz zastosowana jest zasada „Ojca pozerającego swe najlepsze dzieci“. I dlatego nie bez słuszności przeciwnicy ideologii komunistycznej uważają tragedię Kołakowskiego za rodzaj sporu czysto rodzinnego między marksistami-komunistami.

## STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW i GRYF PUBLICATIONS LTD

z a w i a d a m i a j ą ,

że ukazała się w związku z 25-leciem walk Żołnierza Polskiego we Włoszech niezwykle ciekawa i barwna opowieść o słynnym w historii 2-go Korpusu Polskiego niedźwiadku :

W. A. LASOCKI

W O J T E K

spod

MONTE CASSINO

z ilustracjami Ireny Ludwig

Cena: 12/6

Z a m ó w i e n i a p r z y j m u j e :

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W.7.

MARIA ROMANA CATTI DE GASPERI

## De Gasperi, polityk i człowiek

Fascynująca biografia polityczna, napisana przez córkę wielkiego męża stanu, przynosi nie tylko rewelacyjne materiały do życia i działalności niezwykłego człowieka, ale ukazuje, jak ten włoski kresowiec, twórca nowożytnej włoskiej demokracji chrześcijańskiej, odbudowując w niebywałym trudzie Włochy z katastrofy, w jakiej pogrążył je faszyzm, stał się równocześnie współtwórcą olbrzymiego dzieła jedności europejskiej.

Porywający obraz polityka, człowieka, katolika, który umiał godzić służbę krajowi z sumieniem, a swoje głębokie chrześcijaństwo z niezależnością wobec politycznych nacisków Watykanu.

297 stron, kolorowa okładka. Cena 36s. \$5.00

Do nabycia we wszystkich księgarniach oraz u wydawcy

ODNOVA LIMITED

27, HAMILTON ROAD, BEDFORD PARK, LONDON, W.4.

# SZKOŁA I WYCHOWANIE W ROSJI SOWIECKIEJ

**G**DY SIĘ chce zrozumieć zmiany i ewolucję w Rosji Sowieckiej konieczną staje się obserwacja tego co dzieje się w szkolnictwie tego kraju. Z tego też względu szczególnego znaczenia nabiera książka Szkota Nigel Granta pt. „Szkoła i Wychowanie w Rosji Sowieckiej“, wydana staraniem Szwajcarskiego Instytutu Wschodniego (Schweizer Ostinstitut). Grant opisuje nie tylko szkołę w Unii Sowieckiej, lecz także bada oddziaływanie systemu wychowawczego z geograficznego, historycznego i politycznego punktu widzenia.

Najbardziej uwydatniającym się rysem sowieckiego systemu kształcenia jest rozmiar jego kontroli ze strony partii i rządu oraz zasadniczo i praktycznie narzucony całemu krajowi system jednolitości. I to mimo utrudniającego stanu faktycznego, gdyż Związek Sowiecki rozpościera się na obszarze 22,5 milionów km<sup>2</sup> przeważnie nieregularnie rozmieszczonych. To położenie komplikuje dodatkowo fakt, że na te miliony ludności składają się z górą 100 różnych narodowości, każda z własną mową, obyczajem i kulturą.

Sowieckie eszkoły ludowe są od czasu ich reformy w r. 1958 w stadium przejściowym. Całe wychowanie szkolne służy potrzebom społeczności sowieckiej. Nauka religii została ze szkoły wygnana. Sowiecka 8-klasowa szkoła jest szkołą jednolitą, bez podziału na szkołę podstawową i średnią. Nauka rozpoczyna się dla każdego dziecka 1 września po siódmym urodzinach. W bardzo surowo ujętym planie nauczania kładzie się szczególny nacisk na przedmioty przyrodnicze. Już w stosunku do małych dzieci stosuje się do pewnego stopnia akademicką metodę nauczania. Poza tym wszystkie dzieci zwiedzają w czasie szkolnym zakłady przemysłowe i pracują w nich przez jakiś czas. Rozkład godzin w klasie ósmej obejmuje:

5 godzin języka rosyjskiego, łącznie z karnością“ i wychowaniem moralnym, 6 godzin matematyki, 3 godziny historii, 2 lekcje geografii, 3 godziny języka obcego, 3 lekcje fizyki, 3 godziny chemii, 2 godziny biologii, 3 godziny sportu, 3 godziny robót praktycznych i 2 godziny pracy społecznej.

Z ukończonym 10 rokiem życia wstępują dzieci do „Pioniera“, organizacji młodzieżowej kierowanej przez państw-

wo. W odróżnieniu do przedszkola 8-klasowa szkoła jest obowiązkową i bezpłatną, lecz rodzice muszą pokrywać koszt podręczników, pomocy szkolnych i mundurów. Niektórzy uczniowie przechodzą po ukończeniu 8-klasowej szkoły do życia zarobkowego, lecz stanowią oni zaledwie 20-25% uczniów, reszta studiuje dalej.

W Związku Sowieckim istnieje więcej niż 130 typów szkół średnich, które dają do pewnego stopnia ogólne wykształcenie oraz naukę zawodową. Program nauczania w tych szkołach trwa trzy lata, tzn., że po ukończeniu takiej szkoły uczniowie mają 18 lat. Szkoły te można by porównać z naszymi gimnazjami, szkołami technicznymi, przemysłowymi, handlowymi i kupieckimi.

Stosunkowo znaczne zdobycze na polu wychowania dały w okresie po rewolucji powód do dumy władz sowieckich i zaniepokojenia niektórych obserwatorów zachodnich. Tu wymienić należy szczególne rozpowszechnienie wyższego wykształcenia we wszechnicach i innych wyższych instytutach. Liczby, które ten przyrost wykazują, są istotnie imponujące: w r. 1914 było 105 szkół wyższych, skoncentrowanych przeważnie w wielkich miastach Rosji Europejskiej; liczba ta w r. 1959 wzrosła do 766, w tym 40 wszechnic, rozmieszczonych w całym kraju. W r. 1914 było w sumie w Rosji 127.400 studentów, a w r. 1959 już 2.150.000. Dzisiaj ilość ich ocenia się na 3.000.000. Gdy w r. 1914 10.700 składało swe egzaminy końcowe, to w roku 1959 składało je już 342.200. Liczba studentów i studentek jest na ogół równa. Dużą ilość sowieckich studentów stanowią pracownicy zakładów przemysłowych, studiujący równoległe. Dąży się do rozpowszechnienia studium robotników, by ten rodzaj kształcenia propagować jako przyszłą możliwość rozwojową. Jest to szczególnie pożądane jako środek zwalczania „akademickiej ekskluzywności“ oraz konfrontacja wielkiej liczby studentów z rzeczywistością codziennego życia.

Obok właściwych wszechnic istnieją jeszcze liczne specjalne wyższe instytuty techniczne, rolnicze, pedagogiczne, prawne i gospodarcze.

Napływ do sowieckich wszechnic oraz wyższych instytutów jest b. duży, a nawet gwałtowny. Lecz wolne miej-

sca istnieją w ograniczonej ilości, dla pewnego ułamka absolwentów szkół średnich. Wymagania egzaminów dopuszczających do studiów wyższych są uszeregowane według dziedzin studiów. Egzamina te są szczególnie surowe, częściowo pisemne, częściowo ustne, według przyjętego systemu pięciostopniowego od 5 (celującą) do 1 (niedostatecznie). W różnych warunkach pierwszeństwo mają studenci poleceni przez partię, względnie przez związek zawodowy, oraz studenci, którzy służyli w armii, lub co najmniej dwa lata pracowali w przemyśle lub rolnictwie. Studenci z zadowolniającymi postępami otrzymują stypendia, mogą je jednak utracić przy pogarszających się postępach, a nawet mogą być relegowani, gdy postępy są niedostateczne.

Wydziały wyższych studiów są znacznie więcej zróżniczkowane niż w naszych warunkach. Kształcenie trwa na ogół pięć lat. Po zdaniu końcowego egzaminu student otrzymuje dyplom. Po uzyskaniu dyplomu można uzyskać dwa wyższe stopnie akademickie: „kandydata umiejętności“ i „doktora umiejętności“. Wyraźnej paraleli z naszymi tytułami akademickimi nie można przeprowadzić. Stopień doktora umiejętności nadawany jest rzadko i uważany jest jako nadzwyczaj wysokie akademickie wyróżnienie. By się do tego wyróżnienia zakwalifikować specjalista (w każdym wypadku kandydat umiejętności) musi w 3 lata po dyplomie przepracować kilka lat w dziedzinie naukowo-badawczej lub doświadczalnej oraz ogłosić kilka samodzielnych prac ze swych badań. Po nadaniu dyplomu państwo, ma prawo skierować go na okres 2-3 lat do pracy badawczej w jakimś ad hoc wybranym obszarze kraju. Student sowiecki musi poświęcić przeciętnie dwa razy więcej czasu na odczyty i ćwiczenia, niż jego kolega zachodni.

Na współpracę między szkołą wyższą a przemysłem kładzie się szczególnie nacisk. W rzeczywistości przeprowadza się liczne ważne projekty i badania doświadczalne jako wspólne przedsięwzięcie wyższej uczelni i zakładu przemysłowego.

Poszukiwania techniczne i naukowe planuje się w całym kraju bardzo starannie, a ich ostatecznym celem jest integracja przemysłu i wyższych uczelni.

# Przegląd spraw wojskowych

**WIETNAM.** Choć nasilenie walk w ostatnich miesiącach było mniejsze niż w analogicznym okresie ubiegłego roku, krwawe straty sił amerykańskich tylko nieznacznie zmalały i wynosiły przeciętnie 200 do 300 poległych na tydzień. W rezultacie ogólna ilość poległych w akcji lub zmarłych z ran żołnierzy i lotników amerykańskich wzrosła do 1 lipca do 36.866. Rannych było w ciągu 8 lat trwającego zaangażowania 236.563, z czego jednak tylko połowa wymagała odesłania do szpitali. Choć ilość zaginionych (986) i wziętych do niewoli (345 była relatywnie znikoma, ta zwiększająca się stale hekatomba strat jest głównym źródłem zniecierpliwienia i zniechęcenia społeczeństwa amerykańskiego i w konsekwencji zamierzony stopniowej redukcji sił amerykańskich, choć oczywiście i względy finansowe odgrywają nie małą w tym rolę.

Warto także wspomnieć, że wśród poległych Murzyni stanowili 13,6% a w wojsku nawet 15%, że aż 2/3 poległych było w wieku od 18 do 22 lat i że relatywnie najwięcej ginęło tak zwanych „żółtodzióbów“, tj. żołnierzy przebywających w Wietnamie mniej niż rok, ergo nie mających jeszcze doświadczenia bojowego w tych specyficznych warunkach. Najwięcej spośród poległych pochodziło z najludniejszych stanów, jak Kalifornia, Nowy York, Illinois, Pensylwania, Texas itd., ale relatywnie rozłożenie strat było dość równomierne i wynosiło od 13 do 22 na 100.000 ludności poszczególnych stanów. Znamionym zjawiskiem jest także, że, o ile marynarzy poległo dotychczas zaledwie 900, to piechurów morskich („marines“) ok. 10 tysięcy.

O ile rozpoczęte już wycofywanie z Wietnamu 1-ej transzy (25.000) nie może zwichnąć obecnej równowagi sił, o tyle dalsze, poważniejsze redukcje sił amerykańskich, uzależnione od postawy Hanoi i Wietkongu, mogą zważyć na rządowe wojska Wietnamu Południowego zbyt wielki ciężar i doprowadzić do katastrofy. Hanoi liczy na to i dlatego kontynuuje swoją podjazdową wojnę na zużycie, w której ma zapewnioną dalszą pomoc Sowieców i Chin, od miesięcy już nie torpedowaną przez lotnictwo amerykańskie. Toteż można tylko zgadywać, jak i kiedy skończy się ta dziwna wojna, prowadzona przez Amerykę tylko jedną ręką — jak przed kilkunastu laty w Korei, kiedy także ani jedna bomba nie spadła na Chiny, jak obecnie na Wietnam Północny, choć setki tysięcy chińskich „ochotników“ walczyło w Korei.

**Redukcja innych zamorskich baz amerykańskich.** Mimo przerwania do Wietnamu ponad pół miliona żołnierzy i lotników i utworzenia tam kilku tuzinów nowych baz — ogólna ilość amerykańskich baz zamorskich zmalała od 1961 r. z 452 dużych i 2.208 małych baz do 343 dużych i 1927 małych baz, czyli o blisko 400, a dalsze redukcje są przewidziane. Obciążenia te przybrały masowe rozmiary, gdy wskutek wyjścia Francji z wojskowej organizacji NATO trzeba było zlikwidować 52 duże bazy i 174 małe bazy na terenie Francji. Mimo przeniesienia stacjonujących tam oddziałów i zakładów amerykańskich głównie na teren NRF i W. Brytanii w obu tych krajach ilość baz amerykańskich stopniowo zmniejszono: w Niemczech o 15, a w W. Brytanii do 19, w Hiszpanii do 2 oraz w Korei, Marokko, Italii, Pakistanie (słynna baza w Peszewar, z której w 1960 roku wyjechał Powers, strącony następnie nad środkową Rosją), wreszcie w Trinidadzie i na kilku wyspach na Pacyfiku. Mimo tych obciążeń przebywa w zamorskich bazach, obejmujących 2,6 mil. „acrow“, jeszcze 1.074.000 amerykańskich żołnierzy, lotników i marynarzy, 26.000 amerykańskich funkcjonariuszy cywilnych. 256.000 pracowników i robotników obcych oraz 347.000 żon i dzieci amerykańskiego personelu.

Dalsze redukcje są jednak przewidziane — z wyjątkiem zachodniej Europy, Korei i ew. Wietnamu. Dotyczy to zwłaszcza Japonii, gdzie dodatkowych 31 baz ma być przekazanych Japończykom bądź zlikwidowanych. Ponadto liczyć się trzeba z likwidacją wielkiej bazy Wheelus w Libii i z czasem także z oddaniem Okinawy Japonii.

Za to ma być zwiększoną ilość baz strategicznego lotnictwa w samej Ameryce z 27 do 50, by lepiej je zabezpieczyć przed nagłym uderzeniem rakietowym. Ogromny zasięg bombowców strategicznych oraz udoskonalona technika uzupełniania paliwa w powietrzu umożliwiają te przesunięcia bez poważniejszego zmniejszenia możliwości odwetowych. Szczególnie, gdy ostrzegawcza sieć radarowa, skierowana obecnie głównie w kierunku bieguna północnego, zostanie rozszerzona przynajmniej na pobraża obu oceanów.

**FRANCJA.** Jak można było przewidzieć, realizacja zbyt ambitnych planów tworzenia „force de frappe“ ulega znacznemu zwolnieniu, a może także redukcji i to pod naciskiem zarówno trudności gospodarczych, jak i rosnącego zaniepokojenia stanem zaniedbanych sił

konwencjonalnych. Dowodem tego jest nie tylko zmniejszenie budżetu resortu obrony do równowartości 5,5 miliardów dolarów, czyli o 600 milionów, ale także artykuł nowego szefa sztabu, gen. Fourqueta, odznajdującego się od tezy jego poprzednika, gen. Ail'pereta, że Francja musi mieć force de frappe „wszystkich azymutów“, tzn. zdolną do działania we wszystkich kierunkach. Szczególny niepokój w kołach wojskowych wywołuje fakt, że spośród przewidzianych 100 pułków operacyjnej obrony terytorialnej zaledwie 30 jest jako tako zorganizowanych i gotowych, choć jeszcze słabo uzbrojonych, a siły manewrowe składają się zaledwie z 6 dywizji, raz po raz reorganizowanych i na razie pozbawionych atomowych broni. Wydaje się, że zwłaszcza budowa podziemnych wyrzutni rakietowych ulegnie poważnej zwłoce, a być może także wykonanie programu budowy wielkich okrętów podwodnych z raketami atomowymi dozna znacznego opóźnienia. Pierwszy okręt tego typu zostanie dopiero w przyszłym roku marynarce przekazany. Czy konieczne oszczędności odbiją się także na lotnictwie, choć w tej dziedzinie istnieje współpraca Dassaulta z przemysłem brytyjskim i niemieckim, i choć pojawiły się już rewelacyjne prototypy bombowców o zmiennym układzie skrzydeł, na razie nie wiadomo.

Mimo tych słabizn nie zanoszą się na to, by Francja rychło wróciła na łono wojskowe NATO i tym samym wyszła z izolacji, na którą sobie ani potężna i bogata Ameryka, ani po zęby uzbrojona i twardo rządzona Rosja pozwolić nie mogą i nie chcą.

Kage

Kazimierz Schleyen  
**LWOWSKIE GAWĘDY**

Cena: 30 sh.

Do nabycia:

**Księgarnia SPK**

20, Queens Gate, Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

Prosimy uprzejmie Prenumeratorów „Orla Białego“ o adresowanie czeków i P.O. tylko na:

GRYF PUBLICATIONS Ltd.

# WRAŻENIA Z LOURDES

**R**OKROCZNIE wyrusza z Kopenhagi do Lourdes pielgrzymka chorych z krajów skandynawskich, zarówno katolików, jak i protestantów. Towarzysząc ostatnio pielgrzymce w charakterze lekarza odwiedziłam po raz pierwszy to słynne miejsce i zanotowałam swoje wrażenia.

Jadąc do Lourdes z lotniska w Tarbes nie można oprzeć się zdziwieniu, pogłębiającemu się w miarę drogi. Wszędzie widać ogłoszenia: „Café Bernadette, Restaurant Soubirous, Hôtel de Grotte“... Oczami duszy widzi się Jezusa, wyganiającego kupców ze świątyni. I to jest pierwsze spotkanie z Ewangelią w Lourdes.

Kiedy następnie przybyliśmy do dużego szpitala Asile de Notre Dame i zaczęliśmy rozmieszczać chorych, zdziwienie moje zaczęło wzrastać jeszcze bardziej. Znakomite pielęgniarki duńskie, przywykłe do warunków w szpitalach swego kraju, nie mogły wprost pojąć, że może istnieć szpital bez bieżącej, ciepłej wody, że trzeba podawać zimną kawę, (co irytowało niezmiernie skandynawskich amatorów i znawców kawy), oraz że toalety pachną przeraźliwie...

Nawet ja i pielęgniarka węgierska, przyzwyczajone do pracy w ciężkich warunkach szpitalnictwa polowego, nie mogliśmy ukryć zdumienia.

Kiedy tak stałyśmy obserwując pozorny chaos, pełne podziwu dla spokojnej, skoncentrowanej pracy duńskiego kierownictwa, przyszła starsza siostra Dolores i powiedziała do mnie: Zdaje się, że doktor jest trochę ździwiona? Proszę być spokojną, wszystko będzie dobrze. Rzeczywistość potwierdziła jej słowa.

Następnego ranka rozpoczął się normalny dzień pielgrzyma w Lourdes. Bardzo wczesnie zgromadziła się w korytarzach szpitalnych pokaźna liczba mężczyzn w różnym wieku od młodzieńskich harcerzy do zupełnie starszych panów. Wszyscy oni mieli pasy na ramionach; byli to „les brancardiers“, noszowi. Jedyna na świecie organizacja, bez statutu i bez zebrań, werbująca mężczyzn z całego świata, wszystkich zawodów, by ofiarowali swój urlop dla noszenia chorych w Lourdes. Nieomalże w następnym okamgnieniu chorzy zostają niesieni na noszach lub wiezieni na wózkach na mszę św. z komunią, udzielaną w licznych kościołkach i kaplicach. Wrażenie głębokie sprawia nabożeństwo w bazylice podziemnej, mogącej pomieścić 2.000 osób. Tak sobie wyobrażam nabożeństwa w katakumbach. Msza św. w podziemnej bazylice,

niekończące się szeregi wielu setek chorych przyjmujących komunię św., pieśń Christus vincit, ta sama pieśń, którą pierwsi chrześcijanie śpiewali na arenach, kiedy ich rzucono na pożarcie lwom — brak mi słów na opisanie tego przeżycia.

Następnie wiezie się chorych do kąpiei w źródle. Jak wiadomo, pasterka Bernadette Soubirous, przed z górą stu laty, miała widzenie Matki Boskiej, która kazała jej kopać w określonym miejscu. Źródło, które wówczas wytrysło, płynie do dnia dzisiejszego.

Snując się między tłumami ludzi, zadawałam sobie pytanie, jak zostaje rozwiązane zagadnienie posiłków? Do Lourdes przybywa codziennie około 3.000 ludzi. Kiedy później zobaczyłam wózki, nadjeżdżające z lunchem dobrze przyrządzonym i ładnie podanym, kiedy zobaczyłam wspaniałą organizację, umiejscowione rozstawianie różnych narodowości w różnych miejscach (my zbieraliśmy się pod wielkim kasztanem, na którym widniała tabliczka „Scandinavie“ — zdawało mi się, że widzę znowu dobrze znane obrazy z Ewangelii. Jezus w Kanie, Jezus, dzielący chleb i ryby... Jedzenia wystarcza dla wszystkich, pozostają nawet resztki.

Punktem szczytowym dnia pielgrzyma jest procesja sakramentna. Chorzy są niesieni albo wiezieni lub wreszcie stoją wzdłuż drogi, którą procesja będzie szła. Uderza wielka liczba wózków z chorymi dziećmi. Podczas procesji słyszy się przez głośniki Inwokację do Boga Wszchemogącego. Inwokacja jest mówiona w wielu językach i brzmi: „Panie, jeśli zechcesz możesz mi pomóc. Spraw, abym chodził! Spraw, abym widział! Spraw, abym słyszał!“ Słyszając te słowa jest się całkowicie pogrążonym w Ewangelii. Nie jest się więcej w Lourdes, tylko w Kafarnum, z najgłębszym uczuciem powtarza się za setnikiem: Panie nie jestem go-dzien, abyś wszedł pod dach mój, ale rzeknij tylko słowo, a będzie uzdrowiony sługa mój.

W czasie pozostałym do obiadu wielu chorych niesie się lub wędrują sami drogą krzyżową. Droga krzyżowa jest położona wokół dość wysokiej góry i zawiera 14 stacji Męki Pańskiej, aż do Golgoty, położonej na szczycie. Każda stacja została ufundowana przez inny naród, figury są wykonane ze specjalnego stopu, który przypomina bardzo opaloną skórę. Wędrówka po kamienistej ścieżce górskiej, w tropikalnym upale każe myśleć głęboko o Nim, idącym i niosącym swój krzyż.

Po odbyciu drogi krzyżowej można było zauważyć u wielu chorych zmiany nastroju. Najbardziej zdeprimowani i niespokojni stawali się cisi i spokojni. Zyskali siłę do znoszenia swego cierpienia i posiadli współczucie dla innych. I to jest bez wątpienia największym cudem Lourdes.

Można by przypuszczać, że po dniu tak ściśle wypełnionym, chorzy chętnie pójdą do łóżek. Ale tak się bynajmniej nie dzieje. Nieomal wszyscy uczestniczą w procesji nocnej z pochodniami. Świetne transparenty są niesione przez ludzi z całego świata. Procesja pnie się na górę, z której widzi się w dołynie morze światła.

Dzień, który się rozpoczyna o 7 rano nie kończy się przed 11 wieczorem. Rzecz dziwna, nie czuje się zmęczenia, i zamiast iść spać, spaceruje się wśród czarnej, pirenejskiej nocy. Być może zbliża się człowiek wtedy do zrozumienia tego, co najtrudniejsze w programie życiowym, który nam Jezus zostawił w Ojcie nasz: I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. Wydaje mi się, że jest błędem i ogromnym zwięzaniem problemu, jeśli się wciąż czeka na cuda cieleśne w Lourdes. To, co jest rzeczywiście cudowne, to jest manifestacja wiary i ufności o której Jezus powiedział: Dozwólcie dzieciom przychodzić do mnie, albowiem takich jest królestwo Boże.

W Lourdes maksyma „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego“, przestaje być pustym frazesem.

W drodze powrotnej panowała w samolocie głęboka cisza. Wszyscy przeżywali w skupieniu te cudowne, niezamienne dni.

## GUSTAW ŁOWCZOWSKI HISTORIA 5 P.P. LEG. „ZUCHOWATYCH“

Cena. 50 sh.

Do nabycia w księgarniach londyńskich oraz u skarbnika Koła 5 p.p. Leg. — Mr. R. MISIAK, 7, Netherton Grove, London, S.W.10.

## GUSTAW ŁOWCZOWSKI POLAK JAKO ŻOŁNIERZ

Cena: 28 sh.

Do nabycia wprost u autora lub w księgarniach londyńskich.

# PRZEWAŻNIE DLA PAŃ

## TWÓJ KRAWAT

**Z**ACZNIJMY od sprawy nader ważnej — od kupowania męskich krawatów przez kochające żony i narzeczone. Cytujemy opinię jednego z największych florenckich fabrykantów krawatów — takich za kilkanaście tysięcy lirów od sztuki i takich, jakie za kilka szylingów wciąż jeszcze można „mercato“. Otóż wedle krawatowego potentata, kobieta podświadomie kupuje krawat, z którego wzoru sama chętnie by nosiła sukienkę. Nawet jeżeli będą to kolory ciemne, stonowane i pomyślane do „jego“ najlepszego wyjściowego ubrania, to i tak kupująca i kochająca kobieta będzie widziała w tym wąskim skrawku materiału — samą siebie. Ale, jak powiada sprawiedliwy florencki fabrykant — należy pod uwagę brać również i męski konserwatywizm. Jeżeli bowiem przez pierwsze lata swego dorosłego życia mężczyzna będzie nosił krawat, powiedzmy, w ukośne paski, albo w tureckie wzory, a jeszcze jeśli przypadkiem jego pierwszy wyjściowy krawat został wybrany mu nie przez własną matkę, ale narzeczcie przez niego samego — żaden już inny krawat na świecie nie będzie mu się tak podobał. Jak podają statystyki, mówi florencki magnat od „seta pura“ (a my dodajmy od siebie: czegoż to już nie obliczają statystyki?) — Francuzi kupują najwięcej krawatów w kolorach biało-granatowych, Niemcy — krawaty w kropki, Anglosasi te, które najbardziej będą im przypominać wzór ich szkolnego krawata (old school tie), podczas gdy młodzi Słowianie wreszcie lubią nowości. „Gdybym zachwiał tym miłym młodzieńcom krawat z nieoczyszczonych konopi — kupią go od razu i będą z niego bardzo dumni. A to zapewne dlatego, że wbrew barwnym strojom narodowym, słowiański mężczyzna lubuje się w jednokolorowym, spokojnym krawacie. A konopie czy jedwab włoski — to już tylko sprawa mody i reklamy.

## PLASTYK NA PLAŻY

Jesteśmy po środku letnich wakacji. Jeżeli któraś z nas znajdzie się w tym roku na francuskiej plaży — dojrzy na niej z pewnością jakieś tajemnicze, przeźroczyste namioty, przypominające latające talerzyki, albo worki na mole dla olbrzymów. W każdym razie ujrzawszy te cuda niech szybko podbiegnie do zarządcy tego kawałka plaży, na którym owe dziwolaży się znajdują i wynajmie jeden chociażby na kilka

godzin. Te przeźroczyste namioty-widma, są przestrzenne, wygodne, z wliczonym już w koszt wynajmu luksusowym nadmuchiwanym materacem. Namioty te, czy jak kto woli — plastykobudki są najnowszą inwencją firm wyrobów plażowych. Można się pod nimi opalać bez jakichkolwiek olejków, bez obawy udaru słonecznego, czy poparzenia pierwszego stopnia, przy jednoczesnej intensyfikacji promieni ultrafioletowych. Ta ostatnia zdobycz chemiczno-plastykowa jest stosunkowo niedroga do wynajmu i prócz bezpiecznego i szybkiego opalania się, chroni dodatkowo od wiatru w mniej pogodne dni.

Poza tym tego lata zarówno na plażach jak i w miastach zobaczymy kobiece twarze, przyozdobione w — egzotyczne motyle: motyle kolorowe jak rajskie ptaki, motyle w ciapki, w kropki, w paski, lśniące jak pancerz chrząszcza, albo matowe, o przedziwnie wykrojonych skrzydłach. Zobaczymy motyle-olbrzymy i motyle-liliputy, co kto woli. A motyle te — to najnowsze okulary słoneczne, także wykonane z materiału plastikowego, ale tak estetyczne, że pod ich ukryciem nawet nieładna, czy niemłoda twarz — wygląda interesująco. Szczególnie „twarzowe“ są okulary o połyskliwej powierzchni, przypominającej świecące kule na choinkę. Nosząca je widzi wszystko w zwyyczajnym kolorze okularów słonecznych, a więc na brązowo, zielono czy niebiesko. Patrzący na nią natomiast widzą jedynie tajemniczy odbłask połyskliwej farby na szklach, poza którymi mogą się kryć niezaczerwienione od wiatru czy morskiej wody, zlekka znużone oczy — ale gazele spojrzenie jakiejś wschodniej księżniczki.

## POMOC W POZNAWANIU LEKU

Buteleczki w łazience: w podręcznej apteczce, w zasięgu dziecięcej łapki, lub mężowskiej dłoni, który — jak to się nieraz zdarza — wchodzi po dobrej kolacji na palcach do łazienki z lekkim szumem w głowie i zamiast oczyszczonej sody na niestrawność — chwytą za butelkę z płynem na odciski! Aby zapobiec takim „nieporozumieniom“, pewna brytyjska firma wypuściła na rynek samo-przyklejające się nalepki rozmaitych kolorów, opatrzone w wyraźne symbole zamiast napisów. I tak na butelkę z truczną nakleja się czerwona karteczkę z — oczywiście — trupią główką. Różową z amorkiem — dla dzieci, zieloną z gałęzią oliwną —

na środki uspakajające, żółtą — ze skrzywioną twarzą na zaburzenia żołądkowe. Poza tymi jednak środkami ostrożności apteczkę domową należy przybić tak wysoko, aby rączka dziecięcia, mimo barwnych kolorów i tak do niej nie sięgnęła. Mężowska ręka natomiast, nawet jeśli niezupełnie „pewna“ na widok ostrzegawczych nalepek trafi z łatwością na oczyszczoną sodę bez nieprzyjemnych skutków łyknięcia soli na przeczyszczenie.

Jeżeli natomiast chodzi o kolorowe lekarstwa, które wypuszczane są na rynek w coraz to bardziej frapujących kapsułkach w coraz to innych kolorowych płynach i pastylkach, Stowarzyszenie Rodziców Bryt. ma zamiar wystąpić do parlamentu z żądaniem, aby owa farmaceutyczna tęcza reklamy została definitywnie zabroniona. Małe dzieci bowiem są bardzo wrażliwe na kolor. Jeżeli na stoliku nocnym zapomnimy pigulek nasennych w kolorze białym — szanse, iż małe dziecko nie weźmie ich do ust w poszukiwaniu za „cukierkiem“ są o wiele większe od tych, kiedy zobaczy śliczne, kolorowe „ciuciu“, które może zawierać barbituraty.

## PRZECIWI ZAKUPOM ZA DARMO

Pewien samoobsługowy sklep angielski stracił ostatnio tak wiele przez „nieuważne“ klientki, które zamiast do drucianego koszyeczka, wkładały żywność i proszki do prania wprost do swoich torb na zakupy, iż zarząd przedsiębiorstwa postanowił wprowadzić w życie pewną starą, szkocką legendę, oczywiście zmodyfikowaną na współczesną modłę. Otóż, jak mówi legenda, w średniowieczu w niektórych zamkach na szkockich pustkowiach, grasowali zbójcy, w ścianę obronnej baszty wmurowywano czaszkę zmarłego wiernego sługi. Gdy przez zwodzony most wchodził, prosząc o nocleg nie zdrowszy wędrowiec, lecz rabuś i zabójca — czaszka krzyczała na alarm.

Londyński konsum w braku czaszki wiernego sługi, bo gdzie takiego faceta i w dodatku nieboszczyka znaleźć wśród młodej „przeważnie sklepowej obsługi“ — rozpoczął produkcję własnych puszek i opakowań z tak zwanym „magnetycznym okiem“. Jak się takie „oko“ w praktyce przedstawia — nie pytajcie, drogie czytelniczki, bo firma i tak nie powie, a my i tak zapewne nie zrozumiemy.

K. E.

POŚWIĘCENIE SZTANDARU P.S.K.

27 lipca br, ks. biskup W. Rubin dokonał poświęcenia sztandaru Koła Kobiet Żołnierzy PSZ. Uroczystość odbyła się w kościele pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli w Londynie. Mszę św. celebrował i kazanie okolicznościowe wygłosił ks. biskup W. Rubin, który również dokonał poświęcenia sztandaru w obecności wielu wyższych dowódców, przedstawicieli życia polskiego w Wielkiej Brytanii, oraz byłych ochotniczek. Władzę PSK reprezentowały panie: płk. Maria Leśniakowa oraz kpt. Jadwiga Morozewiczowa. Sztandar PSK po przywiezieniu go z uroczystości we Włoszech z okazji 25-tej rocznicy Monte Cassino, będzie zdeponowany w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego.

KRZYŻ ARMII KRAJOWEJ  
DLA GEN. WŁ. ANDERSA

7 sierpnia br. gen. T. Petczyński wręczył gen. Wł. Andersowi Krzyż Armii Krajowej. Uzasadniając tę decyzję gen. Petczyński powiedział:

„Przed 25 laty II-gi Korpus Polski pod dowództwem Pana Generała zdobył w ciężkim wysiłku bojowym górę klasztoru Monte Cassino. Odnosił nad wrogiem zwycięstwo.

Ten tryumf żołnierza polskiego walczącego na ziemi włoskiej odezwał się głębokim echem w kraju. Dowódca Armii Krajowej generał Tadeusz Bór-Komorowski, Pełnomocnik Rządu na Kraj Jan Stanisław Jankowski i Kazimierz Pużak — przewodniczący Rady Jedności Narodowej w kraju przesłali Panu Generałowi i żołnierzom 2-go Korpusu gorące wyrazy podziwu i wdzięczności, a poległym złożyli hołd. Prasa konspiracyjna głosiła chwałę polskiego zwycięstwa w bitwie o Monte Cassino.

To zwycięstwo utwierdzało w nas nadzieję na odzyskanie wolności i niepodległości. Przyczyniło się ono do utrzymania przez kraj nieugiętej postawy w walce z wrogiem, której najwspanialszym dowodem stało się niebawem Powstanie Warszawskie.

Dzisiaj po upływie 25 lat od naszych walk, toczonych w kraju i poza krajem, w imieniu żołnierzy Armii Krajowej składam Panu Generałowi, sławnemu dowódcy polskiemu z Drugiej Wojny Światowej, wyrazy żołnierskiej czci i proszę o przyjęcie Krzyża Armii Krajowej, ustanowionego dla upamiętnienia wysiłku żołnierza Polski Podziemnej w latach 1939-1945“. Krzyże Armii Krajowej otrzymali również generałowie M. Kukiel i St. Kopański.

# Z ŻYCIA POLSKIEGO

FRANCJA

OBCHÓD 25-LECIA WALK  
1 DYWIZJI PANCRNEJ  
W NORMANDII

W sobotę dnia 18-go i w niedzielę 19 lipca br. odbyły się w Normandii uroczystości 25-lecia walk 1 Dywizji Panczernej. Obchody te odbyły się na miejscu walk dywizji, a więc w Argentan, Chambois, Langannerie, Falaise i na wzgórzu Montormel, nazwanym Maczugą. Poczynając od soboty rano zaczęli zjeżdżać do Argentan byli uczestnicy walk dywizji panczernej. Przybył auto-kar z W. Brytanii i 2 autokary z Holandii, którymi przyjechało przeszło 150 byłych kombatantów. Przyjechali naturalnie również liczni byli kombatanci polscy z Francji, jak również przybyły grupy z Belgii, kilka osób z Kanady i Stanów Zjednoczonych, a nawet jedna osoba z Australii. Ogółem w uroczystości wzięło ponad 300-tu byłych żołnierzy Dywizji. Na uroczystości przybył również gen. St. Maczek, były dowódca Dywizji, generałowie Glabisz i Grudziński, pułkownicy Czarnecki, Dowbór, Wasilewski, Zgorzelski Koszutski i inni.

W sobotę wieczór w Chambois 10-ty Pułk Dragonów, który wraz z 24 Pułkiem Ułanów opanował tę miejscowość w dniu 19.8.1944 roku, obchodził swe święto pułkowe. Na tle średniowiecznej baszty (przed pomnikiem oświetlonym pochodniami przemówił gen. Maczek, po czym odczytano nazwiska poległych. Cała ludność miasteczka wzięła udział w tej uroczystości.

W niedzielę rano oddano hołd żołnierzom dywizji w Langannerie. Gen. Maczek oraz delegaci innych oddziałów złożyli wieniec pod pomnikiem poległych, po czym o. A. Stopa, jeden z wojennych kapelanów dywizji, odmówił modły za poległych. Należy stwierdzić, że cmentarz jest doskonale utrzymany, a groby toną w kwiatach.

Wprost z cmentarza uczestnicy udali się do Argentan do kościoła św. Marcina, gdzie odbyła się uroczysta msza św. z udziałem licznych pocztów sztandaro-

wych francuskich, polskich i amerykańskich. Na mszy byli obecni: gen. de Boislembert, wielki kanclerz orderu wyzwolenia, gen. de Langlade, gen. de Grancey, wojskowy gubernator Inwalidów w Paryżu, gen. Torquat de la Coulerie, dowódca 32 dywizji w Caen, reprezentant ministra obrony narodowej, prefekci departamentów Calvados i Orne, p. Roussel, międzydepartamentalny dyrektor Ministerstwa Byłych Kombatantów, merowie wszystkich miast oraz attachés wojskowi amerykański, brytyjski i kanadyjski. Podniosłe, patriotyczne kazanie w języku francuskim wygłosił ks. Stopa. Po mszy uczestnicy udali się pochodem przez całe miasto pod pomnik Résistance i tam gen. Maczek złożył wieniec w polskich kolorach narodowych.

Kulminacyjnym punktem była uroczystość pod pomnikiem na wzgórzu Montormel. Tu właśnie w dniu 19 sierpnia 1944 roku miały miejsce decydujące walki o zamknięcie worka Falaise i zniszczenie 7-ej armii i resztek 5-ej armii panczernej niemieckiej. Wzgórze to zostało nazwane „Maczugą“. Wznosi się tu piękny pomnik zbudowany z ofiar miejscowej ludności. Pod pomnikiem zebrało się kilka tysięcy osób przybyłych setkami samochodów. Pierwszy przemówił p. Jean Lehucker, przewodniczący Komitetu Pomnika i główny organizator uroczystości. Następnie zabrał głos generał Maczek, a po nim minister Triboulet, który patronował tej uroczystości. Po przemówieniach złożono pod pomnikiem liczne wieniec tak od organizacji francuskich, jak i polskich.

Otwarcie działu polskiego w Muzeum  
Lądowania Wojsk Alianckich  
w Arromanche w dniu 6.6.1944

W niedzielę dnia 3.8. br. w Muzeum poświęconym lądowaniu wojsk alianckich w dniu 6.6.1944 w Arromanche odbyła się uroczyste otwarcie działu zawierającego ekspozycję wojska polskiego. Obszerne i nowoczesne muzeum zawiera pamiątki z lądowania i walk armii alianckich, a więc amerykańskiej, brytyjskiej, kanadyjskiej, oddziałów holenderskich, norweskich i czeskich. Dotychczas nie było tam oddziału armii polskiej. Luka ta została obecnie zapełniona. W dziale polskim znajduje się polski sztandar z orłem białym, kompletny mundur żołnierza polskiego, proporzyci, gablotka z krzyżami wojskowymi oraz szereg oprawionych fotografii pamiątkowych z walk. Należy zaznaczyć, że muzeum cieszy się dużą frekwencją zwiedzających. Frekwencja ta dochodzi w miesiącach wiosennych i letnich do 3-4 tysięcy osób dziennie.

Dział polski otworzył minister R. Triboulet.

## 25 ROCZNICA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

W niedzielę, dnia 3 sierpnia br. w 25-tą rocznicę wybuchu powstania warszawskiego byli żołnierze A.K. we Francji zebrali się w kościele polskim w Paryżu, aby uczcić pamięć swych kolegów poległych w powstaniu. W nabożeństwie wzięło udział szereg organizacji oraz poczty sztandarowe, między innymi poczet sztandarowy SPK w Paryżu. Po południu uczestnicy zebrali się na cmentarzu pańskim w Montmorency.

## ZAKOŃCZENIE ROKU SZKOLNEGO W LICEUM POLSKIM W LES AGEUX

W dniu 29 czerwca br. odbyła się w polskim liceum w Les Ageux podwójna uroczystość: zakończenia roku szkolnego oraz poświęcenie nowego budynku. Dyrektor Liceum p. K. Szabelski zdał obszernie sprawozdanie finansowe, wyszczególniając w nim wszystkie datki nadane w roku sprawozdawczym, których suma wyniosła 83.798 Fr. Z kwoty tej szkoła musiała włożyć w budowę 37.762 Fr., co odbiło się na symbolicznym raczej wynagrodzeniu zespołu profesorskiego, z którego profesorowie musieli w ogóle od miesiąca kwietnia zrezygnować, a nawet zostały zawieszony wypłaty z tytułu pokrycia kosztów dojazdu z Paryża części profesorów.

Nowy budynek został postawiony z materiału uzyskanego z rozebranych baraków poamerykańskich, ofiarowanych zresztą przez władze amerykańskie. Wobec specjalnych wymagań władz francuskich odnośnie budynków szkolnych, musiano wszystko przebudować, a ponadto zaopatrzyć w nowe urządzenia sanitarne. W ten sposób szkoła zyskała 8 nowych sal wykładowych, dużych, jasnych i czystych. Budynek posiada 65 m. długości i prawie 400 m<sup>2</sup> powierzchni. Na tle wspaniałej zieleni parku, budynek ten sprawia bardzo miłe wrażenie. Pozostało jeszcze sporo materiału budowlanego, przeznaczonego na zaplanowane następne budynki (internaty żeńskie i męski, budynek gospodarczy itp.).

Szkoła jest dumna z tego osiągnięcia, szczególnie, że wszystkie prace zostały wykonane własnymi siłami i że nie wydano ani grosza na robociznę. Poświęcenia budynku dokonał Ks. Biskup Szczepan Wesoly.

## WALNE ZEBRANIE S.P.K. KOŁO PARYŻ

W niedzielę dnia 15.6.69 odbyło się w Domu Kombatanta w Paryżu Walne Zebranie S.P.K. Koło Paryż.

Przybyłych przywitał kol. J. Kossowski, prezes Koła, po czym przystąpiono do wyboru przewodniczącego Zebrania. Jako przewodniczącego wybrano jedno-

gośnie gen. W. Piekarskiego, jako asesorów kol. kol. płk. T. Wallicha i płk. M. Protasewicza. Po odczytaniu protokołu z ostatniego Walnego Zebrania kol. J. Kossowski wygłosił sprawozdanie z działalności ustępującego Zarządu. Sprawozdanie z działalności sekretariatu Koła wygłosił kol. J. Żłobnicki. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej wygłosił kol. K. Szabelski przewodniczący Komisji Rewizyjnej.

Po udzieleniu absolutorium ustępującemu Zarządowi przystąpiono do wyboru nowych władz.

Do Zarządu zostali wybrani kol. J. Kossowski — prezes i skarbnik; J. Żłobnicki — wiceprezes i sekretarz; B. Bartkowski — bibliotekarz; kol. J. Normarska i H. Szymańska — sekcja kulturalno-oświatowa; kol. Z. Bobowski i M. Jaculewicz — członkowie Zarządu; kol. J. Szczepan — chorąży.

Do Komisji Rewizyjnej zostali wybrani kol. K. Szabelski — przewodniczący, J. Serafiński i A. Theuer. Do Sądu Koleżeńkiego weszli kol. kol. J. Jaklicz, T. Wallich, T. Parczewski, A. Tokarski i H. Kierzkowski.

## 50—LECIE STOWARZYSZENIA INŻYNIERÓW I TECHNIKÓW POLSKICH WE FRANCJI

Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich we Francji obchodziło w bieżącym roku swoje 50-lecie istnienia.

## ZEBRANIE PREZYDIUM RADY S.P.K. FEDERACJI ŚWIATOWEJ

26 lipca odbyło się zebranie Prezydium Rady SPK Federacji Światowej w londyńskim Domu Kombatanta. Przedmiotem obrad były sprawozdania gospodarcze, organizacyjne Zarządu Federacji oraz program Biura Studiów. Sprawozdania złożyli: przewodniczący Spółki PCA Ltd. kol. S. Soboniewski, sekr. gen. Federacji kol. Z. Szadkowski. Program Biura Studiów zreferował przew. Biura kol. inż. J. Żaba. Obradom przewodniczył gen. K. Głabisz.

## STANY ZJEDNOCZONE

### SPK I SWAP NA DRODZE DO ŚCIŚLEJSZEJ WSPÓŁPRACY

Zarządy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce ogłosiły wspólną deklarację, w której m.in. stwierdzają, że „... w pełnym zrozumieniu potrzeby jednolitego działania wszystkich Polaków w wolnym świecie, a w szczególności byłych żołnierzy polskich obu wojen światowych dla wolności Polski i dobrego imienia zarówno Polaków jak i Polonii, nawiązują wzajemną współpracę organizacyjną“.

## NOWE WŁADZE S.P.K. STANACH ZJEDNOCZONYCH

W dniach 4, 5 i 6 bm. odbył się w Cleveland (Ohio) Siódmy Zjazd Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych, przy udziale 70 uprawnionych statutowo delegatów, oraz licznych gości.

Prezydium Zjazdu wybrano w składzie następującym: przewodniczący — M. Kowalewski z Kalifornii, wiceprzewodniczący — prof. dr T. Późniak z Buffalo i dr. S. Skrzypek z Waszyngtonu, sekretarze: E. Sułkowski z Albany i J. Witkowski z Chicago.

Udział w Zjeździe wzięły delegacje weterańskich bratnich organizacji: SPK w Kanadzie (prezes, T. Barankiewicz, sekretarz gen. M. Szczeciński i S. Lewicki), SWAP (reprezentant Zarządu Głównego, dyrektor krajowy W. Nagórny z Cleveland) i PLAV (dyrektor krajowy A. Grabowski).

Główne przemówienie na otwarciu Zjazdu wygłosił prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, mecenas Mażewski.

Wybrano nowy zarząd główny w następującym składzie: prezes — S. Gierat, wiceprezesi: J. Krzyżanowski z Newarku, S. Kruk z New Yorku, K. Łukomski z Chicago i K. Iwanicki z Chicago, kapelan — ks. dr H. Leśniewski d'Anjou (ze Scarsdale, N.Y.), sekretarz generalny: Z. Nowak z Hempstead, L. I., Skarbnik: O. Jaskold z Brooklynu.

Członkowie zarządu: K. Bendyk z Masspeth, W. Cieśla z Newarku, W. Jurand z Cleveland, W. Krusz z Perth Amboy i E. Witt z New Yorku.

Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej został W. Domaniewski z Bronxville, N.Y., a przewodniczącym Sądu Koleżeńkiego — S. Jordanowski z New Yorku.

## BRAZYLIA

### ZEBRANIE STOWARZYSZENIA LOTNIKÓW POLSKICH W BRAZYLII

Na Walnym Zebraniu naszego Stowarzyszenia, które odbyło się dnia 8 czerwca 1969 r. Sao Paulo, został wybrany na okres kadencji 4-let, nowy Zarząd w następującym składzie: Tomasz Rzyński — prezes, inż. Antoni Cimoszko — wiceprezes, dr Kazimierz Sienkiewicz — sekretarz, mgr. Kazimierz Kubala — skarbnik, hr. Zofia z Lubomirskich Humnicka — Oficer Opieki Społecznej.

Komisja Rewizyjna: Paweł Czeczotko, dr Antoni Revers, inż. Antoni H. Czaja. Przewodniczący Koła Sao Paulo — Tomasz Rzyński.

Przewodniczący Koła Rio de Janeiro — inż. Antoni Cimoszko.

(Dokończenie na str. 38)

PRZEZ długie lata zawsze uważałem, że urlop zagranicą znajduje się zdecydowanie poza zasięgiem naszych możliwości. Żona trochę mi to miała z początku za złe, ale potem się przyzwyczaiła i z czarującym uśmiechem opowiadała naszym znajomym o „przemitych dwóch tygodniach, jakie spędziliśmy w cichej, nieodkrytej jeszcze przez turystów wiosce na wybrzeżu portugalskim“. Naturalnie, nawet my nie odkryliśmy jeszcze tej wioski, ale wystarczyło przeczytać kilka podróźniczych książek o Portugalii, nauczyć się paru zdań z rozmówek angielsko-portugalskich i przekonać — bez trudu — naszych znajomych, że jestem nieprawdopodobnym dziwakiem, który nie znosi robienia fotografii zagranicą („to takie wulgarnie, każdy to robi, i potem zanudza innych pokazywaniem swoich arcydzieł“) i z zasady nie wysyła kartek pocztowych z urlopu („i tak zawsze dochodzą dopiero po powrocie z urlopu“), aby po powrocie z Brighton wywoływać wrażenie ludzi, którzy właśnie spędzili dwa tygodnie nad wybrzeżem Atlantyku.

Ale w tym roku wszystko się ułożyło inaczej. Całkowitą odpowiedzialność za to ponosi Sewilski, który kiedyś po wspólnej kolacji nagle zaproponował.

— Krysia i ja wybieramy się na taką zorganizowaną wycieczkę po Włoszech. Możebyście się wybrali z nami?

Spojrzeliliśmy po sobie z żoną.

— Właściwie, to już zamówiliśmy miejsca tam gdzie zawsze, w Portugalii — odpowiedziałem z wahaniem.

— A dajże spokój — wybuchnął Sewilski. — Nie możecie się przecież stale

marynować w tym samym miejscu. Jajdziu — zwrócił się do mojej żony — wiem, że Franek to potworny konserwatyista, ale ty? Pomyśl: Florencja, Asyż, Rzym, Wenecja, Sorrento, Capri...

W oczach mojej małżonki zapaliły się nagle niezdrowe błyski.

— Zawsze chciałam być na Capri — oświadczyła z przygnębiającą energią. — Jedziemy z wami!

Na próżno stawiałem heroiczny opór. Nucać: „Pamiętasz Capri, tę wyspę kochanków“, Sewilski podsunął mi zamówienie do firmy na wycieczkę do Włoch. Cena, muszę przyznać, zaskoczyła mnie.

— Ale są chyba jakieś dopłaty? — zapytałem z niepokojem. — Przecież za te pieniądze nie mogą nas zawiązać do samolotem i obwozić autobusem po całym kraju?

Okazało się, że mogą. Podpisałem. Klamka zapadła.

\* \* \*

Podróż samolotem do Mediolanu, dokąd przylecieliśmy nieco popołudniu, przeszła względnie dobrze. Wprawdzie żona dwa razy umierała po drodze, a Sewilski przysięgła na prochy ojców, że jej noga nigdy już nie postoi w samolocie — a/e te drobne urozmaicenia przyczyniły się tylko do tego, że dwie i pół godziny w powietrzu przeminięły, jak jedna chwila. W Mediolanie na lotnisku spotkaliśmy po raz pierwszy naszego kuriera, bardzo sympatycznego blondynka. Kiedy już znaleźliśmy się w autobusie, który miał nam służyć za dom — oprócz noclegów — przez całe dwa tygodnie, kurier odczytał pełną listę nazwisk, potwornie zaksztusił się przy naszych, i dodał, że sam nazywa się Kurt. Usłyszawszy to, Sewilski zbladł:

— To Niemiec! — szepnął do mnie — a to wpadliśmy! Żeby też angielskie firmy zatrudniały we Włoszech kurierów niemieckich! Skandal!

Alę nie mieliśmy wiele czasu na rozważanie powagi sytuacji, bo Kurt wysadził nas na placu katedralnym i powiedział, że mamy równe 45 minut na obejrzenie katedry.

— Słyszałeś? — trącił mnie w bok Sewilski. — Zaczyna się! 45 minut na obejrzenie jednego z największych skarbów architektury europejskiej! Barbarzyństwo!

Kiedy po 40 minutach powróciliśmy do autobusu po obejrzeniu katedry — włącznie z wycieczką na dach — zastaliśmy już tam Sewilskich.

— Zrezygnowaliśmy z obejrzenia katedry — warknął Sewilski. — Nie było

nawet warto zaczynać. Poszliśmy zamiast tego na lody.

W Genui, gdzie zatrzymaliśmy się na noc, po kolacji Sewilski zaproponował przechadzkę.

— Mieszkamy w centrum dzielnicy portowej — szepnął mi w ucho. —

Jeżeli uda się nam spławić żony, można by się nieźle zabawić.

Na szczęście, moja żona sprzeciwiła się gwałtownie projektowi naszej przechadzki, wobec czego udaliśmy się na spoczynek. Rano zapytałem Sewilskiego:

— No, jakże ci poszło, Józek?

Skrzywił się.

— Ee, taki port! Co krok tylko ktoś łapę wyciąga, żeby mu coś dać, a lokale okropne. I pełną Niemców.

Tego dnia w programie mieliśmy rzut oka na Pizę. Kurt dowiózł nas na miejsce i zapowiedział:

— Za godzinę i kwadrans zbiórka w tym samym miejscu.

Naturalnie, Sewilski znowu oburzył się:

— Tego już za wiele! Godzina i kwadrans na krzywą wieżę, i na katedrę, i na to drugie świnstwo — no, jak to się nazywa...

— Baptysterium — odpowiedziałem.

— No właśnie! W ogóle nie warto zaczynać — i poszli z Krystyną na lody.

Moja niezmordowana żona zawlokła mnie natychmiast na szczyt krzywej wieży (bardzo krzywej wieży!), potem do katedry, a następnie do Baptysterium. Naturalnie, wszędzie musieliśmy nabożnie odczytać odpowiednie teksty z grubego przewodnika. Ledwo ją powstrzymałem przed zwiedzeniem Campo Santo, tłumacząc, że i tak było zburzone w ostatniej wojnie i z oryginalnych fresków nic właściwie nie zostało. Zajął to nam koło godziny, wobec czego dołączyliśmy do Józka i Krystyny w kawiarni.

— No, co, dużo zdążyliście obejrzeć? — zapytał z przekąsem.

— Wszystko — odparowałem.

Spojrzał na mnie z politowaniem.

— No tak, po łebkach to i cały Luwr można podobno „zrobić“ w godzinę. Ale jeśli się chce, żeby ze zwiedzania był pożytek, żeby choć trochę zostało w głowie...

Na Florencję mieliśmy jeden dzień. Józek — chociaż wszystko to było podane w opisie wycieczki — znowu szalał.

Obięd, jak pragnę wolności, obięd — bił się w czoło. — Florencja — perła włoskiego Renesansu, kolebka odrodze-

### (Dokończenie ze str. 37)

Zygmunt W. Bienkowski, płk. pilot — delegat w Centrali SLP w Londynie.

Walne Zebranie S.L.P. w Brazylii, powzięło też rezolucję, ażeby dalej kontynuować dotychczasową działalność niepodległościową, która nie tylko budzi z letargu ponad półmilionową Polonię brazylijską, a/e przede wszystkim wywołuje szerokie zainteresowanie w intelektualnych sferach społeczeństwa brazylijskiego sprawą wolności i niepodległości, którą powinna mieć Polska.

Postanowiono też jednomyślnie, ażeby z całą stanowczością, publicznie potępiać i stawiać pod pręgierz opinii publicznej wszelkie objawy infiltracji komunistycznej i kolaboracji z reżymem. Reżym ten bowiem, przez swój tzw. rząd PRL, przemocą narzucony Polsce przez bolszewików, przez swych agentów, wysłanników i przez naiwnych lub oportunistycznych zwolenników, stara się wszelkimi sposobami, ażeby przerobić naszą emigrację, z politycznej na zarobkową, która by potulnie i bez protestów uznawała rozbiór i okupację Polski.



# TEN KRAJ?

nia ducha ludzkiego, nie zrównana skarbnica najwyższych wzlotów sztuki — w jeden dzień? To nie wystarczy nawet na to, żeby chociaż rozejrzeć się po mieście. Nie warto w ogóle zaczynać. Najwyżej pójdziemy obejrzeć wyroby skórzaną i złotniczą, bo to tutaj podobno warto kupować.

Gdy [z wywieszonymi po całodziennym bieganii po kościołach i muzeach językami znaleźliśmy się z żoną wieczorem w jadalni hotelowej, Sewilscy już na nas czekali przy stoliku.

— Popatrzcie, Krystyna kupiła torebkę — zgadnij za ile? Nie uwierzysz? W Londynie kosztowałyby dwa razy tyle.

Nie znam się na cenach torebek damskich, ale moja żona nie wyglądała na zachwyconą. To jednak zupełnie nie przeszkadzało Józkowi w pokazaniu mi autentycznych złotych spinek, nabytych okazynie za fenomenalnie niską cenę.

W Pompejach Sewilscy zdecydowali, że przyręczone mam dwie godziny, to śmiesznie mało, wobec czego poszli na lody. Rozkrochmalili się dopiero na Capri.

— To życie! Popatrz, bracie — filozofował Józek z kieliszkiem aperitif w rękę. — Ta wysoka blondyna — no, ta na prawo — to rasa, co? Od razu widać, że tu hołoty się nie wpuszczą. Fabrykanci, pisarze, artyści, politycy, arystokracja — chciałoby ci się tu zostać na stałe, prawda?

Zawahałem się.

— Bo ja wiem? Chybabym się dosyć prędko znudził — odpowiedziałem szczerze i zaraz tego pożałowałem, bo żona mocno i boleśnie kopnęła mnie pod stołem w kostkę. Ale Józek przyjął to jako dowcip.

— A to kawalarz, słyszałaś, Jadziu? Znudziłby się na Capri! Ludzie — i co za ludzie — kupują tu wille za grube pieniądze, żeby tylko tu móc zostać na zawsze, a on by się znudził! A niechże cię!

Po jednym dniu na Capri przenieśliśmy się do zakurzonego i hałaśliwego Sorrento, które znowu przypadło Józkowi do gustu. Nuąc zachrypłym barytonem: „Wróć do Sorrento“ i goląc jeden aperitif za drugim, podziwiał z dużej odległości przez okna baru słynny krajobraz.

Trzy dni w Rzymie („Trzy dni dla zwiedzenia Rzymu? Śmieszne — na to potrzeba co najmniej miesiąca“). Sewilscy spędzili czas głównie na Corso i w pobliskich ulicach, uzupełniając swoje

zakupy. Asyż nie obudził w nich większego zainteresowania, chociaż parokrotnie, cwałując od jednego kościoła do drugiego, widzieliśmy ich, targujących się w małych, ciemnych sklepikach z pamiątkami, jakich tam pełno. Wreszcie dobrnęliśmy do Wenecji, która miała stanowić zakończenie naszej podróży. Już poprzedniego dnia Sewilski chodził trochę osowiały, aż rano odprowadził mnie na stronę i powiedział:

— Słuchaj, stary. Będę z tobą całkiem szczerzy. Wypsztykałem się zupełnie z pieniędzy. A tu, w Wenecji, warto by kupić trochę szkła — sam wiesz, szkła weneckie — więc czy nie mógłbyś mi odpalić trochę lirów? Wy przecież dużo nie wydajecie, a na zwiedzanie wiele nie potrzeba.

Odpaliłem mu trochę lirów. Już mi je zresztą zwrócił. Jeszcześmy tylko musieli wziąć trochę zakupów do naszych walizek, bo inaczej celnicy mogli by się przyczepić. W każdym razie rozstaliśmy się na dworcu lotniczym ze wzajemnymi zapewnieniami o niesłychanej wręcz

przyjemności, jaką nam sprawiło wzajemne nasze towarzystwo.

Wczoraj byliśmy na pierwszym powakacyjnym zebraniu towarzyskim u Sewilskich. Już przy drzwiach saloniku usłyszeliśmy donośny głos gospodarza, który opowiadał zasłuchanym gościom:

— No, a przede wszystkim te skarby kulturalne, które się tam chłonie pełną piersią na każdym kroku. Te kościoły, te muzea, te zabytki! Weźmy chociaż taką Monę Lizę Leonarda...

Trąciłem go w łokieć:

— Mona Liza jest w Luwrze, w Paryżu.

Spojrzał na mnie chłodno.

— Właśnie o to chodzi. W Luwrze jest jedna Mona Liza, a w takiej Florencji co krok, to dzieło Leonarda. Weźmy chociaż taką kaplicę Medyceuszów...

Przez sekundę zawahałem się, czy by mu wypadkiem nie przypomnieć, że kaplica Medyceuszów — to Michał Anioł. Ale machnąłem ręką, zwłaszcza, że na kredensie zauważyłem równy rząd butelek. Nalewając sobie solidny kieliszek, posłyszałem jeszcze:

— Tam właśnie, na Kapitolu, gdzie Rafael projektował kaplicę Sykstyńską.

Nie ulega wątpliwości, że podróżę kształca!!!

PO DŁUGOLETNIJ PRZERWIE  
ZNOWU NA PÓLKACH  
KSIĘGARSKICH

## DZIAŁANIA 2 KORPUSU WE WŁOSZECH

Tom I.

*z przedmową  
gen. Władysława Andersa,  
pod redakcją  
plk. dypl. dr S. Biegańskiego*

Str. 664.

Wykazy, indeksy, szkice.

*Oprawa płócienna.*

Cena: 63/-.

Koszt przesyłki 4/6.

Należy zamawiać:

**w Księgarni S.P.K.**

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

## WYDAWNICTWA BIURA STUDIÓW S. P. K.

J. WAWRZKIEWICZ:

SPK wczoraj, dziś i jutro.

J. ŻABA:

Młodzież w polskim życiu  
narodowym poza granicami  
Kraju.

Z. SZADKOWSKI:

Polskie organizacje młodzieżowe  
na uchodźstwie.

Cena: 1/6

S. PAPROCKI:

Oblicze ideowe młodzieży  
w Kraju.

Cena: 3/6

**KSIĘGARNIA S. P. K.**

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

28 WRZEŚNIA

WIELKA IMPREZA W ROYAL ALBERT HALL W LONDYNIE  
KU UPAMIĘTNIENIU ROCZNIC WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI.

# Z RÓŻNYCH DZIEDZIN

## PRODUKCJA SAMOCHODÓW

Światowa produkcja samochodów osobowych i ciężarowych oraz autobusów wzrosła w roku 1968 gwałtownie, bo aż o 18%, i osiągnęła 28 milionów, jak podaje autorytatywne wydawnictwo amerykańskie „Wad's Automotive Reports”. Na czele utrzymały się oczywiście Stany Zjednoczone, które wyprodukowały 10,8 milionów wymienionych pojazdów, ale ich supremacja wyraźnie zmalała — głównie wskutek olbrzymiego wzrostu produkcji japońskiej i niemieckiej. Oto osiągnięcia pozostałych 9-ciu państw czołówek: Japonia — 4,1 mln., Niemcy Zachodnie — 3,1 mln., W. Brytania — 2,2 mln., Francja — 2,1 mln., Włochy — 1,7 mln., Kanada — 1,2 mln., Sowiety — 800.000, Australia — 415.000 i Hiszpania — 393.000.

Trzy czołowe miejsca zajmują wytwórnie amerykańskie (General Motors, Ford i Chrysler). Za nimi idą niemiecki Volkswagen, włoski Fiat, japoński Toyota, brytyjski Leyland, japoński Nissan, francuski Renault i brytyjski Ford, operujący amerykańskim kapitałem.

## MIZERNE ŻNIWO ANTYHITLEROWSKICH PROCESÓW

Ściganie zbrodniarzy hitlerowskich przez sądy niemieckie objęło dotychczas tylko znikomy ich procent. Nawet, gdy się uwzględni, że w pierwszych latach powojennych najgłośniejszych wywoływały i ukarały sądy ustanowione przez władze okupacyjne. Od roku 1958 do 1968 sądy NRF zakończyły tylko 228 tych tak zwanych NS-procesów, skazując zaledwie 86 oskarżonych o mord lub udział w mordzie na dożywotni dom karny, 267 na dłuższy lub krótszy pobyt w domu karnym i 28 na czasowe więzienie, a uwalniając aż 165 od winy i kary. Ponadto umorzono 60 procesów wskutek zgonów lub ciężkich zachorzeń oskarżo-

nych. Ile procesów jest jeszcze w toku, żydowska agencja prasowa w Düsseldorfie nie ujawnia. Podobno jest jeszcze 15.000 spraw niezakończonych. Nie wiadomo również, ilu zbrodniarzy nazistowskich oskarżono i skazano w sądach wschodnio-niemieckich. Tak czy inaczej nie może ulegać wątpliwości, że ogromna większość tych zwyrodniałców, uniknęła i bodaj uniknie zasłużonej, surowej kary. Choć ich ściganie zostanie przedłużone.

## HEKATOMBA OFIAR RUCHU DROGOWEGO

Jak ustaliła międzynarodowa konferencja ONZ, obradująca w Wiedniu i obeszana przez 60 państw, zginęło w 1967 roku na drogach i ulicach całego świata w wyniku takich czy innych katastrof około 150.000 osób, a około 7.500.000 odniosło poważniejsze obrażenia. Czy zalecone przez tę konferencję ujednoczenie (w skali międzynarodowej) przepisów o ruchu drogowym zdoła zapobiec dalszemu wzrastaniu tej straszliwej hekatombie, jest — wobec stałego zwiększania ruchu samochodowego — raczej wątpliwe. Dane za rok ubiegły jeszcze nie są znane.

## TAKŻE W KOSMOSIE CORAZ WIĘCEJ POJAZDÓW

Odkąd „Sputnik I” wszedł w 1957 roku jako pierwszy satelita na orbitę ziemi, wprowadzono na nią lub wystrzelono w głąb kosmosu około 1.000 satelitów względnie sond. Dnia 6 marca br. wirowało spośród nich jeszcze 386, nie licząc około 600 szczątków tych pojazdów kosmicznych, które uległy zniszczeniu przy zetknięciu się ze strato- lub atmosferą. Ciekawe, że wśród owych 386 obiektów czynnych było ponad 290 amerykańskich, a tylko 79 sowieckich oraz 13 brytyjskich, francuskich i kanadyjskich,

choć (głównie wskutek niekończącej się serii „Kosmosów”) najwięcej satelitów wysłały Sowiety. Niektóre amerykańskie satelity, jak np. komunikacyjne „Echo II”, wystrzelone już w styczniu 1964, wciąż jeszcze nadają sygnały. Rzecz jasna, że niemal codziennie następują zmiany w tym wirującym „taborze kosmicznym”. Dokładną jego ewidencję prowadzi (przy pomocy radaru i komputerów) obserwatorium „Air Defence Command” w amerykańskim Colorado.

## Książki nadesłane

Stefan Korboński, **MIEDZY MIOTEM A KOWADŁEM**, opowiadania, Gryf Publications Ltd., Londyn, 1969, str. 160.

Andrzej Busza, **ZNAKI WODNE**, poezje, Instytut Literacki, Paryż, 1969, str. 55.

Gustaw Herling Grudziński, **UPIORY REWOLUCJI**, szkice i glossy rosyjskie, Instytut Literacki, Paryż, 1969, str. 165.

Józef Mackiewicz, **NIE TRZEBA GŁOSNO MÓWIĆ**, powieść, Instytut Literacki, Paryż, 1969, str. 560.

Józef Garliński, **POLAND S O E and THE ALLIES**, angielska wersja książki **POLITYCY I ŻOŁNIERZE**, tłum. Paul Stevenson, George Allen and Unwin Ltd., Londyn, 1969.

Ks. Jerzy Mirewicz T.J., **MITY WSPÓŁCZESNE**, zbiór esejów religijno-filozoficznych, Instytut Studiów Kościelnych, Rzym, 1968, str. 279.

Jędrzej Giertych, **W OBLICZU ZAMACHU NA KOŚCIÓŁ**, broszura wymierzona przeciwko prądom „pseudo-postępowym”, nakładem autora, Londyn, 1969, stron 80.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf” — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Sirena” — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/ Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na pd. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.); w BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.”, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf”, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa”, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

2. Po klęsce wrześniowej minister Szembek nie udał się bynajmniej do Bukaresztu. Kiedy po tragicznym przekroczeniu granicy w Kutach, Rząd R.P. dotarł do Czerniowca, minister Beck polecił ministrowi Szembekowi udać się natychmiast do Budapesztu i interweniować u Regenta Horthy'ego w sprawie oddziałów polskich przekraczających granicę polsko-węgierską. Dojeżdżającego do Cluj (Kolosvar) starała się policja rumuńska skierować do miejscowego hotelu, czemu minister Szembek, przeczuwając „zasadzkę”, odmówił i udawszy się do konsulatu R.P. połączył się stamtąd telefonicznie ze znanym mu dobrze z czasów posłowania w Rumunii ministrem Gafencu. Ten poinformował go o internowaniu Rządu R.P. i „prywatnie poradził” natychmiastowe przekroczenie granicy rumuńsko-węgierskiej. Dzięki tej sojuszniczej w swym duchu interwencji min. Gafencu, min. Szembek uniknął internowania w Rumunii. Po krótkim pobycie w Bukareszcie, wyjechał do Paryża, gdzie zaczęła się jego „nielaska” i skąd w czerwcu 1940 r., w przeddzień upadku Francji wyjechał do Portugalii. Tam też w 1945 r. życie zakończył.

Pozostając z wyrazami szacunku  
**Janusz Zembrzski**  
 (sekretarz polityczny min. Szembeka w latach 1935—1939)

Paryż.

\* \* \*

### NIEMCY I KONWENCJA GENEWSKA

Szanowny Panie Redaktorze,

Autor książki „Od Wiednia do Londynu”, wśród innych ofiar pogromu nie oszczędził i mego brata śp. płk. Hanka-Kuleszy, d-cy brygady kawalerii. Wyraża się o nim: — „zwolniliśmy płk. Kuleszę za odwrót brygady kawalerii za rz. Wartę”. Czy ta bombastyczna przechwałka leżała w kompetencji szefa sztabu? Wątpię. Nie do mnie należy ocena tej wojskowej operacji, ale maraton p. Prąglowskiego z Łodzi do Mszczonowa, odbył się w tak szybkim tempie, że utracił kontakt z oddziałami w polu.

W istocie, zgodnie z „Przeglądem Kawalerii i Broni Pancerniej”, Nr 25 z roku 1962, brat mój dowodził Grupą Operacyjną „Dubno” jeszcze do dnia 25 września 1939 roku i poszedł do niewoli niemieckiej, aby dzielić los podkomendnych.

P. Prąglowski wojował tylko trzy dni dłużej i opuścił schron dnia 28 września dla omówienia z Niemcami warunków kapitulacji Warszawy. Notabene, jak sam Prąglowski wspomina Niemcy uraczyli go miską biblijnej grochówki.

Książkę cechuje duża samowola, często określana mianem kontrowersji. Tak, na pytanie, czy Niemcy przestrzegali Konwencji Genewskiej, Prąglowski mówi — pozytywnie, na najniższym dopuszczalnym poziomie. Jaki to ma być najniższy dopuszczalny poziom Konwencji Genewskiej?

Jak pogodzić oświadczenie p. Prąglowskiego z wyrokiem Trybunału w Norimbergii, skazującym zbrodniarzy niemieckich na powieszenie za zbrodnie popełnione na ludności cywilnej i wojskowych?

Przytaczam fragmenty: — Judgement of the International Military Tribunal for the Trial of German Major War Criminal. Nürnberg, 30 September and 1 October 1946 — London. His Majesty's Stationery Office.

— Page 90. Lahousen Testify that Keitel told him on the 12 September 1939 while aboard Hitler's headquarters train, that Polish inteligentia, nobility and Jews to be liquidated.

— Page 93. Kaltenbruner. “Bullet Decree” under which certain escaped prisoners of war, who were recaptured were taken to Mauthausen and shot.

— Page 96. Rosenberg. He directed that the Hague Rule of Land Warfare were

not aplicable in the Occupied Eastern Territories.

— Page 96-97. Frank. “Poland shall be treated like a colony. The Poles will become the slaves of the Greater German World Empire.”

The evidence establishes that this occupation policy was based on the complete description of Poland as a national entity, and a ruthless exploitation of its human and economic resources for the German war effort.

— Page 128-130. Norman, Is responsible for the lynching of Allied airman itd., itd.

Z poważaniem  
 Londyn.

Paweł Kulesza

## BIOGRAFIE B. KACETOWCÓW

Pozostające w rękach b. więźniów obozów koncentracyjnych wydawnictwo „Promyk” przygotowuje do druku książkę pt.: „BIOGRAFIE B. KACETOWCÓW”. Zwraca się w tym celu do zarządów stowarzyszeń b. więźniów politycznych jak również do indywidualnych b. kacetowców, którzy przeszli przez niemieckie więzienia i obozy koncentracyjne z prośbą o podanie dokładnych adresów wszystkich zweryfikowanych b. kacetowców, po czym wydawnictwo prześle indywidualnie każdemu z nich kwestionariusz do wypełnienia.

Potrzeba takiej książki jest oczywista. Chodzi o to, by ogrom przeżyć i cierpień narodu polskiego pod okupacją hitlerowską nie poszedł w zapomnienie.

Adres dla korespondencji: Wydawnictwo „Promyk”, 102, Main Street, P. O. Box 383, Helmetta, New Jersey, 08828, USA.

## K R Z Y Ż Ó W K A Nr 118/69

### ZNACZENIE WYRAZÓW

**Poziome:** 1) i 5) po drodze, bez planu; 3) i 16) kochał się w Tytaniu; 8) król Rutulów w szkole wojskowej?; 10) poetycki miernik siły?; 11) nie należy jej ulegać; 12) zanotowana na długo w wojennej piosence (dwa słowa); 15) i 18) kręcisz nią jak chcesz; 20) nie tykaj tego; 21) z rodziny 4) pionowo; 22) jedno z dwunastu pokoleń; 25) odbywały się wtedy:

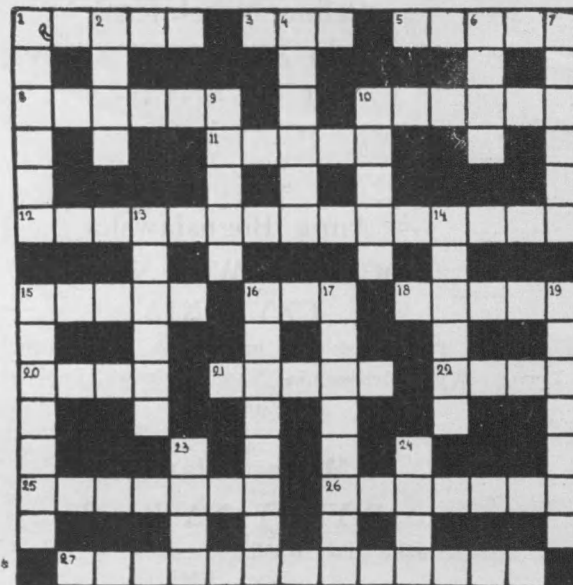
„Gdy słońce Raka zagrzewa,  
 A słowik więcej nie śpiewa”  
 (J Kochanowski);

26) każdą drogą do swojej trafi; 27) stał się nim cygan przez kowala? (dwa słowa).

**Pionowe:** 1) groch z kapustą, niejadalny?; 2) i 6) ociągać się; 4) pertraktował z Twardowskim; 1) rzeźczownik od 2) i 6) pionowo; 9) władca; 10) zawsze za skórą; 13) figiel; 14) zwyciężyła pieśnią rolnicze Lacjum; 15) symbolem jego jest wół; 16) zdrobniały na głowie; 17) frant (wspak); 19) woda w ruchu (wspak); 23) źle gdy robi to zegar; 24) z dwóch lepsza zakonna.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 617/69

**Poziome:** 2) ceremonia, 6) i 8) dzieciół,



7) pasja, 9) wiara, 10) dwoje (wspak), 11) lobuz, 12) gryps, 14) Tadeusz Rejtan, 19) wiew (wspak), 20) York, 21) aleja, 22) nuta, 23) orka, 24) i 25) święta prawda.

**Pionowe:** 1) podnieta, 2) cięciwa, 3) myszaty, 4) policja (wspak), 5) malmazja, 12) głusza, 13) szelma, 14) trefnięć, 15) dewotki, 16) zaleta, 17) werdykt (wspak), 18) nierwana.

# PODRĘCZNIKI dla szkół przedmiotów ojczystych

Jadwiga Otwinowska

## UCZMY SIĘ PISAĆ Cz. I

Spółgłoski twarde, miękkie i zmiękczone.  
Wydawn. PMS — Willesden Green

Jadwiga Otwinowska

## UCZMY SIĘ PISAĆ Cz. II

Spółgłoski dźwięczne i bezdźwięczne. 95 ćwiczeń,  
10 tekstów prozy i wierszy do przepisywania  
i dyktanda. Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

## UCZMY SIĘ PISAĆ Cz. III

ó-u, ę, ą, em, en, om. Wyd. Gryf Publications.  
(Cz. IV i ostatnia w druku)

Aleksander Patejdl

## GRAMATYKA POLSKA

Wyd. PMS

Celina Mikołajczak

## JAK UCZYĆ CZYTANIA I PISANIA

Książeczka dla rodziców i nauczycieli.  
Wyd. PMS

Anna Bogusławska

## POCZĄTKOWA NAUKA CZYTANIA

Podręcznik dla nauczycieli i rodziców.  
Wyd. Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego  
Zagranicą

Maria Goławska

## WYPISY NA KL. V

Książka dla dzieci w wieku lat 12—13.  
Wyd. PMS

Barbara Krawczyk

## UCZMY SIĘ PO POLSKU (Let's learn Polish)

Cz. I i II

Podręcznik do nauki dzieci nie umiejących  
po polsku. Wyd. PMS.

(Cz. III i ostatnia w przygotowaniu)

Anna Bogusławska

## U BABCI I DZIADKA

Książeczka z ćwiczeniami dla dzieci  
przerabiających końcową część  
elementarza.

Wyd. Gryf Publications

Jadwiga Otwinowska

## UMIEM JUŻ CZYTAĆ

Książeczka po-elementarzowa. Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

## DZIECI Z BIAŁEGO DOMKU

Czytanki dla kl. II szkół ojczystych.  
Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

## MOJA CZYTANKA

Podręcznik do nauki j. polskiego dla kl. III  
szkół ojczystych. Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

## CZYTANKA NA KL. IV

Podręcznik do nauki j. polskiego dla dzieci  
od lat 10—12. Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

## W KRĘGU DZIELNOŚCI I PRACY

Czytanka dla młodzieży szkół ojczystych na kl. VI.  
Wyd. PMS

Do nabycia:

**KSIĘGARNIA S. P. K.** 20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.